

EUROPA

pismo Instytutu
Europy
Wschodniej

redaguje zespół

1. 1987

Katowice, Warszawa, Wrocław

Od Redakcji	
Roman Dworek	
Instytut Europy Wschodniej /1930-1939/	5
Egon Findelkind	
Analiza "despotyzmu orientalnego" według Wittfogla	23
Irina Ratuszyńska	
Wiersze	39
Tomasz Gruszecki	
O nowy program reform -	
refleksje po sześciu latach	45
Społeczeństwo jugosłowiańskie dziś -	
- memoriał członków Serbskiej Akademii Nauk	77
Myślenie albo przymus samozastanowienia -	
- wywiad Siegfrieda Lenza z Leszkiem Kołakowskim	107
Heinrich Böll	
Mowa uroczysta z okazji przyznania	
Teresie Rządkowskiej-Jętkiewicz	
Nagrody Roberta Boscha	123

1801.1

OD REDAKCJI

Czasopismo "Europa" powstało z myślą o ożywieniu intelektualnego klimatu w kraju. Pragniemy publikować w nim kontrowersyjne artykuły i rozprawy, których autorzy nie trzymają się utartych wzorców myślenia. Wydaje się nam, że artykuł Tomasza Gruszeckiego dobrze ilustruje, o co nam chodzi. Bylibyśmy radzi, gdyby zainicjował szerszą dyskusję nad zgłoszonymi w nim propozycjami, niekoniecznie tylko na łamach naszego pisma.

Dla ożywienia klimatu intelektualnego potrzebne jest lepsze rozeznanie w problemach innych krajów "realnego socjalizmu" oraz w tym, co się w ogóle w Europie w sferze intelektualnej dzieje. Dlatego będziemy starali się systematycznie publikować różnego rodzaju raporty o krajach tzw. socjalistycznych i o badaniach tematyki wschodniej. Szczególnym trafem udało nam się zdobyć świeżej jeszcze daty raport o Jugosławii, który publikujemy z dużymi skrótami. Pragniemy również zamieszczać relacje z tzw. badań wschodnich. Sięgamy do ich początków publikacją artykułu o charakterze nieco wspominkowym, a traktującym o Instytucie Badań Naukowych Europy Wschodniej w Wilnie, będącym pierwszą tego typu placówką badawczą w przedwojennej Polsce.

Wywiad Siegfrieda Lenza z Leszkiem Kołakowskim wydaje nam się ciekawy, choćby tylko z tego względu, że punkt ciężkości stanowią w nim zagadnienia dotyczące całej kultury europejskiej, a nie tylko Polski. Jednym bowiem z celów naszego pisma jest przewyższenie nadmiernego polonocentryzmu.

Artykuł o Wittfoglu jest pomyślany jako wstęp do prezentowania różnych, a w Polsce mało znanych koncepcji powstawania i funkcjonowania totalitaryzmu. Nazwisko Wittfloga jest wymieniane w polskich publikacjach wydawanych poza cenzurą, jednak wiedza o jego książce, poświęconej "orientalnemu despotyzmowi" jest znikoma.

W miarę możliwości uwzględniad będziemy również przekłady poetyckie poezji i prozy, które nie mogą ukazać się w obiegu oficjalnym. O Irinie Ratuszyńskiej wiele obecnie słyszymy, ale mało kto zna jej twórczość poetycką, choćby tylko w wyborze.

W przyszłości mamy zamiar otworzyć dział recenzji publikacji zagranicznych i polskich. Może uda nam się zebrać nieco krytycznych głosów, które przełamałyby ugrzeczniony ton polskiej krytyki literackiej i naukowej.

Zapraszamy wszystkich niepokornych do współpracy, albowiem tylko wspólnymi siłami zdołamy wprowadzić twórczy ferment do życia intelektualnego Polski.

ROMAN DWOREK

INSTYTUT EUROPY WSCHODNIEJ /1930 - 1939/

I

Inicjatywa stworzenia w Wilnie Instytutu zajmującego się naukowym badaniem Europy Wschodniej wyszła na początku 1930 r. od profesora Stefana Ehrenkretza, ostatniego Rektora Uniwersytetu Stefana Batorego. Spotkała się ona z poparciem wileńskiego środowiska liberalno-demokratycznego, w którym wciąż żywa była idea federacyjnych planów Piłsudskiego, coraz bardziej atrakcyjnych w miarę pogarszania się stosunków polsko-litewskich i błędów polityki narodowościowej administracji polskiej. Podobnie w kręgach bliskich demokratom-krajowcom i grupie "Przeglądu Wileńskiego" nie zrezygnowano z bardziej zgodnych z tradycją Rzeczypospolitej Obojga Narodów sposobów ułożenia stosunków z Republiką Litewską i mniejszościami narodowymi. Uważano, że ani Uniwersytet Stefana Batorego ani Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie spełniają swojej roli w poznawaniu najnowszej historii i stosunków kulturalno-społecznych na terenie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz obszarach sąsiednich. Chodziło nie tylko o poznanie historii i kultury krajów bałtyckich i ESRR, lecz i o nawiązanie ściślejszego kontaktu z ośrodkami naukowymi tych krajów. Innym, nie mniej ważnym czynnikiem powstania Instytutu była rosnąca rola Związku Sowieckiego na arenie międzynarodowej i związana z tym konieczność głębszego poznania panującego tam systemu i co więcej - wykształcenia zespołu ludzi umiających obiektywnie i systematycznie analizować wydarzenia w Sowietach. Dla tego typu placówki Wilno było miejscem idealnym, a projekt prof. Ehrenkretza, przy czynnym poparciu Janusza Jędrzejewicza, szybko doczekał się realizacji.

Żądania nowo powstałej instytucji nakreślono w wydrukowanym statucie bardzo szeroko: "Celem Instytutu jest: a/ badanie pod względem historycznym, geograficznym, gospodarczym, kulturalnym, społecznym i politycznym ziem i formacji państwowych położonych między Morzem Czarnym a Bałtykiem oraz ludów terenów te zamieszkujących, b/ szerzenie wiedzy o wspomnianych terenach i ludach".

Osiągnięcie tych celów miało nastąpić poprzez: "organizowanie stałych sekcji naukowych i czasowych komisji problemowych, wydawanie własnych wydawnictw, tworzenie archiwum i biblioteki specjalistycznej, prowadzenie działalności dydaktyczno-naukowej w Szkole Wyższej Instytutu i szerokiej akcji popularyzującej w formie cykli odczytowych i wykładów publicznych"⁴.

Działalność Instytutu odbywała się w dwóch zasadniczych nurtach: sekcji naukowych oraz Wyższej Szkoły Instytutu - przemianowanej później na Wyższą Szkołę Nauk Politycznych przy Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej. Zgodnie z uchwałą Zebrania Ogólnego z 23 lutego 1930 r. powołano do życia następujące sekcje: historyczno-prawną wraz z podsekcją prawną, sekcję literatury i językoznawstwa z podsekcją językoznawstwa, gospodarczą, etnograficzno-geograficzną i podsekcję etnograficzną. W czerwcu 1931 roku utworzono cztery referaty specjalne, z których jeden, kierowany przez Władysława Wielhorskiego, zajmował się szeroką problematyką polityczno-gospodarczo-społeczną państw bałtyckich, a trzy pozostałe Związkiem Sowieckim. Były to referaty: stosunków gospodarczych /doc. Stanisław Swianiewicz/, stosunków prawno-politycznych /doc. Wiktor Sukiennicki/ i stosunków narodowościowych /dr Seweryn Wysłouch/.

Instytut powstał w okresie, gdy kraj znajdował się w trudnej sytuacji gospodarczej, wywołanej ogólnoswiatowym kryzysem ekonomicznym, co nie ułatwiało jego rozwoju. Stałą bolączką był brak funduszy na działalność wydawniczą. Instytut nie posiadał też własnego lokalu. Korzystano z gmachu Biblioteki Państwowej im. Wróblewskich. Nie miał też własnej biblioteki. Założona jesienią 1930 roku tylko dla użytku wewnętrznego liczyła ok. 200 tomów i 88 tytułów czasopism. W roku 1931/32 liczba ta wzrosła do 471 tomów i 135 tytułów czasopism. Dużą pomocą zarówno dla studentów, jak i pracowników Instytutu były wielkie biblioteki wileńskie - biblioteka USB, Wróblewskich i Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Ta ostatnia liczyła ok. 70 tysięcy tomów w poważnej mierze związanych tematycznie z obszarem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego⁵. W czerwcu 1931 r. po długich staraniach Instytut otrzymał debiet MSW na stałą prenumeratę czasopism sowieckich bezpośrednio z ZSRR. Pozwoliło to na zintensyfikowanie prac referatów specjalnych, w których od 1934 r. ogniskowała się większość prac Instytutu.

Z utworzonych w 1930 roku sekcji, w latach następnych nie rozwinięta się tylko sekcja historyczno-prawna. Aktywnie działała podsekcja etnograficzna, która pod kierunkiem prof. Cezarii Ehrenkreutzowej prowadziła latem 1930 i 1931 roku badania terenowe w woj. wileńskim, nowogródzkim oraz w Republice Litewskiej. Działalność innych sekcji polegała głównie na pracach seminaryjnych i edytorskich. Sekcja gospodarcza przeprowadziła w północno-wschodnich województwach państwa polskiego szeroko zakrojone badania ankietowe dotyczące chałupnictwa i przemysłu ludowego oraz możliwości gospodarczego rozwoju i wykorzystania tych ziem. Sekcja literatury i językoznawstwa opublikowała prace: Jana Otrębskiego "Przyczynki słowiańsko-litewskie" /1931/ i E. Koschmiedera "Przy-

czynki do problemu chronologii w hirmosach rosyjskich" /1931/. Całość wydawnictw tej sekcji zamykają dwie pozycje: Juliana Krzyżanowskiego "Byliny - studium z rosyjskiej epiki ludowej" /1934/ i druga część "Przyczynków słowiańsko-litewskich" J. Otrębskiego /1935/. Sekcja historyczna - powstała po likwidacji sekcji prawnohistorycznej - wydała trzy opracowania: Bogumiła Jasinowskiego "Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja na tle rozbioru pierwiastków cywilizacyjnych Wschodu i Zachodu" /1933/, S. Wysłoucha "Posługi komunikacyjne miast na prawie magdeburkim w W. Ks. Litewskim do połowy XVI w." /1935/ i Aleksego Derugi "Piotr Wielki a Unia" /1936/. Dorobek sekcji etnograficznej zamknął się jedną pracą: W. Dynowskiego "Barwne kufry chłopskie z okolic Wileńszczyzny i Polesia" /1935/.

Instytut posiadał też dwa wydawnictwa periodyczne, które niestety nie rozwinęły się szerzej, mimo iż w czerwcu 1931 roku powołano specjalny referat gromadzący dla nich materiały naukowe. Problem zresztą tkwił w braku funduszy, a nie w braku materiałów do druku. Wydawnictwem ogólnym były "Balticoslavica" - biuletyn redagowany przez prof. E. Koschmiedera przy współpracy W. Antoniewicz, C. Ehrenkreutzowej, K. Górskiego, E. Moszyńskiego, prof. Jako Kalinii z Helsinek, prof. Oskara Loovitsa z Tartu /dawny Dorpad/. Według noty redakcyjnej w pierwszym numerze z 1933 r. miał być Biuletyn "ośrodkiem nauk o różnych narodach stykających się na terenie północnych i wschodnich granic Rzeczypospolitej i w ten sposób przyczynić się do wzmocnienia kontaktu naukowo-kulturowego między Polską a państwami sąsiednimi". Po tym, dość ogólnikowym, wstępie redakcja uściślała profil naukowy biuletynu stwierdzając, iż "za swoje zadanie uważa przede wszystkim informowanie czytelników o ruchu naukowym, stąd też postanowiła rozwinąć tylko działalność sprawozdawczą, pozostawiając oryginalną twórczość naukową innym czasopismom. Uchwalono więc uruchomić biuletyn sprawozdawczy w zakresie archeologii, prehistorii, etnografii i filologii na terenie nadbałtyckim oraz sąsiednim - słowiańskim". Ukazały się tylko trzy tomy biuletynu /1933, 36, 38/, zawierające ciekawy, lecz wąsko specjalistyczny i bardzo zróżnicowany tematycznie materiał, głównie z dziedziny archeologii, etnologii i filologii.

Obok "Balticoslavica" ukazały się też dwa tomy "Rocznika Instytutu" pod ogólną redakcją prof. S. Ehrenkreutza. Pierwszy /1933/, obok obszernego dzieła informacyjnego dotyczącego Instytutu, zawierał pięć opracowań będących wynikiem pracy trzech sekcji specjalnych Instytutu. Sekcja państw bałtyckich przedstawiła rozprawę W. Wielhorskiego "Sprawy terytorialne w polityce Litwy", Teodora Nagórskiego "Kłajpeda" oraz artykuł Antoniego Wiskonta porównujący konkordat litewski z konkordatem polskim. W sekcji badającej stosunki prawno-polityczne Związku Sowieckiego pracował dr Grzegorz Wirszubski, który napisał ciekawy artykuł "Ochrona państwa w prawie karnym Unii Sowieckiej", a kierownik sekcji stosunków narodowościowych ZSRR, dr S. Wysłouch w obszernej rozprawie analizował rolę Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi w ruchu narodowym Białorusinów w Polsce. Drugi i ostatni tom "Rocznika"

ukazał się w 1934 r. i był w całości poświęcony gospodarce rolniczej.

Osobną kartę w pracy i dorobku Instytutu stanowi Wyższa Szkoła przy Instytucie, uruchomiona jednocześnie z jego powstaniem, która w październiku 1932 r. została rozporządzeniem Rady Ministrów zaliczona do wyższych zakładów naukowych Rzeczypospolitej⁶. Podlegała ona bezpośrednio zwierzchniej władzy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, które też zatwierdzało wykładowców i lektorów. Dyrektorem Szkoły był dyrektor Instytutu, którego nominację dokonana przez Radę Administracyjną również zatwierdzał minister W.R. i O.P.⁷. Cykl studiów trwał trzy lata i dzielił się na dwa wyraźne etapy. Zw. dział podstawowy studiów, trwający dwa lata, obejmował /wg układu z roku akademickiego 1931/32/ 17 oddzielnych przedmiotów, z czego siedem należało do dziedziny prawniczej, trzy do nauk gospodarczych, cztery do nauk historycznych, dwa do dyscyplin fizjograficzno-etnograficznych, a jeden nosił nazwę "Zasady wiedzy socjologicznej". Dział specjalny studiów składał się z 15 wykładów monograficznych, dających szeroki pogląd na życie i stosunki panujące w ZSRR, takich jak np.: "Historia ruchów rewolucyjnych w Rosji od początku XIX wieku, struktura polityczna ZSRR", "Polityka zagraniczna ZSRR" i "Komintern", czy "Polityka narodowościowa i wewnętrzna ZSRR".

Podsumowaniem wykładów monograficznych były dwa wykłady o charakterze syntezy: "Doktryna ekonomiczna komunizmu w ZSRR" i "Światopogląd materialistyczny i jego odbicie w kulturze ZSRR". Trzecim elementem składowym działu specjalnego studiów był wykład monograficzny "Zarys życia państwowego, społecznego i gospodarczego Litwy, Łotwy i Estonii". Do działu tego zaliczono też dwa lektorkaty obowiązkowe: jednego języka słowiańskiego /rosyjski, ukraiński, białoruski/ i jednego niesłowiańskiego /litewski, łotewski, estoński, turecki/. W ogólnej liczbie wykładów i ćwiczeń zdecydowanie przeważały wykłady; seminaria były prowadzone na trzecim roku.

Kadrę naukową stanowili przede wszystkim pracownicy USB, w większości będący członkami Instytutu. I tak np. w roku akademickim 1932/33 było zatrudnionych w Szkole Wyższej 23 wykładowców, w tym 17 profesorów i habilitowanych docentów oraz 6 specjalistów zagadnień szczegółowych i 6 lektorów. Z liczby 17 profesorów i docentów aż 16 było pracownikami USB, a tylko jeden - Stanisław Arnold - był pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego.

Ogólna liczba studentów na wszystkich trzech latach jednocześnie nigdy nie przekroczyła 500 osób. Struktura narodowościowa przedstawiała się następująco /stan z I.V.1932/: Polaków 157, Żydów 6, Rosjan 15, Białorusinów 3, Ukraińców 2 i jeden Niemiec. Studenci mieli do dyspozycji /w r. 1937/38/ bibliotekę Instytutu liczącą ok. 13 tys. tomów, głównie rosyjskich i sowieckich oraz bogaty, ciągle uzupełniany, liczący kilkaset tomów zbiór prasy sowieckiej.

Poczynając od 1934 roku aż do końca niepodległości w 1939 r. głównymi ośrodkami systematycznej pracy Instytutu były dwa refe-

raty specjalne, zajmujące się Związkiem Sowieckim. Były to: referat gospodarczy, prowadzony przez prof. Swianiewicza⁸ i polityczno-gospodarczy, kierowany przez prof. Wiktora Sukiennickiego⁹.

Utworzono także dwa stałe seminaria dla słuchaczy i absolwentów Szkoły Nauk Politycznych. Na seminarium prof. Swianiewicza, obok analiz poświęconych poszczególnym działom gospodarki sowieckiej, prowadzono i systematycznie uzupełniano kartoteki materiałów, dotyczących stanu ekonomiki sowieckiej. Od 1937 r. wydawano kwartalnie sprawozdania i komunikaty o stanie gospodarczym ZSRR. Pierwszą pracą w cyklu wydawnictw sekcji gospodarczej, będącą wynikiem wcześniejszych studiów prof. Swianiewicza, była książka pt. "Lenin jako ekonomista", która do dzisiaj, mimo olbrzymiego postępu sowietologii światowej, cytowana jest w wielu pracach naukowych. Została ona w 1984 r. wznowiona w Polsce przez jedno z wydawnictw podziemnych. Pisał tam prof. Swianiewicz: "Socjalizm sowiecki jest bardzo daleki od mitu o wspaniałym łożu środków produkcji, który zawsze nierozdzielnie był połączony z ruchem socjalistycznym. Marzenie o bardziej aktywnym udziale robotników w kierownictwie gospodarką społeczną, stanowiące zasadniczą treść tego mitu - na politykę kierowników rewolucji październikowej prawie żadnego wpływu nie wywarło. Zasadniczym dążeniem tej polityki jest zastąpienie prywatnego przedsiębiorcy przez urzędników podległych centralnym organom państwowym. W rezultacie widzimy niebawmy dotychczas wzrost biurokracji /.../. Tendencje do upadstwowienia wszystkiego objęły nawet związki zawodowe, które z natury rzeczy stanowią wszędzie typowy przejaw inicjatywy i aktywności społecznej¹⁰. W innej swej pracy prof. Swianiewicz tak charakteryzuje sowieckie pięcioletki: "Ludność ZSRR realizowane 'piatiletki' odczuwa jako okropny przygniatający ciężar /.../, przy obecnym systemie panującym w ZSRR wzmoczenie działalności inwestycyjnej spowoduje jednocześnie obniżenie się stopy życiowej, a w wielu wypadkach po prostu głód i nędzę ludności¹¹". Prof. Swianiewicz - obok fachowych i naukowych analiz ekonomicznych nie zapomniał o zwykłym człowieku, który w wielu innych opracowaniach jakże często ginął w natłoku liczb, wykresów i tabel. Inną rozprawą prof. Swianiewicza w II tomie "Rocznika" był artykuł o sowieckim przemyśle ciężkim, w którym przejrzyście pokazał koszty ludzkie i społeczne "przemysłowych osiągnięć Republiki Sowieckiej". W tym wydawnictwie Instytutu - w całości poświęconym gospodarce sowieckiej pisali też inni członkowie seminarium prof. Swianiewicza, Michał Król - "Pieniądz i kredyt w ZSRR", Janusz Jagmin - "Rozwój iniarstwa w Sowieckim", Fanny Lint - "Sowiecki przemysł tekstylny w latach 1928;1932". Odrębną monografią opracowaną na seminarium prof. Swianiewicza była wydana w 1934 r. rozprawa B. Cyrulińskiego "Koncesje zagraniczne w ZSRR".

Obok Instytutu Europy Wschodniej istniała w Wilnie jeszcze jedna placówka naukowa prowadząca badania nad gospodarką sowiecką. Było to kierowane przez profesora Mieczysława Gutkowskiego Seminarium ze Skarbowości Wydziału Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batorego. Sekcja gospodarcza i referat gospodarczy

Instytutu utrzymywały ścisły kontakt z Seminarium prof. Gutkowskiego, a niektórzy członkowie Seminarium byli też członkami sekcji gospodarczej Instytutu. Wydawane drukiem prace członków Seminarium prof. Gutkowskiego były dla badań Instytutu szczególnie cenne, m.in. dlatego, że nie ograniczały się do zagadnień czysto skarbowych, ale sięgały głębiej - do samych podstaw ekonomiki sowieckiej.

Referat polityczno-ustrojowy i seminarium kierowane przez prof. Wiktora Sukiennickiego mieściło się w dwu pokojach położonego pięknie nad Wilią pałacu potyszkiewiczowskiego - siedziby wówczas Biblioteki im. Wróblewskich. Jak wspominają uczniowie prof. Sukiennickiego, zwanego przez nich "Mistrzem" - zasadą podstawową wszelkich badań, a szczególnie obowiązującą w studiach sowietologicznych, miał być jak najdalej posunięty obiektywizm. Prof. Sukiennicki na pierwszym wykładzie powiedział słuchaczom: "Żadne uczone dzieło nie nauczy nas obiektywizmu i niezależności w myśleniu. W tej to właśnie trudnej sztuce chciałbym państwu pomóc"¹². Jak pokażą późniejsze losy prof. Sukiennickiego ów najdalej posunięty obiektywizm w myśleniu i badaniach przez wszystkich był właściwie odczytany.

Sekcja prawna i referat specjalny poświęcony zagadnieniom prawno-ustrojowym ZSRR od lutego 1935 r. odbywały regularne posiedzenia, na których omawiano stan prac seminaryjnych prowadzonych przez dr. F. Ancewicza i prof. Sukiennickiego. Seminarium te opierały się głównie na prasie sowieckiej. Posiadano też bogaty, stale uzupełniany zbiór prac rosyjskich i sowieckich "teoretyków rewolucji i państwa sowieckiego". Większość prac seminaryjnych ogłaszano drukiem lub wygłaszano w formie odczytów publicznych. W pierwszym tomie "Rocznika INBEWSch" ukazała się rozprawa Grzegorza Wirszubskiego pt. "Ochrona państwa w prawie karnym Unii Sowieckiej z uwzględnieniem projektu Krylenki"¹³. W rozprawie tej doskonale pokazującej cele państwa i prawa sowieckiego znajduje się też szczegółowa analiza słynnego złowieszczonego artykułu 58 k.k.: "Artykuł 58 uzupełniony jest przez równoważnik: państwo - klasowe władztwo proletariatu, co z kolei można zastąpić innym równoznacznikiem: państwo; dyktatura partii komunistycznej, innymi słowy ochrona państwa zawarta w kodeksie karnym zgadza się w treści z ochroną partii komunistycznej"¹⁴. Autor kończy swój artykuł konkluzją: "Państwo takie /monopartyjne R.D./ przyznaje się otwarcie, że posiada monopol legalnej agitacji i propagandy służącej rządzącej uświadomionej mniejszości, identyfikującej się z państwem. Państwo przekonane o absolutnej i wyłącznej prawdziwości swej ideologii partyjnej i państwowej uznaje oczywiście każdego przeciwnika nie dającego się pozyskać dla tej jedynej dopuszczalnej idei monopolistycznej za wroga państwa i społeczeństwa - przeciw takiemu wrogowi należy się bronić - unieszkodliwiając go"¹⁵.

Na seminarium prof. Sukiennickiego obok teoretycznych prac nad ustrojem i prawem sowieckim zajmowano się też ekonomicznymi skutkami rządzeń władz sowieckich. Przykładem takich badań jest artykuł Sukiennickiego pt. "Kolektywizacja rolnictwa w ZSRR w okresie I pięcioletki. Studium prawno-polityczne". Komentując

ogłoszone w prasie sowieckiej jako wielkie sukcesy dane o ilości kolektywizowanych gospodarstw prof. Sukiennicki pisze: "Faktem jest jednak niewątpliwym, że masa włościańska w ten sposób przeprowadzonej kolektywizacji stawiała rozpaczliwy sprzeciw i dziesiątki czy nawet setki tysięcy kułaków oraz włościan za "kułaków oficjalnie przez władze miejscowe uznanych zupełnie bezprawnie czy też w trybie zastosowania ustawy z dnia 11.II.1930r., rozstrzelano, zniszczono, zrujnowano i wysłano przymusowo na daleką północ /"odkułaczono"/¹⁶. Nie można znaleźć w pracach prof. Sukiennickiego ani jednego sądu nie opartego na dokumencie, czy fakcie potwierdzonym i sprawdzonym. Właśnie owa drobniarzowa rzetelność oraz olbrzymia erudycja zjednywały prof. Sukiennickiemu szacunek i podziw - do ostatnich dni jakże pracowitego życia.

Kończąc to skrótowne i pobieżne omówienie działalności dwu referatów specjalnych Instytutu¹⁷, chciałbym jeszcze słów parę poświęcić najwybitniejszej i bezsprzecznie najwartościowszej publikacji Instytutu - pracy Wiktora Sukiennickiego pt. "Ewolucja ustroju ZSRR w świetle oficjalnych publikacji władzy radzieckiej" /Wilno 1938/. Znany publicysta z grupy "Suntu Młodych" - Aleksander Bocheński w "Polityce" z 10 stycznia 1939 r. w następujący sposób charakteryzował tę książkę: "trudno wprost położyć duży nacisk na znaczenie, jakie w Polsce będzie miała praca prof. Sukiennickiego /I tom już wydany, II - w najbliższym czasie opuści drukarnię/. Na podstawie ogromnego choć jednostronnego materiału /tylko źródła sowieckie/ autor konfrontuje teorie socjalistyczne we wszystkich co dotyczy państwa z praktyką sowiecką, a także z ewolucją teoretyczną, jaką nauka Marksa na tym odcinku przeżywa w Rosji bolszewickiej. Znaczenie jednak dzieła przekracza ogromnie sądzienia sowieckie i rozwój teorii marksizmu. Ma ono znaczenie ogólnoludzkie i w epoce kryzysu zasadniczych myśli ustrojowych odświeża pewne kryteria, które radzi w naszej epoce porzucamy dla eksperymentów, które wiodą na bezdroża..."¹⁸. Jak można przeczytać we wstępie do pierwszego tomu pracy, była ona gotowa już pod koniec roku 1937, wtedy też oddano do druku jej część pierwszą - omawiającą w pięciu rozdziałach teoretyczne i historyczne przesłanki powstania i funkcjonowania państwa sowieckiego od początku lat 30-tych /1917-1931/. Tom drugi, omawiający kryzys społeczno-gospodarczy i ustrojowo-polityczny państwa sowieckiego od ostatnich lat pierwszej pięcioletki do 1937 r., również przygotowany do druku, musiał ulec na skutek napływu nowych źródeł po listopadzie 1937 r. przeróbkom i ukazał się dopiero pod koniec 1938 roku. Tom trzeci miał zawierać obszernie analizy. Niestety - do rąk czytelnika dotarły tylko nieliczne egzemplarze tomu I. Dwa pozostałe, to znaczy wydrukowany tom trzeci i niedokończony skład tomu drugiego oraz zmagazynowana większość tomu pierwszego - zostały w 1939 r. zniszczone przez wojska sowieckie. Stało się to pośrednio na skutek decyzji... ministra spraw wewnętrznych i premiera gen. Felicjana Sławoja Składkowskiego. Ten, zrazu paradoksalny, fakt tłumaczyć należy tym, że decyzja ministra zabraniająca rozpowszechniania i nakazująca zmagazynowanie książek - umożliwiła wracającą do Wilna wojskom sowieckim przejęcie niemal całości

wydawnictwa. Powodem decyzji Składkowskiego, która wzięta z analizy tomu pierwszego doprowadziła do prawie całkowitego zniszczenia najwartościowszej syntetycznej wczesnego ustroju ZSRR, była jego opinia, że "książka jest tak obiektywna, że w skutkach probolazewicka"¹⁹. Pomijając fakt, że żadna obiektywna książka o Sowietach, a taka była bezspornie praca Sukiennickiego, nie mogła być probolazewicka - przychylić się należy do opinii prof. Świąniwicza: "... było rzeczą mało prawdopodobną, żeby władze, które wydały rozkaz konfiskaty, miały okazję zasięgnąć opinii jakiegokolwiek eksperta, co do wartości pracy Sukiennickiego"²⁰. Trzeba w tym miejscu zwrócić uwagę na specyficzną atmosferę polityczną otaczającą niektórych pracowników Instytutu i ich studia sowietologiczne. Dla ogółu polskiego społeczeństwa ZSRR miał dwa wyraźne odmienne oblicza: Bolszewi, czyli dalszego ciągu białego caratu - kraju terroru i bezprzekładnej nędzy, lub ojczyzny proletariatu - kraju tworzącego ustrój sprawiedliwości społecznej. W niektórych kręgach społeczeństwa kresowego i nie tylko kresowego wszelkie zainteresowania sytuacją w ZSRR traktowano jako sprzyjanie bolszewikom. W podejrzliwości celowało zwłaszcza wachkiewirowskie "Słowo", które ostrym piórem redaktora naczelnego i Władysława Studnickiego alarmowało o krzewieniu komunizmu w Instytucie, szczególnie atakując prof. Sukiennickiego i prowadzone przez niego seminarium. Artykuły te poparte przez Wydział Bezpieczeństwa woj. wileńskiego doprowadziły do przysłania kilku inspekcji z Warszawy, kontrolujących treści wykładów i problematykę zajęć, które oczywiście żadnych "środków komunizmu" nie znalazły. Zarzut "bratania się z komunistami" szczególnie mocno przyłągnął do Sukiennickiego. Ten liberał z przekonania miał o komunizmie sowieckim wyrobione zdanie jak mało kto, jeszcze przed doświadczeniami z krasnojarskiego łagru, a jako liberał właśnie reagował spontanicznie i mocno, gdy przyszło do obrony wolności osobistej i prawa do wygłaszania choćby i niepopularnych, drażniących otoczenie sądów²¹. Młody naukowiec, nie kryjąc swych antyklerykalnych poglądów, co jeszcze potwierdzało tezę o "komuniście", zajmujący się dotąd teorią prawa i Ligą Narodów, miał - jak sam wspomina - na kilka lat przed wojną "podświadome przeczucie przyjścia wroga i końca mojego - naszego świata". Wtedy też całkowicie poświęcił się studiom sowietologicznym. Szukając genyzy swych zainteresowań Świąniwiczy pisze w książce "Legenda i rzeczywistość", że poza czystą intelektualną ciekawością poznania "rzeczywistej rzeczywistości" sowieckiej, chciał rozwiązać zaskakujący go dylemat: "jeżeli jest tak tak dobrze /jak głosi propaganda sowiecka/ - dlaczego jest tak źle /jak mówią o życiu w Rosji wiarygodni świadkowie/ i odwrotnie: jeżeli jest tak źle /jak wygląda rzeczywistość sowiecka/, dlaczego jest tak dobrze z ciągłym wzrostem potęgi i międzynarodowego znaczenia Sowietów"²². Profesorowi Sukiennickiemu przypisywano postawę komunizującego lewicowca, zwłaszcza po procesie grupy H. Dembińskiego, w którym jako obrońca grupy czynnie i bardzo aktywnie uczestniczyła jego żona - Halina Sukiennicka. Dość należy, że w środowiskach komunizującej młodzieży wileńskiej głównie owej grupy, krążyły opinie, że Sukiennicki jest agentem II Oddziału - o czym też wspominał w 1939 r. jego przyjaciele radząc mu, aby się ukrył przed NKWD. Zaniepokojony tym profesor udał się w celu wyjaśnienia sytuacji do Stefana Jedrychowskiego,

zajmującego wówczas wysokie stanowisko w partii - i mającego bliskie kontakty z władzami sowieckimi. Na pytanie Sukiennickiego, czy "mogą mu grozić jakiegoś przykrości z powodu tych plotek..." Jedrychowski odpowiedział: "Panie profesorze - ja nie wiem. Ja wszystkim trzeba płacić. Ja nie wiem, czy "oni" i do mnie nie będą mieli jakichś pretensji"²³. "Oni" rzeczywiście mieli "pretensje", podobnie jak do większości Polaków, swiaszcza przedstawiciele inteligencji, którzy znaleźli się pod okupacją sowiecką. Latem 1941 roku aresztowano Sukiennickiego. Ponowne spotkanie z Jedrychowskim - jak wspomina Sukiennicki - miało miejsce w Kujbyszewie, gdzie Jedrychowski oświadczył profesorowi, że jego aresztowanie "było wynikiem nieporozumienia i że starali się /tzn. cała grupa - R.D./ to rozwikłać". Nieporozumienie to mogło kształtować mnie życie - miał powiedzieć profesor Wiktor Sukiennicki²⁴.

III

Losy Instytutu, to także losy ludzi, którzy go tworzyli. Podczas pierwszej okupacji sowieckiej we wrześniu i październiku 1939 roku Instytut i Szkoła nie wznowiły swej działalności, początkowo też żadne represje nie dotknęły ani kierownictwa, ani pracowników. Litwini przejmując na krótko z rąk sowieckich Wilno, również nie zezwolili na pracę Instytutu. Z początku także nie podejmowali działań represyjnych, lecz w miarę rosnącej presji sowieckiej dokonali pierwszych aresztowań wśród członków Instytutu. W nocy z 11 na 12 lipca, a więc jeszcze przed formalnym wcieleniem Litwy do ZSRR /21.VIII.1940/ zostaje na podstawie donosu aresztowany przez działającą na polecenie NKWD policję litewską - doc. inż. Władysław Wielhorski, dyrektor Instytutu i Szkoły Wyższej²⁵. We "Wspomnieniach z przeżytych niewoli sowieckiej" Wielhorski pisze: "27.VIII w nocy /.../ kazano mi skreślić skład profesury w Wyższej Szkole Nauk Politycznych w Wilnie, program Szkoły, zależność jej od organów centralnych państwa polskiego. W tydzień potem badali mnie ponownie we dwóch /.../. Powiedzieli, że wiedzą dobrze wszystko o naszej Szkole Nauk Politycznych. Była to ich zdaniem wyższa szkoła szpiegowska. Rozpoczęli tego dnia badanie od słów: "Pozdrawiam was, dyrektorze wyższej szpiegowskiej szkoły polskiej". Uczelnią naszą miał kierować II Oddział Sztabu Głównego z Warszawy. Jawny program drukowany stanowić miał jedynie parawan. Głównym i właściwym zadaniem uczelni były rzekomo kursy specjalne dla oficerów delegowanych przez Sztab do Wilna w tym celu. Na kursach tych przygotowywać miano wychowawców do służby wywiadowczej na terenie ZSRR. Stanowczo zaprzeczyłem /.../. Orzekli, że są w stanie postawić mi przed oczy absolwentów Szkoły, którzy powtórzą to w mojej obecności /.../. Oczywiście nigdy zapowiedzianej konfrontacji nie było"²⁶. 9 listopada 1940 roku Wielhorskiego postawiono oficjalnie w stan oskarżenia ze słynnego artykułu 58 par. 6 "za kierowanie działalnością szpiegowską skierowaną przeciwko Związkiowi Sowieckiemu". Jednak prowadzone różnymi metodami śledztwo oskarżenia tego nie zdołało udowodnić. Nie potwierdzali oskarżeń NKWD aresztowani oficerowie II Oddziału, którzy kategorycznie zaprzeczali wersję o kontaktach Wielhorskiego z Oddziałem II. W czerwcu 1941 roku zasadnicza podstawa areszt-

towania i oskarżenia uległa zmianie, po wywiezieniu zaś więźnia z Wilna do Rosji, NKWD wcale już nie interesowało się pracą Wielhorskiego w Instytucie i Szkole²⁷.

Po wybuchu wojny niemiecko- sowieckiej i dziesięciodniowej podróży Wielhorski przewieziony został do miasta Gorki nad Wołgą, gdzie przez trzy tygodnie pełnił funkcję... agronoma do celów inspekcji ekonomiczno-rolniczej kołchozów²⁸. Po czteremnastu miesiącach więzienia /licząc od daty aresztowania/ zostaje zwolniony pod warunkiem, że obierze sobie dobrowolnie miejsce zamieszkania w miasteczku Chuturino /rejon Oriczi w oblasti kijowskiej - dawna gubernia wiatka/. "Rzecz jasna nikt mnie nie pytał, gdzie chcę mieszkać"²⁹. Ciężko choremu i wycieńczonemu Wielhorskiemu udało się dotrzeć do wielkiego transportu Polaków, jadących do ośrodków formowania Wojska Polskiego w Azji Centralnej. Podczas postoju w Kujbyszewie transport był wizytowany przez ambasadora R.P. w Sowietach prof. S. Kota, który widząc ciężko chorego Wielhorskiego zaproponował mu leczenie w ambasadzie, a dopiero potem dalszą podróż do wojska. W ambasadzie Wielhorski spotkał przyjaciela - byłego konsula w Rydze - Waleriana Łopatto, przy którego pomocy szybko doszedł do zdrowia. "Pierwszą noc w ambasadzie spędziłem na podłodze; leżąc obok znajdującego się w podobnej sytuacji Władysława Broniewskiego"³⁰. W Kujbyszewie doc. Wielhorski był świadkiem pierwszej wizyty gen. Sikorskiego w ZSRR. Umowę Sikorski - Majski ocenił wówczas następująco: "Gdy chodzi o Sowiety, to rzecz przedstawia się dość plastycznie. Podpis ich na tym dokumencie wart jest mniej niż papier, na którym został złożony. Mogli w nim nawet oddać nam Smoleńsk. Ale gdyby byli przy zakończeniu wojny siłą decydującą o pokoju, zabrałiby i Warszawę czyniąc z niej wasalną wobec siebie stolicę Związkowej Sowieckiej Republiki Polskiej. To jasne i niewątpliwe. Dlatego też wyznaczenie granic w umowie, którą podpisano 30.VII.1941 r. - byłoby bez znaczenia - więcej nawet - szkodliwe. Nas krępowałoby każde zobowiązanie w tym względzie podpisane obecnie. Oni zaś są od podobnych stosunek się pomiędzy sprzymierzeńcami, którzy wojnę wygrają. Życzymy sobie, by Anglicy reprezentowali w tej spółce 90% udziałów, zaś Sowietci 10% w chwili ukonstytuowania wojny i by opinia nasza jako narodu w oczach Anglosasów stała jak najgłupszej. Życzymy sobie posiadania w tym momencie również jak najliczniejszej i najlepszej armii"³¹.

Po odeszciu Rosji Wielhorski znalazł się w Londynie, gdzie uczestniczył w pracach Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, Społeczności Akademickiej USA na Obczyźnie oraz Związku Ełem Północno-Zachodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Opublikował w wydawnictwach emigracyjnych wiele swoich prac, m.in. "Wielkie Księstwo Litewskie w komunistycznej historii Polski" /Teki historyczne, Londyn 1956/7, t. 8/, "Stosunki jerykowe, wyznaniowe i staiczne w W.Ka. Litewskim pomiędzy XIII a XVIII w." /Teki historyczne, Londyn 1964/1965, t. 13/, "Ełmie Wielkiego Księstwa Litewskiego w rozwoju kulturalnym" /Londyn 1956, wyd. PUNO/, "Los Polaków w niewoli sowieckiej 1939-1956" /Londyn 1956/, "Trzy pytania i trzy

odpowiedzi. Prawda o deportacjach Polaków pod panowaniem sowieckim" /Londyn 1964/, "Stosunki narodowościowe, wyznaniowe i językowe w W. Księstwie Litewskim" /Alma Mater Vilnensis, Londyn 1953, t. 3/, "Narodowość Mickiewicza w świetle współczesnej socjologii i etnografii" /Alma Mater Vilnensis, Londyn 1958, t. 5/. Był redaktorem i współautorem dwutomowego wydawnictwa "Pamiętnik Kijowski" /Londyn 1959, 1963/. Szczególnie cenne są dwie napisane po wojnie najobszerniejsze prace Władysława Wielhorskiego: "Polska a Litwa; stosunki wzajemne w biegu dziejów" /Londyn 1947/ i rozprawa pt. "Litwini, Białorusini i Polacy w dziejach kultury W. Księstwa Litewskiego", stanowiące drugi tom wydawnictwa "Alma Mater Vilnensis" /Londyn 1951/.

Znajomość istoty reżymu sowieckiego sprawiła, że prof. Sukiennicki nie posiadał do sowieckiej niewoli we Lwowie, gdzie przebywał jako oficer rezerwy we wrześniu 1939 r. "Jako cywil powrócił do Wilna i do wiosny 1941 pozostawał wraz z żoną i 7-letnim synem na wolności. Został aresztowany w czerwcu 1941 r. Po trzytygodniowej podróży został przewieziony do łagru w Krasnojarskim Kraju /.../. Przebywał w nim 7 miesięcy i ani razu nie zapytano go o pracę w Instytucie, ani też nie wyjaśniono za co został aresztowany. W wypełnionej w Łagrze ankiety wywnioskował, że aresztowanie i deportacja nastąpiły nie za pracę w Instytucie i Szkole, czy za wykłady na tajnym Wydziale Prawa USB w latach 1940/41, lecz za organizację polskiego harcerstwa i udział w POW w Kownie w latach 1918-1919"³². Po zwolnieniu z łagru na mocy tzw. "amnestii" w ostatnich dniach grudnia 1941 roku i po dotarciu do Buzłuka został telefonicznie wezwany do Rujbyszewa, gdzie prof. Kot zaproponował mu objęcie biura interwencyjnego ambasady. Chodziło o interwencje w sprawach obywateli polskich nie uwolnionych dotąd z więzień i łagrów. "Ponieważ do niedawna sam byłem jednym z nich - odpowiedziałem pozytywnie i od 21.I.1942 r. zostałem kierownikiem działu interwencyjnego ambasady"³³. W 1942 roku został radcą prawnym ambasady. Po wyjeździe do Iranu zainicjował tam Towarzystwo Studiów Irańskich. Po zakończeniu wojny Sukiennicki zakłada Społeczność Akademicką USB na Obczyźnie - jest też redaktorem pierwszego tomu "Alma Mater Vilnensis". W Londynie podejmuje pracę w Ministerstwie Prac Kongresowych i Informacji, wykłada także na Polskim Wydziale Prawa w Oxfordzie oraz w Szkole Nauk Politycznych w Londynie, gdzie ogłosił m.in. kurs wykładów "O współczesnych ideach i ruchach polityczno-społecznych". W okresie działalności Trybunału w Norymberdze zajmował się zbrodnią katyńską i przygotował pierwsze w tej sprawie obszerne memorandum, ogłoszone następnie w aktach amerykańskiego Kongresu. W latach 1948-49 czynnie współpracuje z Instytutem Wschodnim "Reduta", gdzie jest jednym z głównych wykładawców na Kursie Spraw Wschodnich. Powraca wówczas do studiów sowiektologicznych, prowadząc różne wykłady i seminaria, takie jak np. "Historia rosyjskich ruchów rewolucyjnych", "Trzydzieści lat emigracji rosyjskiej", "Społeczno-polityczna doktryna marksizmu-leninizmu-stalinizmu", "Partia - jej rola i znaczenie w ZSRR", "Polacy w ZSRR"³⁴. W połowie lat pięćdziesiątych wyjeżdża na kilkuletni okres do Monachium - podejmując

pracę w "Głosie Wolnej Polski" radia Free Europe". W początku lat sześćdziesiątych porzucił jednak swoją pracę w Radio Wolna Europa i przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, gdzie przy pomocy Zbigniewa Brzezńskiego uzyskał pracę w Instytucie Hoovera przy Uniwersytecie w Stanford w Kalifornii. Współpracował tam przy przygotowywaniu historii Kominternu za panowania Lenina. Odchodzi jednak coraz bardziej od zagadnień historycznych i prawnych poświęcając się historii, co znalazło m.in. swój wyraz w jego artykułach, ogłaszanych od 1950 r. w "Kulturze" i "Zeszytach Historycznych"³⁵. Od 1968 roku studiuje intensywnie dzieje Europy środkowo-wschodniej w czasach I wojny światowej, które w ostatnim okresie życia pasjonują go najbardziej. Praca ta, której fragmenty drukowano w "Pamiętniku Wileńskim" w 1972 r. ukazała się niedawno w Stanach Zjednoczonych jako ponad 1000-stronicowe dwutomowe dzieło "East Europe in World War I 1914-1919. From Foreign Domination to National Freedom".

Obok zbierania materiałów do wspomnianej książki prof. Sukiennicki prowadził szeroką akcję odczytową. "Podróże te organizował w ten sposób, że kupował w Stanach Zjednoczonych bilet okrężny na podróż po Europie, robił listę odczytów, które gotów był wygłosić,jechał wszędzie /.../, gdzie wytworzyła się grupa Polaków gotowa jednego z tych odczytów wysłuchać, pod warunkiem, że zabezpieczą mu nocleg. Poza tym koszty podróży pokrywał sam"³⁶. Podsumowując tę akcję i informując o jej olbrzymim sukcesie w liście do redakcji "Kultury" prof. Sukiennicki napisał: "Jeśli w pewnym stopniu było to poszukiwanie utraconego kraju - nie zniewolonej Polski - sukces był całkowity, gdyż niedzie nie miałem najmniejszych trudności w znalezieniu wspólnego języka z setkami osób, które widziałem po raz pierwszy"³⁷.

We wszystkich swych pracach, nawet w tych niedotyczących Kresów, myślał i pisał prof. Sukiennicki o Wilnie - swym mieście miłym - na zawsze utraconym. To właśnie tęsknota za Wilnem, owe "poszukiwania wolnej ojczyzny" były powodem jego wędrówek, zmian miejsca zamieszkania, chęci poznania nowych ludzi. Oprócz choroby nowotworowej, która niszczyła jego organizm - Sukiennicki - jak mówi Czesław Miłosz - był chory na wygnanie - do końca życia nie mógł sobie znaleźć miejsca, które choćby w części pozwalało "wrócić do Wilna". Przed śmiercią /zmarł 10.IV.1983 r. w Kalifornii/ polecił, by prochy jego rozsypać po falach Pacyfiku - skoro nie może być pochowany w Wilnie.

Trzecią osobą, której losy wojenne związane były z wcześniejszą pracą i Instytucie i Szkole Wyższej był prof. Stanisław Świaniewicz. Kampanię Wileńską odbył w Wileńskim Pułku Strzelców /88 p.p./ jako oficer rezerwy. 29 września, wraz z grupą około trzydziestu oficerów został wzięty do niewoli przez wojska sowieckie w lasach na północny wschód od Jarosławia. Z obozu przejściowego w Pitiwlu przewieziono go wraz z innymi do obozu w Kozieleku³⁸. Prof. Świaniewicz był jedynym oficerem Polakiem, który został oddzielony z transportu oficerów z Kozielecka i dzięki temu mógł obserwować, jak wyglądało przewożenie jego kolegów autobusem z zamalowanymi wapnem oknami w nieznanym kierunku - do Łasku

katyńskiego. Jak sam wspomina w wydanej w 1974 r. książce "W cieniu Katynia": "Interwencja prokuratorska stawiająca mnie w stan oskarżenia była, jak mogę wnioskować z różnych okoliczności, bezpośrednim powodem wydzielenia mnie z kategorii jeńców wojskowych przeznaczonych do natychmiastowej likwidacji fizycznej. Zostałem oskarżony o przestępstwo przewidziane w sowieckim Kodeksie Karnym. Byłem więc w dyspozycji władz prokuratorskich i dalsze moje losy musiały być regulowane przepisami sowieckiej procedury karnej"³⁹. Wysłunięto przeciw niemu dwa zarzuty: współpracy z wywiadem polskim, która polegała na kierowaniu studiami nad ekonomią sowiecką w Instytucie w Wilnie oraz współpracy z wywiadem polskim w czasie podróży do Niemiec w 1937 roku i pisanie książki o polityce gospodarczej Niemiec hitlerowskich w 1938 r.

Nie znamy innych powodów, którymi kierowało się NKWD wyłączając Swianiewicza z transportu katyńskiego, ale jeśli przyjąć sugestie autora, to można stwierdzić, że "udział w pracach wileńskiej wyższej szkoły szpiegowskiej" w iście "dialektyczny sposób" uratował prof. Stanisławowi Swianiewiczowi życie. Wydaje się jednak, że władzom sowieckim bardziej zależało na Swianiewiczu jako znawcy gospodarki Niemiec hitlerowskich niż jako "szpiegu II Oddziału". Przesłuchiwany na Butyrkach i Lubiance prof. Swianiewicz o wiele częściej był pytany o system finansowania zbrojeń niemieckich niż o pracę w Instytucie. "Od tego czasu śledztwo polegało na tym, że późnym wieczorem zabierano mnie do gabinetu sędziego śledczego i tam przez całą noc pisałem to, co określiłem jako model gospodarczy niemieckiego dozbrojenia, a co właściwie mźwiąc stanowiło rosyjskie streszczenie niektórych rozdziałów mojej książki" /"Polityka gospodarcza Niemiec hitlerowskich", Warszawa 1938, wyd. "Polityka"/⁴⁰. Sowietom nie udało się utrzymać oskarżenia o szpiegostwo. W końcu lutego 1941 r. skazano go jako "element społecznie niebezpieczny" na osiem lat łągrows, skąd na skutek licznych interwencji ambasady został zwolniony, dostarczając władzom polskim pierwszych informacji o transportach poszukiwanych oficerów z Kozielska w rejon Smoleńska⁴¹.

Po opuszczeniu Rosji Swianiewicz pozostaje pewien czas na Wschodzie, kierując Biurem Studiów w Jerozolimie, ustanowionym przez rząd polski. W 1944 roku obejmuje dział wschodni w Ministerstwie Prac Kongresowych - przygotowując materiały do spodziewanej konferencji pokojowej. Po wojnie wraca do pracy naukowej. Przez kilka lat stoi na czele Wydziału Ekonomii i Handlu w Polish University College. Potem piastuje stanowisko Senior Research Fellow na uniwersytecie w Manchester - zajmując się studiami nad problemem przeludnienia agrarnego w Europie wschodniej i Azji. W 1956 roku wyjeżdża z ramienia UNESCO na dwa lata do Indonezji. Po powrocie dostaje nominację jako Fellow in International Studies w London School of Economics, stanowiącej część Uniwersytetu Londyńskiego. W 1963 r. przechodzi na katedrę ekonomii i statystyki w Saint Mary's University w Halifax, w Kanadzie. W 1965 r. Oxford's University Press wydaje jego książkę "Forced Labour and Economic Development", w której prof. Swianiewicz jako jeden z pierwszych

podjął problematykę pracy przymusowej w rozwoju sowieckiej ekonomii. Jest to wstrząsająca analiza celów i form funkcjonowania Gułagu⁴². W latach 1966-68 prof. Swianiewicz wykłada w Uniwersytecie Notre Dame w Indianie /USA/. W roku 1968 powraca do St. Mary's University, który to uniwersytet przyznaje mu /1982/ doktorat honoris causa. Od 1973 r. stale mieszka w Londynie uczestnicząc aktywnie w pracach szeregu komisji praw człowieka i obywatela. Na kilka dni przed rozpoczęciem prac Konferencji Międzynarodowego Poparcia dla Sacharowa /International Sakharov Heaving/ w Kopenhadze, na której miał zreferować sprawę Katynia, został ciężko pobity przez "nieznanego sprawcę". Mimo to profesor Swianiewicz był na konferencji, czynnie uczestnicząc w jej pracach. Swianiewicz jest autorem około czterdziestu prac naukowych, napisanych głównie po angielsku.

Mimo aresztowań, wyroków i łagrów udało się Wielhorskiemu, Sukiennickiemu i Swianiewiczowi wydostać z ZSRR. O wiele tragiczniejszy los spotkał profesora Stefana Ehrenkreutz, ostatniego rektora USB, założyciela Instytutu, który przez cały czas jego istnienia był jego duszą i niezmordowanym organizatorem. W latach 1939-1940 nie był represjonowany przez władze sowieckie. Do 1945 r. kierował Tajnym Uniwersytetem. Został aresztowany przez NKWD dopiero w 1945 roku, po ponownym zajęciu Wilna przez Sowiety i w lipcu tegoż roku zginął zamordowany w katowni NKWD pod gmachem wileńskiego sądu⁴³.

IV

Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej w Wilnie był największą placówką polską, która w sposób naukowy zajmowała się Związkiem Sowieckim i wytworzonym w nim komunistycznym reżymem totalitarnym. Dziś mówiąc o badaniach sowietologicznych Instytutu nie należy jednak zapominać, że był on również Instytutem badań całej Europy Wschodniej, o czym dobitnie świadczą prace takich sekcji, jak etnograficzna czy językoznawcza. Mając to jednak na uwadze, należy wypuklić przede wszystkim opisywane w tym szkicu studia sowietologiczne. Opracowania dotyczące ZSRR wykonywane w Instytucie przeczyły powszechnym wówczas poglądom, iż trudno naukowo analizować bliskie teraźniejszości wydarzenia. Działalność Instytutu dowiodła, że przy najdalej idącym obiektywizmie można się naukowo zajmować tak mało znaną i zakłamaną rzeczywistością, jak rzeczywistość sowiecka. Najwybitniejszym przykładem doskonałego wykorzystania fałszywych i tendencyjnych źródeł sowieckich do rzeczowej i obiektywnej analizy nie tylko poszczególnych zagadnień, lecz do sformułowania obrazu całego systemu we wszystkich jego aspektach jest praca W. Sukiennickiego o ustroju ZSRR, którą śmiało można uznać za najlepszą i najwartościowszą pracę sowietologiczną Instytutu. Inną zasługą Instytutu była nie tylko umiejętność łączenia badań sowietologicznych z ogólnymi - poświęconymi Europie Wschodniej, lecz ich upowszechnienie, głównie w Szkole Wyższej, ale też na częstych odczytach i podczas posiedzeń seminarijnych. Obok wypracowania nowych metod /studia prasoznawcze/ w

Instytucie tworzono też bazę źródłową dla przyszłych badań. Komplety czasopism sowieckich, biblioteka, kartoteki informacyjne - miały stanowić podstawę przyszłych i głębszych analiz.

Powstały w latach kryzysu gospodarczego Instytut stale borykał się z kłopotami finansowymi, lokalowymi, często też kadrowymi. Bywało też, że władzom policyjno-administracyjnym niezbyt podobały się opracowania naukowców z Instytutu⁴⁴ krytykujące ich politykę narodowościową. Ogólnie rzecz biorąc ani w Wilnie, ani w Polsce nie doceniono prac Instytutu. Wynikało to zresztą z niedoceniaenia wagi badań sowietologicznych tak w Polsce, jak i na całym świecie. Fakt ten jednak w niczym nie umniejsza roli Instytutu w badaniach sowietologicznych, w których nazwiska profesorów Wiktora Sukiennickiego i Stanisława Swianiewicza, a także docenta Władysława Wielhorskiego zajmują czołowe miejsce.

W kwietniu, miesiącu Katyńia, 1985 r.

Roman Dworek

Przypisy

1. Statut Stowarzyszenia "Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej", Warszawa 1930, par. 2.
2. Ibid., par. 3.
3. M. Brensztejn: "Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie", w: "Wilno; Ziemia Wileńska. Zarys monograficzny", t. 2, Wilno 1937, s. 135.
4. "Balticoslavica" Biuletyn Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie, Wilno 1933, t. 1, s. VI /nota redakcji do czytelnika/.
5. Ibid.
6. Dziennik Ustaw R.P., nr 97 z 27.10.1932, poz. 791.
7. Statut Wyższej Szkoły Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie, Wilno 1930.
8. Stanisław Swianiewicz - ur. 7.12.1899 r. w Dyneburgu. Studiował na wydziale prawnym Uniwersytetu w Moskwie a potem w USB, a także w Paryżu, Wrocławiu i Wiedniu. W czasach szkolnych należał do "Odrodzenia" /1913-1917/, od 1917 członek POW. W 1912 komentant POW w Dyneburgu. 1919-1921 - ochotnik w Wojsku Polskim. Docent ekonomii politycznej USB, doktor praw ekonomicznych. Do 1939 r. ogłosił m.in. "Psychiczne podłoże produkcji w ujęciu Jerzego Sorela" /1926/, "Momenty irracjonalne w teorii wyzysku" /1928/.
9. Wiktor Sukiennicki - ur. 25.07.1901 r. na Kowieńszczyźnie. Studiował prawo na USB, a także w Paryżu, Wiedniu, Kolonii, Hadze i Rzymie. W gimnazjum należał do harcerstwa, następnie do POW w Rownie. 1920-1922 w Wojsku Polskim. Odznaczony Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Walecznych. Docent i zastępca profesora USB.

10. St. Swianiewicz: "Lenin jako ekonomista", Wilno 1930, INBEWSch, Sekcja gospodarcza, nr 1, s. 149-150.
11. Idem., Rzut oka na zasadnicze problemy sowieckiej polityki gospodarczej, "Rocznik Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie", t. 2, Wilno 1934, s. 9 /dalej cyt. Rocznik..., t. 2/.
12. N. Kłosowska, "Mistrz", "Kultura" nr 6, 1984, s. 105.
13. "Rocznik...", t. 1, s. 241-242.
14. Ibid., s. 248.
15. Ibid., s. 251. Interesująca jest przy tym refleksja autora po omówieniu art. 58: "na podstawie tego artykułu można dojść do wniosku, że ruch skierowany przeciw komunistom, a opowiadający się przy tym za Sowietami należy uważać za kontrrewolucyjny, albowiem rząd składa się z komunistów" /s. 248/.
16. Wileński Przegląd Prawniczy, nr 10, 1937, s. 18.
17. Wspomnieć też należy o akcji odczytowej, którą prowadzili członkowie seminarium prof. W. Sukiennickiego oraz częstych publicznych posiedzeniach seminarium.
18. St. Swianiewicz, "Wspomnienia o Wiktorze Sukiennickim", "Zeszyty Historyczne", nr 66, 1983, s. 60-61.
19. W. Sukiennicki, "Legenda i rzeczywistość...", s. 40.
20. St. Swianiewicz, "Wspomnienia...", s. 62.
21. W. Weintraub, "Wiktor Sukiennicki 25.VII.1901 - 10.IV.1983", "Puls", nr 20 /1983/, Londyn, s. 182.
22. W. Sukiennicki, "Legenda i rzeczywistość...", s. 27.
23. Ibid., s. 88.
24. Ibid.
25. Władysław Wielhorski - ur. 6.03.1885 r. w Złobyczach pow. żytomierski. Studiował na wydziale matematyczno-przyrodniczym Uniwersytetu w Kijowie i na UJ, a także we Francji. W czasach szkolnych członek rady i prezes tajnej organizacji uczniowskiej. Podczas studiów członek polskiej korporacji studenckiej w Kijowie. W 1918 r. przedstawiciel gub. Kowieńskiej w Radzie Narodowej Litwy i Białorusi. W 1919 r. ochotnik w Wojsku Polskim. 1920-1924 - organizator i kierownik POW na Litwie Kowieńskiej. Członek i wiceprezes Polskiego Komitetu Narodowego. Poseł na Sejm R.P. Do 1939 r. ogłosił ok. 200 prac i artykułów z dziedziny stosunków polsko-litewskich w prasie codziennej i periodycznej. Najważniejsze z nich to: "Byt ludności polskiej w państwie litewskim" /1925/, "Litwa etnograficzna" /1928/, "Litwa współczesna" /1938/, "Polityka ekonomiczna Litwy" /1933/.
26. W. Wielhorski, "Wspomnienia z przeżyć w niewoli sowieckiej", Londyn, 1965, s. 38. Dla pełnego pokazania prawdy historycz-

nej trzeba wyjaśnić, że w Szkole Wyższej przy INBEWsch rzeczywiście odbywali studia oficerowie delegowani przez Sztab Główny WP.

27. Ibid., s. 97.
28. Ibid., s. 102.
29. Ibid., s. 97.
30. Ibid., s. 118.
31. Ibid., s. 129.
32. W. Sukiennicki, "W połowie drogi", "Kultura", nr 4/30, 1950, s. 41, "Legenda i rzeczywistość...", s. 88, 101.
33. Ibid., "Akcja interwencyjna Ambasady R.P. w ZSRR" w: "Zeszyty Historyczne" nr 59, 1982, s. 164-185.
34. Kurs Spraw Wschodnich Instytutu "Reduta". Maszynopis powielony, Londyn 1949 /spis wykładów/.
35. "Pięćdziesięciolecie", art. red. "Kultura" nr 1-2, 1977, s. 174-175.
36. St. Swianiewicz, "Wspomnienia...", s. 66.
37. W. Sukiennicki, "List do redakcji", "Kultura" nr 6, 1977, s. 135.
38. St. Swianiewicz, "Strzelcy Wileńscy na szlaku katyńskim. Fragment wspomnień", w: "Pamiętnik Wileński", Londyn 1972, s. 111-112.
39. Idem., "W cieniu Katynia", Paryż 1974, s. 148.
40. Ibid., s. 154.
41. St. Swianiewicz, "Wspomnienia...", s. 63, "W cieniu Katynia", s. 154.
42. Por. rec. Marshall, I. Goldman, "Perspectives on the Soviet Economy" w: "Problems of Communism", nr 6, 1965, s. 91-92.
43. A. Święcicki: "Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie w latach 1919-1939. Jego dziedzictwo dzisiaj. Wydział Prawa i Nauk Społecznych" w7 "Spotkania" nr 15, s. 58.
44. Jak to zwykle bywa - Instytut docenili inni. Według relacji prof. Swianiewicza w czasie krótkich rządów litewskich w Wilnie zjawili się Japończycy, którzy wykazali duże zainteresowanie Instytutem i proponowali, że przeniosą go razem z głównymi pracownikami do Sztokholmu. Sukiennicki po naradzie z rektorem Stefanem Ehrenkreutzem oraz Aleksandrem Prystorem, byłym premierem, który był członkiem Rady Instytutu, postanowili tę ofertę odrzucić. /St. Swianiewicz, "Wspomnienia o Wiktorze Sukiennickim", s. 62/.

EGON FINDELKIND

ANALIZA "DESPOTYZMU ORIENTALNEGO" WEDŁUG WITTFOGŁA

Po lekturze dzieła życia Karola A. Wittfogla zaczynamy post-
 rzęgać świat wyraźnie dualistycznie. Istnieją zasadniczo dwa mo-
 dele rządów: monocentryczny i policentryczny. Pierwszy z nich
 jest z wielu względów bardziej skuteczny, pozbawia jednakże czło-
 wieka wszelkich swobód. Drugi natomiast jest znacznie bardziej
 skomplikowany, ale daje szansę aktywnego i bardziej godnego życia.
 Potocznie sądzi się dzisiaj, że ten, kto totalitaryzm odczuł na
 własnej skórze, potrafi docenić tę bardziej złożoną i wolną formę
 rządów. Herodot odwraca tę sytuację. Opowiada, jak dwaj posłowie
 spartańscy Spartias i Bulis oparli się pokusom totalnej władzy. W
 czasie swej podróży do Suzy spotkali wysokiego urzędnika perskie-
 go, który obiecywał im wielką władzę, jeśli przejdą na służbę je-
 go pana, potężnego króla, władcy despotycznego. Posłańcy mieli
 jakoby odrzec: "Hydarnesie, rada, jaką nam dajesz, jest subiektyw-
 na. Wypróbowałeś jedno i zachwalasz to, ale nie znasz drugiego.
 Od samego początku jesteś niewolnikiem i nie poznałeś czy wolność
 jest słodka, czy też nie. Gdybyś zakosztował wolności, radziłbyś
 nam walczyć o nią nie tylko dzidą, ale i toporem". Tym to opowia-
 daniem Herodota zamyka Wittfogel swe dzieło, chcąc czytelnikowi
 żyjącemu w kraju, który nie jest rządzony totalitarnie, uświadomić,
 że warto walczyć o zachowanie swej wolności, że trzeba jej
 bronić. To przeświadczenie nie wydaje się jednak być głęboko za-
 korzenione. Tak myślą przede wszystkim ci, którzy sądzą, iż wol-
 ność jest zbyt atrakcyjna, żeby mogła być zwyciężona przez nie-
 wolę. Wittfogel, który z jednej strony poznał życie w obczie kon-
 centracyjnym po dojściu Hitlera do władzy, z drugiej zaś jako by-
 li komunista był głęboko dotknięty stalinowskimi procesami poka-
 zowymi, nie podziela tego optymizmu. Co więcej, obawia się, że
 wolne, czyli policentryczne kraje będą za słabe, by stawić czoła
 pośredniemu bądź bezpośredniemu atakowi despotyzmu. Wittfogel wi-
 dział przecież w Niemczech jak szybko republika i demokracja mogą
 zmienić się w system totalitarny.

W przeciwieństwie do krajów demokratycznych despotyzmy wyka-
 zują niesłychaną żywotność. Są w stanie przetrwać mimo dużych
 wstrząsów nawet nowoczesny rozwój przemysłowy. Dlatego bezwzględ-

nie konieczne jest uświadomienie sobie mechanizmów despotycznych, monocentrycznych form rządzenia. Wnioski, do jakich już w osiemnastym wieku doszedł Montesquieu, a w dziewiętnastym m.in. John Stuart Mill, już nie wystarczają. Wiek dwudziesty stworzył nowe fenomeny: faszyzm, komunizm, dyktatury w krajach trzeciego świata, a także ogromny rozrost biurokracji w skali światowej. Dotychczasowe analizy można stosować jedynie w ograniczonym zakresie. Niezbędny jest nowy system pojęć.

Wittfogel ujmuje problem genetycznie pytając o przyczyny powstania despotyzmu orientального. Pojawia się on bowiem tam, gdzie warunkiem produkcji rolniczej były prowadzone na szeroka skalę roboty melioracyjne, gdzie nie wystarczało orać i siał, gdzie ziemia musiała być najpierw przygotowana do uprawy poprzez rozległy system nawadniania. Nawiązując do tego mówi Wittfogel o hydraulicznej kulturze rolnej lub o gospodarce hydraulicznej, która warunkuje "swoistą formę sposobu pracy" i wymaga przede wszystkim "daleko posuniętego współdziałania". Rolnicy musieli poświęcać znaczną część swego czasu nawadnianiu lub też ochronie upraw przed nadmiarem wody, budując groble i całą sieć kanałów. Warunkiem powstania tychże "budowli wodnych" była współpraca wielu ludzi a także istnienie kierownictwa, co ma zasadnicze znaczenie dla ukształtowania się despotyzmu. "Praca wielkich, skoordynowanych grup wymaga kierowników i nadzorców, którzy są zawsze na miejscu, a także organizatorów i planistów czuwających nad całym przedsięwzięciem. Przy wielkich robotach nawadniających pojawiają się oba typy kierowników". W ten sposób powstaje aparat hydrauliczny, który z czasem przejmie władzę polityczną. Na jej zachowanie wywierają wpływ "zasady organizacji wytworzone w procesie powstawania hydraulicznej kultury rolnej".

Wraz z jej powstaniem pojawia się potrzeba budowania umocnień obronnych, bo "w przeciwieństwie do rolnika, którego pola są nawadniane po prostu opadami deszczu, dzięki czemu może się on stosunkowo łatwo przemieszczać, rolnik korzystający z urządzeń melioracyjnych jest znacznie bardziej zależny od swego nieruchomego ale bardzo opłacalnego źródła urodzajności. Sieć urządzeń nawadniających zmusza wspólnoty rolników już w początkowym okresie powstawania rolnictwa hydraulicznego do budowy systemów obronnych chroniących ich siedziby i pola. Do takiego postępowania hydrauliczna kultura rolna zachęcała w dwojaki sposób. Z jednej strony nauczyła posługiwanie się różnorodnymi materiałami budowlanymi /ziemia, kamień, drewno/, z drugiej strony przyzwyczajała do używania ich w sposób zorganizowany. Ludzie, którzy posiadli sztuki budowania grobli i kanałów, mogli bez trudu wznosić wieże, palisady czy długie mury obronne bądź kopać rowy". Budowanie fortyfikacji automatycznie powiększało liczebność aparatu kierowniczego, który zaczynał skupiać w swym ręku ogromną władzę.

Dzięki przyzwyczajeniu społeczeństwa do szeroko zakrojonych prac mogły także powstawać budowle nie mające nic wspólnego z pierwotnymi, koniecznymi potrzebami, takie jak: wspaniałe świątynie, pałace, monumentalne grobowce, potężne dzielnice rządowe i

wzbudzające powszechny podziw długie trakty. Do ich budowy angażowano olbrzymie masy ludzi. "Inskrypcja z czasów dynastii Han przekazuje, że przy budowaniu drogi w Chinach zachodnich w latach 61-66 n.e. użyto 766 800 mężczyzn, w tym tylko 2690 więźniów". "Według Dziejów dynastii Sui przy wznoszeniu Wielkiego Muru zatrudniono ponad milion ludzi".

Monumentalność jest podstawową cechą tych reprezentacyjnych budowli. Wrażenie estetyczne osiąga się tu "dzięki maksymalnej ilości zastosowanych materiałów, przy minimalnej zawartości idei". Panujący w społeczeństwie hydraulicznym mogli sobie pozwolić na taki styl, ponieważ nieograniczenie dysponowali "całym materialnym i ludzkim potencjałem swego kraju". Przy "rozdrobnionej organizacji rolnictwa opartego na opadach atmosferycznych" tego rodzaju "formy narodowego współdziałania" nie były możliwe. "Rozliczne centra właścicieli ziemskich w feudalnej Europie mieściły tyleż samo warownych rezydencji /zamków/, ich wielkość zależna była od liczby poddanych. Król będący jedynie głównym panem feudalnym musiał budować swe zamki przy pomocy ograniczonej ilości robotników ze swoich własnych domen. Jeżeli chodzi o zasięg władzy nad ludźmi i naturalne źródła pomocne w jej zdobywaniu, to zlecający budowy w państwach hydraulicznych nie mieli sobie równych w świecie niehydraulicznym. Skromny londyński Tower i szereg rozproszonych w średniowiecznej Europie zamków charakteryzują zdecentralizowane społeczeństwo feudalne epoki Magna Charta tak samo dobrze, jak potężne miasta-ośrodki administracji, olbrzymie pałace, świątynie i grobowce Azji i Starej Ameryki wyrażają ujednolicającą i organizującą władzę w gospodarce hydraulicznej".

Władcy społeczeństw hydraulicznych dysponują wielkim potencjałem ludzkim, mogą oni bowiem "zmuszać do pańszczyźnianej pracy wszystkich dorosłych należących do warstw nieuprzywilejowanych". Panowie feudalni mieli do dyspozycji jedynie chłopów pańszczyźnianych i poddanych ze swoim domen.

O pańszczyźnie pisze Wittfogel: "Pańszczyzna jest pracą przymusową, ale nie można porównywać jej z niewolnictwem, które było nieograniczone w czasie, podczas gdy pańszczyzna odrabiana była periodycznie i przejściowo. Po wykonaniu przydzielonej pracy chłop pańszczyźniany mógł iść do domu do swych własnych zajęć. Dlatego był bardziej niezależny niż niewolnik, ale mniej wolny niż robotnik najemny. Nie miał prawa swobodnie sprzedawać swej siły roboczej na rynku pracy i to nawet wtedy, gdy państwo dawało mu nieco pieniędzy. W sytuacji wysoko rozwiniętej gospodarki plemienną rząd hydrauliczny może ściągać podatek pańszczyźniany i za zdobyte w ten sposób środki werbować potrzebnych robotników, zamiast powoływać ich pod przymusem. Ten niecodzienny model został zastosowany w Chinach pod koniec rządów dynastii Ming i odgrywał dużą rolę za panowania mandżurskiej dynastii Tsing. Tutaj jednak jak i wszędzie rząd określa wysokość zapłaty arbitralnie, a robotnicy poddani są wojskowej dyscyplinie. Pomijając sytuację kryzysowe państwo hydrauliczne dysponowało zawsze siłą roboczą, jakiej potrzebowało, bez względu na to, czy robotnicy byli werbowani, czy powoływani przymusowo. Wielki Mogoł Akbar mógł na swój rozkaz /firman/ powołać dowolną liczbę ludzi. Była ona ograniczo-

na jedynie liczbą ludności jego monarchii. Mutatis mutandis dotyczy to wszystkich kultur hydraulicznych".

Po tych genetycznych w istocie rozważaniach przechodzi Wittfogel do strukturalnej analizy despotyzmu.

Zaraz na początku stwierdza, że despotyczne albo hydrauliczne państwo jest silniejsze od społeczeństwa. Jest to prawdziwe "państwo menagerów". Kontrolując wszystkie przedsięwzięcia nie pozwala "niepaństwowym siłom społecznym na łączenie się w niezależne związki, które mogłyby zrównoważyć aparat polityczny". Siły niepaństwowe "posiadające wpływ społeczne bądź polityczny" to według Wittfogla "między innymi związki rodowe /szczególnie w społeczeństwach prymitywnych/, przedstawiciele autonomicznych organizacji religijnych /często w kulturach prymitywnych, ale nie tylko, jak pokazuje historia kościoła katolickiego/, mniej lub bardziej niezależni przywódcy jednostek wojskowych /wodzowie plemion trudniących się łowiectwem i rozbójem, dowódcy feudalnych jednostek wojskowych i posiadacze różnych rodzajów własności /pieniędzy, ziemi, narzędzi, urządzeń przemysłowych, siły roboczej/". W państwach despotycznych nie występuje względnie niezależna szlachta, nie ma samodzielnych cechów, wolnych miast, wolnych kościołów, silnych autonomicznych związków rolników, związków zawodowych czy partii. Jeśli nawet istnieją, to spełniają wyłącznie rolę służebną wobec aparatu państwowego. Nie mogą stać się partnerami, a już w żadnym wypadku przerodzić się w siłę opozycyjną.

Powstaniu niezależnych sił społecznych stoją na przeszkodzie przede wszystkim warunki obiektywne. Ponieważ wznoszenie i konserwacja wielkich budowli wymagały pewnej zręczności organizatorskiej, został stworzony cały aparat, który regularnie zestawiał wszystkie potrzebne dane, aby "móc połączyć niejednorodne elementy w jedną całość". Co pewien czas trzeba dokonywać spisów ludności, mierzyć odległości, przewidywać okresy powodzi czy suszy etc. Społeczeństwa hydrauliczne jako pierwsze wypracowały, zdaniem Wittfogla, racjonalne metody pisania i liczenia. "W Chinach znano już za czasów dynastii Szang, tj. w drugim tysiącleciu p.n.e., rozwiniętą metodę pisania i liczenia. Za panowania następującej po niej dynastii Czou istniały już listy ze spisami ludności wykorzystywane przy werbunku do pracy i armii oraz przy obliczaniu dochodów i wydatków państwowych". Spisy były zawsze przeprowadzane przez państwo. Jego administracja chciała sobie stworzyć obraz tego, "jakie zasoby ludzkie i materialne ma do dyspozycji". Jednocześnie tworzyła się więc biurokracja w znaczeniu dosłownym, czyli "rządzenie poprzez biura". Była ona właściwą ostoją despotyzmu. Państwa despotyczne są zawsze, co Wittfogel wielokrotnie podkreśla, także państwami biurokratycznymi.

Niezwykle ważną rolę odgrywa w każdym państwie system komunikacji. Jest on warunkiem sprawowania władzy, to jest przekazywania rozkazów niższym urzędnikom, a panującemu informacji o sytuacji w kraju. W despotyzmie system komunikacji znajduje się całko-

wicie w ręku państwa. Jest uważany za "narzędzie polityki". Prywatne konkurencyjne systemy są z zasady wykluczone. Nie do pomyslenia jest tutaj sytuacja, jaka panowała w "zdecentralizowanych społeczeństwach Europy średniowiecznej", gdzie "osoby prywatne, grupy zawodowe /kupcy, rzemieślnicy/ bądź miasta nawiązywały ponadpaństwowe stosunki na długo przedtem, zanim rządy tych państw zaczęły organizować łączność pocztową".

Poczta jest w państwach despotycznych jednocześnie agencją informacyjną i wywiadowczą. Dlatego nie dziwi fakt, że w epoce kalifów "główny dyrektor poczty był jednocześnie szefem wywiadu". "W akcie nominacji z roku mahometańskiego 315 /927-928 według naszego kalendarza/ stwierdza się wyraźnie, że kalif oczekuje od poczmistrza wyczerpujących informacji o rolnictwie, warunkach życia ludności, zachowaniu sędziów, kursie pieniądza, a także innych ważnych wydarzeniach. Tajne raporty musiały zawierać wyodrębnione dane o różnych grupach urzędniczych, np. o urzędnikach policji, poborcach podatków, sędziach. Dyrektywy omawiały szczegółowo metody, jakimi należy się posługiwać przy zbieraniu i opracowywaniu relacji".

Dobrze rozbudowana sieć pocztowa mogła być także wykorzystywana do wykrywania abiegów. Opozycja chcąc pokonać taki system musiałaby zbudować własny, równie szybki i dokładny system informacyjny; jest to jednak w despotyzmie prawie nieosiągalne.

Istotnym oparciem w sprawowaniu władzy państwowej są zawsze siły zbrojne. Państwa despotyczne już w okresach pokoju potrafią zorganizować ludność, tym bardziej w czasie wojny mają one "niezwykle możliwości koordynowania ludzi w masowych akcjach. Szczególnie widoczne jest to, jeśli uwzględnimy tak ważne aspekty wojskowości, jak monopolizacja i koordynacja działań militarnych, organizacja zaopatrzenia, wiedza wojskowa i potencjalna liczebność armii. Porównawcze zestawienie tych i podobnych danych ujawnia instytucjonalne właściwości społeczeństwa hydraulicznego w dziedzinie wojskowości". Rzuca się w oczy liczebność wojska w państwach despotycznych. Jest ona zawsze imponująca. "Cesarze Liao posiadali w swych szeregach wyborową kawalerię w sile od 50 do 60 tysięcy wojowników; źródła mówią też o oddziałach milicji skupiających około miliona ludzi. Za czasów dynastii Sung /960-1279/ państwo chińskie miało posiadać, może nie zawsze w całości sprawną, regularną armię w sile miliona ludzi". Wielkie państwa mahometańskie dysponowały setkami tysięcy żołnierzy.

Władca feudalny natomiast, zawsze napotykał na trudności przy formowaniu wojska. "Pan lenny w państwie feudalnym nie miał monopolu na akcje militarne. Zazwyczaj mógł zmobilizować swych wasali tylko na krótki okres czasu, pierwotnie prawdopodobnie na trzy miesiące, a potem na czterdzieści dni; pomniejsi panowie lenni byli często zobowiązani tylko do służby dwudziesto- lub dziesięciodniowej, bądź jeszcze krótszej. Ta czasowo ograniczona mobilizacja dotyczyła ponadto tylko części wasali zdolnych do służby wojskowej, około 1/3 lub 1/4 albo nawet mniejszej. I często nawet ten ułamek zdolnej do służby wojskowej ludności nie był do niej

zobowiązany, jeśli suweren prowadził wojnę poza granicami kraju. Król bądź cesarz miał pełną władzę wyłącznie nad swymi własnymi oddziałami, a te stanowiły tylko pewną i często nie największą część powoływanej czasowo armii narodowej. Zdobycie Normandii przyspieszyło w Anglii umacnianie się władzy państwowej, ale nawet tam trzeba było długiego czasu, aby władza królewska zdobyła znaczenie. W 1300 roku król zmobilizował podczas kampanii Carlarock swą gwardię kawalerii, co Tout określa jako osiągnięcie maksymalne. W dyspozycji króla znajdowała się wówczas 1/4 ogólnej liczby zbrojnych, w najlepszej sytuacji liczba ta była bliższa 1/3 niż 1/4. W 1467 r. cesarz niemiecki miał powołać przeciwko Turkom 5217 jeźdźców i 13 285 pieszych. Z tego cesarz wystawił tylko 300 jeźdźców i 700 piechurów, sześciu elektorów zmobilizowało 320 żołnierzy jazdy i 740 piechoty, 47 arcybiskupów i biskupów odpowiednio 721 i 1813, 21 książąt 735 i 1730, wielu hrabiów i panów 679 i 1383, a 79 miast 1085 jeźdźców i 2926 pieszych. Pod tym względem armie państw hydraulicznych przedstawiają zupełnie inny obraz. Żołnierze nie byli chronieni przez demokratyczne przepisy czy układy feudalne. Przy ich powoływaniu było obojętne czy posiadają ziemię, czy też nie. Musieli stawać, gdy żądało tego państwo i ich władca. Jeśli chodzi o podział kompetencji przy wydawaniu rozkazów, to było całkowicie jasne, kto rozkazuje, a kto ma być posłuszny".

Już Montesquieu podkreślał, że konfiskata jest w despotyzmie zjawiskiem normalnym. Dlatego nie dziwi fakt, że i Wittfogel poświęca oddzielny rozdział temu zjawisku. Pokazuje, że w państwach despotycznych konfiskaty obawiać się muszą przede wszystkim kupcy i urzędnicy, którym udało się dojść do znacznego majątku. Bogactwo jest w tych państwach o tyle niebezpieczne, że może stać się pierwszym krokiem na drodze do uniezależnienia się od władcy. Uszczuplenie konfiskat przebiega według utartego schematu. "Konfiskata majątków będących własnością urzędników czy innych członków klasy panującej jest prawie zawsze usprawiedliwiana względami politycznymi lub administracyjnymi: błędami dyplomatycznymi, spiskiem, zdradą, złym zarządzaniem czy nadużyciami przy ściąganiu podatków. Ciężkie przestępstwa prowadzą często do całkowitej politycznej i gospodarczej ruiny obwinionego, mniej poważne do czasowego lub trwałego wygnania i do zupełnej bądź częściowej konfiskaty. Przedstawiciele świata gospodarczego stają na ogół przed sądem za przestępstwa podatkowe; zdarza się także, że stają się ofiarą intrygi politycznej. W pierwszym przypadku państwo może ich częściowo wyłączyć, w drugim mogą stracić cały majątek, a nawet życie".

Atmosfera strachu, która jest według Montesquieu podstawową cechą despotyzmu, można najłatwiej utrzymać poprzez samowolne rozporządzenia. Gdy nie wiadomo, za co można być sądzonym, wtedy żyje się oczywiście w ciągłym strachu. Na obronę przed niesprawiedliwymi zarzutami w państwie despotycznym nie można liczyć, bowiem "oskarżyciel jest jednocześnie sędzią". Może on "niezależnie od faktów" zakwalifikować każdą działalność jako przestępstwo. Sfabrykowane "dowody" pojawiają się w historii państw hy-

draulicznych niezwykle regularnie. Maskowane względami prawnymi czystki polityczne przeprowadzane są zawsze, jeśli wydaje się to celowe przedstawicielom aparatu państwowego".

Jako niezwyklej osobliwość musieli odczuwać obywatele państw despotycznych powstanie wielkiej własności prywatnej w średnio-wiecznej Europie. Szlachta mogła stać się tam zorganizowanym stanem i "stworzyć podstawę niedzielenia swych majątków dzięki prawu pierwotności i niesprzedajnego mienia". "W łonie społeczeństwa feudalnego - pisze Wittfogel - powstała jedna z najsilniejszych form własności prywatnej, jaką zna człowiek". W państwach hydraulicznych nie doszło do takiego rozwoju. Prywatni właściciele nie byli w stanie, tak jak uczyniła to posiadająca ziemię szlachta, wymusić zmiany prawa spadkowego, co umożliwiłoby systematyczne powiększanie własności ziemskiej. Majątek był rozdzielany po śmierci właściciela między potomków, podczas gdy w feudalnej Europie faworyzowano pierworodnego. "Ziemiaństwo mogło w późno- i postfeudalnych społeczeństwach Zachodu przeforsować jednostronne prawo następstwa niesprzedajnego mienia, ponieważ było uzbrojone i politycznie zorganizowane na płaszczyźnie narodowej. W społeczeństwie hydraulicznym właściciele prywatni nie mieli dość siły, by wymusić podobnie skonsolidowane i silne formy własności, bo po pierwsze zmonopolizowane przez państwo wszelkich akcji militarnych nie pozwalało właścicielom na utrzymywanie niezależnego wojska, a po wtóre wszechogarniająca sieć organizacji państwowych /pańszczyzna, poczta państwowa, państwowy system komunikacji, zintegrowana armia i uniwersalny system podatkowy/ nie dopuszczała do utworzenia skutecznie działającej w skali narodowej organizacji opozycyjnej, która chroniłaby ich interesy. W tej sytuacji kwestia podziału własności nie została przeniesiona na płaszczyznę walki politycznej, do czego doszło np. w starożytnej Grecji, w Europie czasów absolutyzmu czy w Stanach Zjednoczonych. Świat hydrauliczny był niesprzyjającym obszarem dla dyskusji politycznej o zaletach i wadach prawa parcelacji spadków, w przeciwieństwie do krajów, w których taka otwarta walka była możliwa".

Także wspólnoty religijne nie mogły przekształcić się w niezależną narodową bądź ponadnarodową siłę. Pełniły one rolę służebną wobec państwa, albo były spychane na margines życia społecznego.

W ten sposób obraz się dopełnia. Wittfogel ma całkowicie rację stwierdzając, że państwo despotyczne jest silniejsze od społeczeństwa. Zabija ono już w zarodku zaletki-wszelkich ruchów społecznych, a jeśli ruchy takie się pojawiają, jest gotowe zgnieść je brutalnie, czego przykładem jest wiele powstań w państwach despotycznych.

Inną cechą charakterystyczną władzy despotycznej jest według Wittfogla jej totalność. Wyraża się ona m.in. w "braku możliwości legalnej opozycji". Dyktatorzy zmieniają się wprawdzie wskutek rebelii, puczów i zamachów, ale nie zmienia to niczego w strukturze państwa hydraulicznego. Opozycja niektórych urzędników, chęć przejścia przez nich władzy nie dowodzi istnienia ru-

chu społecznego, jeśli nawet sympatyzują z nimi pewne niezadowolone, a chcące dojść do głosu grupy lub warstwy społeczne. Jest to wyraz panujących reguł i toczącej się walki o władzę. Dlatego również tyran musi się bać, bo i on może zostać zdezonizowany, zamordowany lub zastąpiony przez innego. Już Montesquieu zauważył, że zasadzie strachu w despotyzmie podlegają wszyscy, nawet władca.

Totalność władzy despotycznej wyraża się w zasadzie podporządkowania. Despotyzm łączy posłuszeństwa od każdego. Nie pozwala na jakiegokolwiek dążenia do autonomii i do samodzielnej działalności politycznej. W celu zdławienia każdej próby niezależnego działania posługuje się wszelkimi środkami, jakimi dysponuje tj.: policją, armią, wywiadem itd. Poddany musi je odczuwać jako wszechobecne, sugeruje się mu, że zawsze może popaść w nielaskę. Śluzą temu wszystkie wzbudzające strach środki, nie wyłączając tortur, a także wszelkie świadome wykroczenia przeciwko istniającemu prawu. Celem aktów samowoli jest uświadomienie podwładnym ich bezsilności. Muszą oni wiedzieć, że aparat władzy jest w stanie uczynić wszystko co chce i nie podlega żadnym prawom czy umowom. Jawi się on jako całkowicie nieobliczalny. Ponadto wszystko, nawet fakty nieistotne, utrzymywane jest w tajemnicy, aby obywatel nie mógł zorientować się w sytuacji. Decyzje rządu odczuwa on jako tajemnicze czy wręcz mistyczne. Robienie tajemnicy ze wszystkiego należy do istoty tego systemu, który w ten sposób może "oniemiać i zaskakiwać".

Strach przed władzą despotyczną potęguje samotność jednostki. Każdy musi być przygotowany na to, że kiedyś wpadnie w sieć aparatu, jeśli będzie się zachowywał zbyt swobodnie. Sądzi się w nim "ostrożność unikania wszelkich niepotrzebnych kontaktów z rządem". "Obawa przed związaniem się z niemożliwą do skontrolowania i samowolną władzą skłania pojedynczego obywatela do zamykania się w kręgu spraw zawodowych i prywatnych. Lęk ten skutecznie izoluje go od innych członków społeczeństwa, do którego należy". "Nawet pytanie o ochronę przed niesprawiedliwością ze strony silniejszego traktowane bywa jako oznaka spisku i rebelii" - powiedział Locke; słowa te cytuje także Wittfogel.

Największą samotność odczuwa obywatel państwa despotycznego w momencie swego upadku. Nie można porównywać jego położenia do sytuacji obywatela społeczeństwa otwartego, który po przekroczeniu prawa zostaje surowo ukarany, ale po aresztowaniu może liczyć na ochronę prawną. Może się on spodziewać, że "zostanie postawiony przed sądem", który nie jest narzędziem rządu. Poza tym ma prawo upierać się, że jest niewinny. Sąd nie zabrania mu obstawać przy swej niewinności, nawet w wypadku kary śmierci. Po przeprowadzeniu wyroku oskarżony zostaje zniszczony fizycznie, ale rząd, który w taki sposób sprawuje swą władzę, nie zabrania jego przyjaciółom wystawiania go i obwiniania przekonania o jego niewinności". W państwach despotycznych musi on czuć się opuszczony przez wszystkich. Nie otrzyma pomocy prawnej od niezależnych adwokatów. Ta instytucja jest przeważnie nieznaną. Przyjaciele, którzy chcieliby mu pomóc, muszą obawiać się prześladowań. Większość jednak nie będzie chciała go więcej znać, będzie

udawać, że go nie pamięta. "Po ogłoszeniu wyroku nie można powiedzieć o skazanym nic pozytywnego. Jest on skazany i wypędzony na zawsze".

Wittfogel dowodzi, że władza w hydraulicznym despotyzmie jest wprawdzie nieograniczona i totalna, ale nie jest "wszechobecna". Nie opiera się jej bowiem rozciągając swojego autorytetu na wszystkie dziedziny życia. Zbyt duży wysiłek administracyjny za bardzo zmniejszyłby zysk, który aparat wykorzystuje do własnych celów. Dlatego jest korzystniej pozwolić na istnienie małych gospodarstw rolnych, samodzielnych rzemieślników czy związków pracowniczych zorganizowanych ściśle według broni, nie kontrolując ich poprzez przydzielanie specjalnych urzędników. Rolnicy mogą rozwiązywać swe bezpośrednie problemy na wsi, rzemieślnicy w swych warsztatach czy związkach quasi-cechowych, a robotnicy w swych spółdzielniach, jeśli tylko zachowywane będą obowiązujące przepisy. Wittfogel nazywa to zjawisko demokracją żebraczą, chcąc podkreślić w ten sposób szacatkowość życia demokratycznego w państwach hydraulicznych, które, jak określilibyśmy to dziś, ograniczone jest do pewnej samorządności zawodowej i terytorialnej. Nie może ona w żaden sposób zagrozić władzy despotycznej. Te "politycznie nieistotne prawa" mogą zostać natychmiast odebrane, jeśli tylko wymaga tego sytuacja. Obywatele tego kraju zdają sobie z tego najczęściej sprawę. Nie oznacza to jednak, że "wybitne umysły despotyzmów hydraulicznych" nie zajmowały się "ideą wszechogarniającej kontroli". "Garcilaso de la Vega, syn księżniczki Inków stwierdza, że za panowania jego przodków specjaliści urzędnicy wędrowali od domu do domu, by sprawdzić, czy każdy spełnia swe obowiązki. Uchylający się od pracy byli karani biciem po rękach i nogach i innymi przewidzianymi w kodeksie karami". Czou Li, wielka chińska utopia rządów obywatelskich wymienia wielu urzędników, którzy powinni podporządkować życie prywatne ludności miast i wsi w dobrze rządzonym państwie. Inkowie chcieli bez wątpienia, by ich poddani możliwie dużo pracowali. Skuteczny nadzór nad domowymi zajęciami jednostek wymagałby jednakże całej rzeszy urzędników, nie powodując przy tym odpowiedniego wzrostu dochodu państwa. Dlatego nie można przyjąć, że "przepisy" wymienione przez Garcilaso były czymś więcej niż zaczątkami ogólnej i niezbyt kosztownej kontroli ludności. Dotyczy to także klasycznego dzieła biurokracji chińskiej. Wszyscy wykształceni chińscy urzędowni nadzorcy studiowali Czou Li, ale w momencie, gdy zostali zatrudnieni, szybko pojmowali różnicę między "pięknymi marzeniami" o totalnej kontroli społecznej a trzeźwą rzeczywistością administracyjną. Pomijając kilka krótkotrwałych prób mieszania się we wszystko, zadowalali się kontrolą ważnych strategicznie obszarów społecznych".

Dopiero współczesne systemy totalitarne wynalazły aparat, który chce kontrolować wszystko. Celowi temu służy między innymi wprowadzenie nomenklatury, dzięki czemu także niższe stanowiska, jak kierowanie małymi gminami, małymi spółdzielniami czy obszarami leśnymi, muszą piastować aparatczycy.

Wittfogel, wychowany na Marksie i Weberze, analizuje stosunki własnościowe w społeczeństwie hydraulicznym. Nie zgadza się jednak z obiegowym sądem marksistowskim, że państwo jest instrumentem "służącym interesom opierającej się na własności klasy panującej". W państwach hydraulicznych własność prywatna nie odgrywa w żadnym wypadku takiej roli jak w społeczeństwach zachodnio-europejskich. Nigdy nie doszło w despotyzmie do powstania silnej samodzielnie zorganizowanej warstwy szlacheckiej i kupieckiej. Państwo sprawowało tam zawsze - generalnie mówiąc - kontrolę nad prywatnymi właścicielami, nie dopuszczając do nadmiernego skoncentrowania własności w rękach nielicznych. Wittfogel wyróżnia w swej analizie szereg typów własności prywatnej, wprowadzając bardzo ciekawy podział tejże własności. Z dokładniejszego referowania tego problemu rezygnujemy, podając w zamian dwa szczególnie znamienne przykłady traktowania posiadaczy własności prywatnej w państwie despotycznym, jakim była Rosja carska. Pierwszy dotyczy uprzywilejowanych kupców w okresie moskiewskim, którzy mogli wprawdzie pomnażać swe majątki, ale nigdy nie byli pewni jutra. Wittfogel opowiada, powołując się na relację Fletchera z 1856 roku, historię dwóch braci. "Rozwinęli oni z ogromnym zapędem i odwagą kwitnący interes, który przyniósł im 1 300 000 rubli zysku, nie licząc bydła i innych towarów. Przyczyną tego początkowego sukcesu był według Fletchera między innymi fakt, że bracia ci żyli w odległości ponad tysiąca mil od Moskwy. Przez pewien czas byli w urzędzie pobierania pewnego rodzaju ceł wzdłuż granicy syberyjskiej. Car był z ich sakiewek dopóty zadowolony, dopóki nie poczuli się oni zbyt pewni swego. Potem jednak rząd zaczął stopniowo zabierać im ich majątek, żądając czasem 20 000 tysięcy, czasem więcej, aż w końcu ich żyjący potomkowie zostali pozbawieni bogactwa. Pozostawiono im jedynie maleńką część ojcowizny, wszystko inne powędrowało do carskiego skarbcza". W Rosji nie opłacało się, twierdzi Fletcher, gromadzić majątku i obnosić się z tym publicznie. To narażało nawet na prześladowania. Dlatego nawet tzw. wolni chłopi nie pracowali z myślą o przyszłości, a jedynie dla doraźnych korzyści. W tym tkwi przyczyna - twierdzi Fletcher - "że naród ten /choć zahartowany do znoszenia wielu ciężarów/ spędzał czas na próżniactwie i oddawał się pijactwu, żyjąc z dnia na dzień i nie dbając o resztę".

Nieco inny los przypadł w udziale rosyjskiej szlachcie. Z kupcami łączyło ją jednak także to, że nie była w stanie osiągnąć niezależności. Nie miała żadnych tradycji feudalnych. Wittfogel powołuje się tu na badania Haxthausena o wsi rosyjskiej, wydane w latach czterdziestych ubiegłego stulecia. "Szlachta wielkorosyjska nie jest i nigdy nie była ziemiaństwem, nie ma za sobą czasów rycerskich. Szlachta ta żyjąca w miastach lub na dworach wielkich i dzielnicowych książąt sprawowała zawsze służbę w czasie wojny i pełniła różne funkcje państwowe i dworskie. Żyjący na wsi uprawiali w spokoju swoje pola, ale byli albo bardzo niezamożni, albo nie nadawali się do służby państwowej. Tak było jeszcze do niedawna. Także dzisiaj większa część szlachty wielkorosyjskiej nie posiada dworów ziemiańskich i majątków, co obserwujemy w pozostałej części Europy. Całą ziemię będącą własno-

ścią szlachecka, pola, łąki, lasy wydzierzawia się gnimie wiejskiej, która je uprawia, płacąc podatki panu. Jeśli nawet pan posiada dom na wsi i zamieszkuje go, to i tak nie ma majątku, żyje raczej jak rentier. Większość szlachty ma domy na wsi, ale mieszka w mieście, odwiedzając swój letni dom tylko na kilka miesięcy czy tygodni. Tak wygląda starorosyjski sposób życia szlachty". Na skutek "rozdrabniającego prawa spadkowego" nie mogła powstać w Rosji arystokracja ziemianska, jaką zna Europa Zachodnia.

Socjologia klas w państwach despotycznych musi być zupełnie różna od zachodnioeuropejskiej - tak brzmi jedna z najważniejszych tez Wittfogla. Podczas gdy na Zachodzie można ją łączyć ze stosunkami własności, to w despotyzmie punktem wyjścia muszą być stosunki władzy, przy czym powstaje prosty podział na panujących i poddanych. Do klasy panujących zalicza się tych, którzy należą do aparatu władzy. Pozostali są poddanymi.

"Członkowie klasy panującej /.../ różnią się oczywiście indywidualnie i grupowo co do swych możliwości podejmowania decyzji i traktowania ludzi. W administracji cywilnej, tak jak i w wojsku, najważniejsze decyzje zapadają na najwyższym szczeblu. Postanowienia mniej ważne są podejmowane znowu podobnie jak w wojsku na średnim szczeblu. Decyzje dotyczące ostatecznej formy wykonania rozkazów czy rozporządzeń przypadają w udziale urzędnikom najniższej rangi w hierarchii władzy. Decyzje takie mogą być z punktu widzenia przełożonego całkowicie nieistotne, są jednak często niezwykle ważne dla przeciętnego obywatela, jako że dotyczą jego losu".

Właśnie na przykładzie niższych urzędników i funkcjonariuszy widać najlepiej nieadekwatność socjologii opartej na własności. "Jeśli chodzi o dochody można porównywać niższych członków w hierarchii aparatu władzy z urzędnikami przedsiębiorstwa kapitalistycznego, którzy nie mają żadnego udziału w wytworzonym przez siebie zysku. Socjologia klas oparta na własności nie uważałaby ich za członków klasy panującej. Takie nastawienie nie uwzględnia jednak stosunków międzyludzkich, które znamionują w szczególności funkcjonowanie każdego systemu biurokratycznego. Jego mechanizmy czynią z najniżej stojącego przedstawiciela aparatu państwowego współuczestnika w sprawowaniu totalnej władzy. W przeciwieństwie do urzędników przedsiębiorstwa handlowego czy przemysłowego, którzy kierują się potrzebami rynku tj. podażą i popytem, czyli działają w sposób formalnie równy, niżsi członkowie aparatu działają opierając się na zasadzie potencjalnego przymusu, czyli w sposób formalnie nierówny. Stanowisko w hierarchii władzy stwarza niektórym najniższym funkcjonariuszom szczególnie możliwości wzbogacenia się i przysparza im wyjątkowego społecznego-politycznego prestiżu. Jako reprezentanci państwa despotycznego nawet najniżsi urzędnicy wytwarzają wśród społeczeństwa atmosferę strachu i nieufności. Piastują więc stanowisko, które ze względu na władzę, prestiż, a czasem także majątek wynosi ich ponad masy poddanych. Obywatele podbitego państwa traktują wojska okupacyjne jako całość, mimo że doskonale zdają so-

bie sprawę z faktu, iż kompetencje prostego żołnierza są bardzo ściśle ograniczone. Podobnie jako całość oceniają poddani w despotyzmie hydraulicznym funkcjonariuszy aparatu, nawet jeśli widoczne są ogromne różnice pomiędzy poszczególnymi jego członkami odnośnie zakresu władzy, bogactwa czy pozycji społecznej".

Język chiński rozróżnia dwa szczególne słowa dla podziału klasowego: "shih" i "min". "Shih" to osoby, które ze względu na ich przygotowanie moralne i wykształcenie militarne oraz obrzędowe mogą służyć swemu władcy i czynią to, gdy to tylko możliwe. "Min" to "lud" rządzony przez suwerena i urzędujących "shih".

Fanujący w państwach hydraulicznych albo despotycznych oraz shih tworzą jedną z "najbardziej świadomych grup", jakie zna historia ludzkości. Potrafią bronić swej władzy tak zgodnie, że wprawiają w zdumienie obserwatora z zewnątrz, nawet historyka szczególnie, jeśli zna jedynie zachodnie stosunki klasowe.

W społeczeństwie despotycznym wszystkie akcje protestacyjne tłumione są w zarodku. Jest to tym łatwiejsze, że nie mogą się one oprzeć na jakiegokolwiek istniejącej już organizacji i nie stanowią od początku mniej lub bardziej zespolonej siły. W najlepszym wypadku protestujący mogą zorganizować się w czasie walki, co od samego początku stawia ich w znacznie gorszej sytuacji. Mówiąc obrazowo, dopiero co formujące się oddziały mają znacznie mniejsze szanse wobec wyszkolonej i doskonale zorganizowanej armii.

Twierdzenie, że historia to dzieje walk klasowych, jest według Wittfogla błędne, bo "historia społeczeństw hydraulicznych świadczy, że walki klasowe nie są chronicznym złem całej ludzkości. Na luksus walk klasowych mogą pozwolić sobie tylko otwarte społeczeństwa policentryczne".

Fakt nieistnienia walki klas nie oznacza wcale braku oporu czy konfliktów. Opór ludu przeciwko władzy przybiera najczęściej formy pośrednie i bierne. Cechuje go zwalnianie tempa pracy, przestępstwa podatkowe, częste zmiany miejsca pracy, włóczęgostwo, łapówkarstwo lub krótkotrwałe niepokoje społeczne. Nie prowadzi to wcale do zlikwidowania despotyzmu, co najwyżej do jego osłabienia. Liczba ognisk zapalnych w państwie o strukturze pionowej jest szczególnie duża. Sprzeczności powstają na przykład między niższymi a wyższymi urzędnikami. Niżsi funkcjonariusze mogą bez trudu zmieniać odgórne zarządzenia dopasowując je do lokalnych warunków, co bywa często odczytywane jako próba osłabienia władzy centralnej. W sytuacji spornej z urzędem szczebla centralnego przegrywają zawsze niżsi funkcjonariusze. Gdy dochodzi do konfliktu, udowadnia im się, że nadużyli swych kompetencji ze szkodą dla rządu. Karani są wówczas bardzo surowo, nie stanowią przecież żadnej zorganizowanej warstwy, która byłaby w stanie skutecznie się bronić.

Wewnątrz aparatu toczą się ciągle walki o władzę. Nie rozszadza to jednak nigdy despotycznej struktury państwa jako takiej. Najwyższy władca posiada na ogół dość środków, aby nie dopuścić

do otwartego kryzysu. Bądź co bądź "stoi on na czele wojska, bo po pierwsze decyduje o jego organizacji, składzie osobowym kadry, często także o jego zaopatrzeniu, a po drugie ma w ręku scentralizowany aparat komunikacji i wywiad. Podobne społeczno-strategiczne prerogatywy mają także polityczni przywódcy nowoczesnych państw przemysłowych. To wyjaśnia w zasadzie dlaczego Stalin był w stanie zlikwidować w latach trzydziestych niezadowolonych dowódców armii radzieckiej oraz dwóch kolejnych szefów GPU. Tłumaczy również, dlaczego w 1944 roku centrum narodowo-socjalistyczne pokonało generałów próbujących obalić Hitlera".

Najlepszym sposobem opanowania aparatu jest obdarzenie różnych urzędników podobnymi kompetencjami. "W ten sposób można przeciwdziałać ich dążeniu do większych wpływów /w wypadku doradców i kronikarzy/, do większych swobód /w wypadku wykonawców poleceń i sędziów/, do wzbogacenia się /w wypadku poborów podatkowych i zarządzających dochodami państwowymi/, do specjalnych uprawnień dla swej grupy /w przypadku korzystających z przywilejów rodowych/".

Przywódcy starają się oczywiście zatrudnić szczególnie posłusznych urzędników. Dlatego w Chinach egzaminowano ich niezwykle starannie, zanim mogli być dopuszczeni do wykonywania zawodu. "Dokładna znajomość klasyków chińskich wymagana w czasie egzaminów zapoznawała kandydatów z filozofią społeczną panującej biurokracji i tradycjami sztuki rządzenia państwem. Tak więc egzaminacyjne współzawodnictwo było doskonałym środkiem do zapoznania ambitnych podwładnych z ideologią państwową i do zmuszania zdolnych synów urzędniczych i synów członków gentry mieszczańskiej do poddania się wszechstronnemu szkoleniu ideologicznemu". Inne systemy hydrauliczne stosowały raczej zasadę gominacji; przy czym podstawowym kryterium jest tu zawsze fakt, czy kandydat jest przesiąknięty duchem posłuszeństwa.

Nie oznacza to, że niżsi funkcjonariusze są tylko bezwolnymi narzędziami w ręku panujących. Często dostrzegają oni bezsensowność wydawanych im rozkazów i próbują coś zmienić. Dochodzi przy tym nawet do swego rodzaju współzawodnictwa między aparatem a panującymi. Nikt nie może jednak wygrać w tej walce, bowiem obie strony są na siebie skazane jak pan i niewolnik. "Historia dworów orientalnych rejestruje niezliczoną ilość prób wpływania na despote i tak samo liczne próby przeciwstawiania się panującym wszystkim osobowym i bezosobowym siłom biurokratycznym". Wynik tych konfliktów nie zmienił struktury despotyzmu. Władza pozostawała nadal w rękach autokraty.

O tym jak wielka jest władza despoty świadczy fakt, że "może on wymusić w czasie pokoju lub wojny zupełnie irracjonalną politykę, nawet jeśli zagraża ona bytowi samego państwa".

Można by wysunąć tutaj zarzut, że kraje zachodnie także mają struktury autorytarne. Wittfogel uznaje tutaj słuszność uwagi, dodając jednak, że żadne z ciał autokratycznych nie posiada-

ło władzy totalnej, zawsze podlegało bowiem jakiejś kontroli. "Nie ma społeczeństwa bez segmentów autorytarnych" pisze Wittfogel "ale w społeczeństwie demokratycznym mogą one być kontrolowane i trzymane w szachu. Świadomość tego jest niezbędna dla prawidłowej oceny działalności /ograniczeń/ elementów autokratycznych w olbrzymim aparacie życia gospodarczego /big business/, związkach zawodowych i w sprawowaniu władzy w nowoczesnych, opartych na własności prywatnej krajach. Absolutne rządy późno- i postfeudalnej Europy musiały liczyć się z siłami zorganizowanej szlachty, kościoła, cechów i rosnącym w siłę mieszczaństwem kapitalistycznym. Rządy te były z całą pewnością autorytarne i chciały sprawować wyłączną /totalną/ władzę. Ale ogólnie biorąc nie były w stanie zdobyć monopolu władzy w społeczeństwie". Uwaga ta jest szczególnie istotna dla wszystkich tych, którzy takie segmenty porównują z systemami totalitarnymi, dowodząc w ten sposób konwergencji systemów.

Wittfogel wyróżnia, jak widać, dwie zasadniczo różne formy władzy: monocentryczną i policentryczną. Pierwsza z nich zorganizowana jest ściśle pionowo i toleruje co najwyżej coś w rodzaju demokracji żebraczej, tj. namiastkę samorządu na najniższym poziomie. Dla drugiego modelu charakterystyczne jest istnienie wielu niezależnych wzajemnie sił /mogą się one oczywiście zająć/ kontrolujących rząd i mogących mu się przeciwstawić. Taką siłą była przedtem szlachta i kupcy, a dzisiaj są nią "organizacje gospodarcze, rolnicze i robotnicze, które wprawdzie mogą posiadać strukturę pionową, ale ich wzajemne stosunki rozgrywają się na płaszczyźnie poziomej. Jeśli któryś z filarów zostanie naruszony, może runąć cała budowla i dochodzi wtedy do powstania systemu monocentrycznego. "W czasach faszyzmu i narodowego socjalizmu zlikwidowanie wielkich organizacji robotniczych pozwoliło rządowi skupić w swym ręku taką władzę, że w końcu mógł on zagrozić organizacjom przemysłowym i rolniczym. W Rosji sowieckiej zlikwidowanie wielkich organizacji życia gospodarczego i rolnictwa umożliwiło szybkie ubezwłasncwolenie robotników przez państwo totalitarne".

Jest natomiast niezwykle trudno zmienić państwa despotyczne w demokratyczne czy republikańskie. Despotyzmy wykazują niespotykaną żywotność. Często sądzi się, że jakaś władza jest już do tego stopnia skorumpowana, że wkrótce musi się załamać. Potrafi się jednak zregenerować dzięki skuteczniejszemu zarządzaniu bardziej racjonalnymi metodami. Skorumpowani urzędnicy czy nawet władcy zostają usunięci, rebeliantów i krytyków likwiduje się a ludziom wmawia się, że teraz rządzą uczciwi; gdyby tacy rządzą od początku nie doszłoby do kryzysu.

Wielu miało nadzieję, że państwa hydrauliczne zmienia się w demokratyczne dzięki uprzemysłowieniu. Doszło do tego jedynie w wyjątkowych przypadkach. Wzorzec stanowiła najczęściej polityka Piotra Wielkiego. Parafrazując tu myśl z niestety mało znanej

IRINA RATUZYNSKA, ur. w 1955 r. w Odessie. Jej pradedziowie byli wysiedleńcami po Powstaniu Styczniowym. Skazana łącznie na dwanaście lat pozbawienia wolności - za nieprawnymyślną poezję. Przebywała w łagrach Mordowii o zaostrowszym regulaminie. W październiku 1986 zwolniona dzięki wielu akcjom protestacyjnym, prowadzonym konsekwentnie przez grupę zachodnich intelektualistów. Ta 31-letnia poetka, mieszkająca na stałe w Kijowie, jest dzisiaj inwalidką, sierpi na wiele poważnych schorzeń. Ostatnio władze sowieckie pozwoliły jej na wyjazd na leczenie na Zachodzie. Dziosięd przełożonych tutaj wierszy pochodzi z pierwszego wyboru poezji, który ukazał się w 1984 r. nakładem amerykańskiego wydawnictwa "Hermitage", w serii "International PEN Book".

Wiersz siódmy

Napiszę o ludziach, smutnych cieniach,
którzy zostali tam, na brzegu.
O zasądzonych na milczenie
napiszę. I spać. Tak trzeba.
O, jak żar zatrzepocze strofami
i skręca się jak suche łuski
pod okrutnymi przeciągami
niczym nieogarnionej pustki.
Chybki ogień, lecący na połów
ręką moją wyprzedzi w biegu.
Potem zadrży piana popiołu,
lecz nie urodzi niczego.

Wiersz dwunasty

O pomoc wołać nie trzeba.
Ten świat stworzono bezbłędnie.
Co będzie - nikt tego nie wie,
a ból odchodzi. Już przepadł.

Pójdę ku lustrum fryzjerni
pustym - by skryć się w odbiciach.
Błysną i zgasną bez życia
po drugiej stronie szkła. W ciemni.

Gdzie wody skraj i księżyc,
to będzie jedynie mgnienie.
Żeźliżnę się w czerni kamieniem
z okiem rozwartym, nie krzycząc.

Będę przypadkiem nicości.
Refleksem. Żłudzeniem chwili.
Niczym odbicie dziewczynki
której nie było na moście.

Wiersz siedemnasty

O Panie, już przede mną wszystko powiedziane.
 Stoję na wietrze w odzieniu łatanym,
 między Twoim oddechem a dzienną otchłanią.
 O Boże mój, Panie!

Co powiem na Twym śledztwie, jeśli mi rozkażesz
 nie milczeć, lecz do kraju odwrócić się twarzą,
 a on głuchoniemy, wśród śmiertelnych zatrwożeń -
 o Panie mój, Boże!

Czy będziesz mieć odwagę sądzić, jakim prawem?
 Co powiesz, kiedy przedrę się i przyjdę na rozprawę -
 stanę,
 nędzarka z życiem rozbitym,
 ramieniem wesprę się o szklaną ścianę
 i Ciebie o nic nie zapytam.

Wiersz dwudziesty trzeci

Teśknota moja - zwierzątko domowe.
 Jest cicha, choć i zna słowo "a sio".
 Niewiele jej trzeba: objąć płową głowę,
 skubnąć za uchem, szepnąć "hej ty, no..."
 Och nie, nie skacze mi nigdy do gardła.
 Przy obcych uczuć swoich nie narzuca.
 Prosta piosenka wskaźówek zegarka
 cieszy ją, stroszy, a częściej zasmuca.
 Wdrapuje mi się chytrze na kolana,
 jak dziecko nosem stuknie i zadrzemie.
 A wtedy krata, słońcem nagle oblana,
 na zeszyt mój rzuci kwadratowe cienie.
 I tylko nocą, jak mysz w gęstwie słomy
 zakręci się, drobna, zaczadziła snem
 i zapiszczy coś cicho o ciepłym domu,
 który zbudujesz dla mnie jeszcze, wiem.

Październik 1962 r.

Wiersz dwudziesty szósty

Piszę dzisiaj list niewielki
 na świat tamten. Bo z naszego
 nie ma słowa, żadnej wieści.
 Łby więzienne tkwią w szeregu -
 nie chcę czytać z nich, już starczy.
 Wolę kąć zakisłej kuchni
 i niech jeden z drugim kracze,
 wlepia ślepią truchło w truchło:
 Co, już boja się pozbyła,
 może łezkę puści, beknie?

Zaskomlesz o litość, miła,
 gdy przyszczaty strażnik zaklnie...
 Więc paskudztwu mam się kłaniać?
 Gorąc klei się do skóry.
 Nie uczyli mnie płakania
 rodziciele ni praszczury.
 Tylko - niech im łaska Boża -
 liter ruskich i łacińskich,
 by odróżnić, ciąć jak nożem,
 prawość od wszelkiego świństwa.
 Odryczałam ja sieroctwo
 na zapas, na resztę życia.
 U węzłowia krzyżyk prosty
 babcia moja kładła skrycie.
 Dziad, bo szlachcic, nie pozwalał
 żalić się przed byle zgrają.
 Ona ledwie go słuchała
 z wielkim myjąc mnie zapałem
 w koryteczku krótkim, wąskim.
 Pewnie z góry już wiedziała,
 że w piwnicach kagiebowskich
 przyda mi się czystość ciała.
 Ile szeptów, znaków krzyża
 i zaszyć na ciepłej chustce,
 by mnie zima nie zagryzła
 tutaj, w cementowej pustce.
 Dziś wałówkę by przyniosła
 i bez jednej łąki - hardo -
 w tłuste pyski diablich posłów
 popatrzyłaby z pogardą.
 Najjaśniejsza pani moja
 w swoich filcach zdeptanych!
 Miętko chodzić po pokojach,
 gdzie niebiańskie świecą ściany?
 Dziada świat szyderstwem prażył,
 patrzcie, rycerz kryształowy...
 Wspomnij: "w nędzę spaść trzy razy,
 byle honor się uchował".
 Wyuczyłam lekcję twoją,
 może i rad byłbyś ze mnie
 patrząc, jak w komarzym roju
 trosk więziennych niosę brzemię?
 Uśmiechnijcie się, najdrożsi,
 błogosławcie, obejmijcie
 na mój szlak pośród wrogości -
 ale nie w lokajskiej świcie,
 nie w przepychach ku pagonom,
 nie ku czarnej limuzynie,
 lecz w stołypieńskim wagonie
 na półce, gdzie w nogi zimniej.

Błogosławcie waciak krzepki
i chustkę, skrzepią na kamień
i cndd mój lekki, wciąż lekki
pomiędzy dwiema łufami.

4 marca 1983 r.

Wiersz trzydziesty trzeci

Gdzie zamiast powietrza - gniewne darcie pysków
gdzie barak chrapie zamiast witać dobrego człowieka...
Ach, ojczyzno, czemuś zabrała mnie w tę przyszłość,
za wcześnie, za szybko, z kolebki do piekła?
Czy nowi Tatarzy nas najechali?
Nie, to tylko mrok i szelest karaluchów.
Śyjmy, jak trzeba, w rosyjskim duchu.
A wielkie ptaki z krzykiem odleciały.

Oryginały dwóch kolejnych wierszy
zamieścił w 1985 r. emigracyjny
miesięcznik rosyjski "Kontinent"

x x
x

Nie będzie mi sądzone po dwudziestu latach
zapomnieć o swojej młodej swobodzie,
głowę siwą pokornie zwiesić wobec świata,
od wiosny grubą szybą się odgrodzić.

Nie zdarzy mi się stanąć, kiedyś, oko w oko
z przyjaciółmi o głosach zdartych od krzyku
i zamilczeć, kiedy na nich spadły wyroki,
przed każdym w i e d z a c y m wzrokiem umykać,
lecz zawsze czuć na sobie zdrady czarne godło.

Niechaj prawo większości tak właśnie orzeka.
W innej porze zdobyło ono sławę.
Ale ja - nie wiem komu - winnam jest podziękę
za prawo rosejścia się z tamtym prawem.

Wrzesień 1978, Odessa

x x
x

Hej, lecę, spadam po stopniach
prawie koziółkami, jak na niby!
Ten dzień stracił głowę od wiosny,
same pękają w nim szyby
i brud jest wiosenny okropnie!
A biel obraźliwa po prostu?
żadnego ratunku nie widzę
przed biesem, co we mnie, wraz ze mną
pędzi ulicą.

Muszę dziś, muszę natychmiast
tam, gdzie jest najbłękitniej -
rozpryskiwać kałuże, plaski plaski
nastraszyć gołębia, niech śmignie!

Jak prędko zmieniają kolejność
przebieżka, kroczek i skoczek.
Tuż brama, chłodna i ciemna,
wtem niebo - ogniem po oczach!

Pachnie kotami, piwnie, miodowo,
schną ścieżki przy rozbudzonych sadach.
A ja się duszę dniem kwietniowym
i "Zabili cię!" - krzyczę do brata.

1980, Kijów

Tłumaczył: Ingratus

TOMASZ GRUSZECKI

O NOWY PROGRAM REFORM: REFLEKSJE PO 6 LATACH

I. Kryzys i jego konsekwencje

Mija szósty rok od kiedy kraj pogrążył się w poważnym kryzysie politycznym, gospodarczym i społecznym - i nie widać drogi wyjścia. Permanencja tego kryzysu jakby przytępiła ostrość widzenia i oceny. Ale rozmiary i dolegliwość kryzysu nie polegają na chwilowych gwałtownych zaburzeniach - takich jak np. nagły wzrost nastrojów niezadowolenia, szybki wzrost cen pewnych towarów etc. To tylko mówi o skali naprężeń, z którymi styka się każdy żywy i zdrowy system społeczny i które w krótkiej perspektywie usuwa - choćby przez fluktuacje. Prawdziwa głębia kryzysu polega na strukturalnym zablokowaniu zmian systemu, a więc i uniemożliwieniu wyjścia ze stagnacji.

Politycznie kryzys polega na zablokowaniu życia politycznego, mechanizmów reprezentacji i wiarygodności rządu. Aparat państwowy i instytucje życia publicznego - które właśnie w takich sytuacjach okazują się potrzebne, wręcz niezbędne, bo umożliwiają koordynację wysiłków poszczególnych jednostek i grup - zostały zablokowane wtedy, kiedy były najbardziej potrzebne. To tak jakby w czasie wojny zamknąć w magazynie ciężką artylerię /być może to porównanie trafi do mentalności wojskowych/. Problem nie polega na tym, czy są strajki i manifestacje, czy ich nie ma; tragizm sytuacji polega na tym, że w sytuacji wymagającej wysiłku całych zbiorowości prowadzi się partyzanckie działania w pojedynkę czy luźnych grupach. Zablokowanie instytucji publicznych powoduje, że używamy środków zupełnie nieadekwatnych do skali potrzeb.

W tej sytuacji nie tylko nie może dojść do porozumienia narodowego /kto z kim?/, ale trudno jest stworzyć podstawowe opcje i poddać je testowi wyborców. Zobojętnienie i brak zaufania w życiu publicznym powodują, że tak naprawdę nikt nie wie, za jakimi opcjami długofalowymi wypowiedziałyby się większość. Sondaż, zarówno oficjalne jak i nieoficjalne, rejestrują tylko reakcje i postawy co do pewnych objawów bieżącej sytuacji.

W gospodarce mamy długotrwałą stagnację, powiększający się brak równowagi. Niektóre scenariusze dalszego przebiegu inflacji

przewidują jej wzrost do 30-40%. Reforma, po sześciu latach, nie przyniosła w końcowych efektach żadnych poważniejszych zmian. Utrwała się system rozdzielnictwa, wadliwych mechanizmów alokacyjnych i permanentnych niedoborów. Zmienił się sposób działania systemu: z nakazowo-rozdzielczego na perswazyjno-uznaniowo-rozdzielczy, ale system nie został wytracony z jałowego biegu produkcji, a procesy produkcji inwestycji nie zostały poddane weryfikacji rynku krajowego i zagranicznego.

Nie chodzi tu o dezawuowanie tych wszystkich zmian, które zaszły. Chodzi o stwierdzenie, że nie spowodowały one żadnego większego efektu - i nie zanosi się na to dalej. Kryzys społeczny wyraża się katastrofalnym spadkiem etosu pracy, poczuciem powszechnej niemożności i zniechęcenia. Olbrzymi odsetek ankietowanych młodych chce emigrować. Socjologowie odnotowują dziwne rozdrożenie jałni społecznej: w życiu oficjalnym nawet proste rzeczy są niemożliwe, w życiu "nieoficjalnym" - "wszystko da się załatwić". Nie chodzi tu o takie patologie jak alkoholizm czy narkomania, które w końcu dotyczą także te społeczności, które my uważamy za bogate i zdrowe. Nasze społeczeństwo utraciło wiarę we własne siły, w możliwość działania zbiorowego, i staje się luźną zbiorowością indywidualistów, nastawionych defensywnie, które chciałyby żyć w innym systemie czy w innym kraju, ale muszą żyć tutaj. W tej chwili nie jest już ważne kto /jaki procent/ i jak dalece jest przekonany, czy i w jakich sprawach ruch społeczny "S" z lat 1980-81 miał rację, a w jakich nie. Najważniejsze jest to, że większość, jak podejrzewam, skłonna jest uważać, że żadna próba zmian, bez względu na program i oficjalną czy nieoficjalną formę, w ogóle nie ma sensu - poza działaniami czysto prywatnymi. Żywi i energiczni indywidualnie, stajemy się martwi społecznie, bo takimi najłatwiej rządzić. I to właśnie stanowi dobrą gwarancję dalszego paraliżu: trzeba zupełnie zasadniczych zmian, a jednocześnie - jak mówią realisci - nie ma warunków na ich przeprowadzenie.

II. Czy "kierunki reformy gospodarczej" z 1981 roku zakreślają wystarczającą perspektywę zmian?

Jest jasne, że trzeba dokonać radykalnych zmian systemu gospodarczego. Zwiłoka działa tylko na naszą niekorzyść. Powstaje jednak problem praktyczny: czy pole zmian, zakreślone w "Kierunkach" z 1981 jest wystarczające i sprawa polega tylko na pełnym wdrożeniu tamtego programu - czy też pole reform tam zakreślone jest z założenia niewystarczające do zmiany struktury gospodarczej i wydobycia gospodarki ze stagnacji? Najwyższy czas postawić takie pytanie. Publikacje w oficjalnych środkach przekazu ciągle analizują zagadnienie, w jakiej mierze "Kierunki" zostały zrealizowane, a gdzie są opóźnienia. Rezultaty finalne gospodarki po 6 latach, zarówno w sferze produkcji, konsumpcji jak i inwestycji są tak żałosne, że trzeba zastanowić się, czy nawet pełna realizacja reformy proponowanej w "Kierunkach" daje perspek-

tywę wyjścia ze stagnacji i stawienia czoła problemom społeczno-gospodarczym Polski lat osiemdziesiątych? Otóż, moim zdaniem, nie. Z perspektywy 6 lat coraz wyraźniej widać, że sama pojemność pola reform założonych w 1981 roku jest zdecydowanie niewystarczająca. Ta płaszczyzna nie wystarcza już do zmiany systemu gospodarczego i nie chodzi tu o werbalny radykalizm ani licytowanie się w postulatach jeszcze "głębszej" reformy, ale o to, że płaszczyzna reform z 1981 r. zawodzi intelektualnie. Pewne podstawowe sprawy /np. zakres roli państwa w gospodarce/ ledwo zostały dotknięte, inne /rynek/ leczy się objawowo, na inne /np. motywacja do pracy/ w ogóle nie znajdujemy odpowiedzi. Czas nie stoi w miejscu i przez 6 lat następowały istotne procesy /w stanie majątku produkcyjnego, technologii, jakości, motywacji, postaw etc./, które spowodowały, że mamy do czynienia z inną gospodarką, innym społeczeństwem i, w pewnym sensie, z innym systemem politycznym niż przed 6 laty. Zakres zmian jaki zaszedł nie jest jeszcze w pełni uświadomiony, ale tu i ówdzie pojawia się refleksja, że obecnie problemy podstawowe są już inne, niż te, które wydawały się podstawowymi w wielkiej dyskusji społecznej z lat 1980/81. Zmieniły się podstawowe dane systemu i reforma gospodarcza musi rozwiązać inny układ równań: narastającą lukę technologiczną i cywilizacyjną, poważne zmniejszenie udziału i konkurencyjności polskiej gospodarki na międzynarodowym rynku towarowym i finansowym, stała inflacja i nierównowagę, dekapitalizację majątku trwałego, konieczny zakres zmiany struktury produkcji i inwestycji i jednocześnie brak środków na tę zmianę, szybki wzrost i efektywność sektora prywatnego w Polsce i coraz większe zainteresowanie prowadzeniem działalności gospodarczej w sektorze pozapaństwowym... Zupełnie inna jest skala wyzwań, przed którymi stoi gospodarka polska lat osiemdziesiątych. Pojawiły się też nowe opcje, które przedtem nie były nawet dyskutowane.

Na tym tle kolejne raporty o tym, czy, w jakiej mierze i dlaczego nie wykonano w całości programu reform z 1981 r. i kto rzeczywiście jest winien, przypominają gry estabowe generałów którzy zawsze są przygotowani do ostatniej wojny i jeszcze raz rozgrywiają bitwy, które dawno się już odbyły. Trzeba przygotować się do nowej fali reform, zarysować podstawowe opcje i kierunki wyjścia. Wymaga to ponownego przemyślenia założeń, na których opierały się koncepcje reform z 1980/81 - i rewizji niektórych z nich oraz nowej fali szerokiej dyskusji społecznej. Artykułem tym chciałbym uświadomić konieczność takiej dyskusji.

Dlaczego "Kierunki" z 1981 roku są już nieaktualne?

Moim odpowiem, chciałbym poczynić pewne zastrzeżenia: przyjęło się bowiem, zwłaszcza w oficjalnych środkach masowego przekazu, uważać "Kierunki" za kwintesencję postulatów reformy gospodarczej. Nie jest to prawdą. W wielkiej dyskusji społecznej z lat 1980/81 powstało kilka programów i zarysowały się, przynajmniej zaryskowo, pewne rozbieżności i opcje /np. do zakresu rynku, roli państwa w gospodarce, wolności powstawania nowych podmiotów, konstrukcji własności państwowej, rynku kapitałowego/ Opcje te nie zostały jednak wyraźnie zidentyfikowane i, by tak

powiedzieć, ostro przeciwstawione sobie intelektualnie. Wymagałoby to zresztą specjalistycznych dyskusji i języka. Panowała inna atmosfera społeczna - powszechnego entuzjazmu i optymizmu co do przeprowadzonych zmian /zjazd ekonomistów odbywał się pod hasłem "reforma nie może się nie udać"/, która raczej skłaniała do zacierania różnic, niż ich podkreślania. Na przykład "Sieć" w czerwcu 1981 poruszyła bardzo istotny problem konstrukcji prawnej własności środków w przedsiębiorstwie państwowym: w sensie konstytucyjnym właścicielem jest państwo - ale jak określić właściciela w kategoriach praktycznych, obrotu gospodarczego? Na ten temat cywiliści napisali tomy i pierwsze podejście definicyjne "Sieci" nie było najszczęśliwsze. Zaraz też stało się pretekstem do frontalnego ataku ówczesnego sekretarza PZPR, Kani, który oskarżył "Sieć" o próbę podziału majątku narodowego między załogi. Było to oczywiście nieporozumienie, ale przecież, jak się okazało, nie o porozumienie wtedy chodziło. Zaraz też "Sieć" wycofała się, nie tylko z zapisu, ale i z samego problemu. W rezultacie powstała mocno mętna konstrukcja mienia przedsiębiorstwa zawarta w ustawie z 1981, art. 38, gdzie w dodatku figuruje owo fatalne słowo "dysponuje", które przecież jest czystym anarcho-syndykalizmem... Wydaje mi się, że przykład ten dosyć dobrze oddaje atmosferę dyskusji tamtych lat, kiedy dążenie do kompromisu politycznego odbywało się nieraz za cenę kompromisu intelektualnego, co zaważyło na spoiwości artykułowanej platformy reform. Nie jest tu moim celem analizowanie różnych wątków w społecznej dyskusji nad reformą z tamtych lat i ich uświadomionych i nieuświadomionych konsekwencji; przypominam tylko, że pomimo iż zacierane, jednak były. W rezultacie jednak tej dyskusji kadłubowy program reformy gospodarczej rządu z listopada 1980 uległ bardzo poważnemu rozszerzeniu o różne wątki i postulaty społeczne i - biorąc za kryterium stan naszej wiedzy i radykalizm sformułowań - został społecznie akceptowany jako oficjalny program reform. Należy jednak odróżnić jego nośność polityczną od intelektualnej: specjaliści zdawali sobie sprawę, że podstawowe sprawy nie zostały w końcu rozwiązane /np. rola rynku w gospodarce, edentyfikacje przedsiębiorcy i właściciela w przedsiębiorstwie państwowym, ceny-mierniki działalności przedsiębiorstwa, rynek kapitałowy i obrót środkami produkcji/. Te luki intelektualne nie wydawały się wówczas tak groźne, a wieloznaczne sformułowania umożliwiały rozmaite interpretacje, co wówczas wydawało się korzystne siłom reformatorskim. /Ci, którzy uparcie wskazywali na konieczność precyzji sformułowań otrzymali później miano "modelarzy"/.

Po 13 grudnia wygasły wszelkie dyskusje. Siła polityczna przeciwników reformy była tak wielka, że taktyka wszystkich zwolenników reformy, bez względu na poglądy polityczne i przynależność, polegała na walce o wdrożenie "Kierunków", a zwłaszcza ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie załogi. Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami i dla uproszczenia, tam gdzie mam na myśli dysku-

sję społeczną 80/81 i jej podstawowe założenia, będą używał skrótowego hasła "Kierunki Reformy Gospodarczej".

Dzisiaj jest jasne, że reforma zakreślona w "Kierunkach" nie została wprowadzona /Sejm stwierdził ostatecznie, że w wielu sferach nie została wprowadzona w ogóle/. Od roku 1982 zwiększył się zakres rozdzielnictwa, dotacji i przejmowania dochodów przedsiębiorstw przez budżet, po 6 latach mamy stały brak równowagi gospodarczej, inflację rządu 20%, deficyt budżetowy i permanentne niedobory na rynku. Za 10 lat też będziemy kupowali śmierzące mleko, benzynę na kartki i polowali na papier toaletowy. Wzrośnie produkcja, dochód narodowy, a zwłaszcza produkcja globalna, ale nie będzie można kupić akurat tego czego konsument czy przedsiębiorstwo akurat potrzebuje. Głód mieszkaniowy będzie jeszcze większy, ale wzrośnie produkcja czarno-białych telewizorów. Poszukiwane książki nadal będzie się kupowało spod lady czy w antykwariacie, ale ukąszą się kolejne edycje "klasyków", a może Putramenta. Dyrektorzy nadal będą utyskiwać na zmienność przepisów i trudności z zaopatrzeniem oraz brak motywacji u pracowników. Zadłużenie Polski wzrośnie, zarówno w dolarach, jak i rublach, choć szybciej w rublach. Zwiększy się luka technologiczna i powiększy się udział surowców w eksporcie do II strefy. Prawdopodobnie zwiększy się też w eksporcie usług zorganizowany eksport siły roboczej. Niedawno prof. Z. Sadowski stwierdził w wywiadzie dla "Życia Warszawy", że automatyczna weryfikacja wyników przedsiębiorstwa przez rynek nie jest możliwa, bo "nie udało się jeszcze w pełni zrównoważyć gospodarki oraz zapewnić właściwego układu cen". A kiedy się uda? Przedsiębiorstwo - mówi prof. Sadowski - mogłoby orientować się na zysk, gdyby istniał prawdziwy układ cen. Ale, niestety, jeszcze się nie udało... etc. Otóż - jeśli dalej będziemy realizowali reformę sprzed 6 lat, ten wywiad będzie aktualny za następne 6 lat. Kto bowiem i w jaki sposób ma wprowadzić "właściwy układ cen" i skąd - bez działania rynku - ma być wiadomo, jaki układ jest "właściwy"?

Nie kłóćmy się o to, kto miał rację, bo w 1981 r. nikt nie przewidywał sytuacji, jaka ma miejsce obecnie. Pamiętam artykuł prof. Beksiaka z jesieni 1980 o grożącej półmilionowej armii bezrobotnych, jak zaczął działać "ostre" reguły reformy gospodarczej. Pamiętam też artykuł Albinowskiego z lata 1981, że główną przyczyną spadku produkcji jest spadek wydobycia węgla i wzrost wydobycia da mnożnikowy efekt wzrostu... Nikt nie może powiedzieć, że widział to wszystko jasno. Po prostu jesteśmy mądrzejsi o 5 lat i o takich doświadczeniach, jak np. kilkudziesięcioprocentowa inflacja, obecne formy opodatkowania i ich konsekwencje dla dochodu przedsiębiorstwa w świetle stosowanych zyskowych mierników jego efektywności można dyskutować z pewną znajomością faktów. To samo, jeśli chodzi o rolę samorządu.

Z perspektywy minionych 6 lat widać też wyraźnie naiwne założenia, na których oparte były koncepcje nowych struktur organizacyjnych w gospodarce jako gwarancja rzeczywistych zmian. Przecież konstrukcja zrzeszeń /dobrowolnych/ naprawdę gwarantowała

wała - tak i mnie się wówczas zdawało - że będzie to radykalne zerwanie z wieloszczeblowym, hierarchicznym zarządzaniem. Kto mógł wówczas przewidzieć, że nie tylko szantaż Centrum co do ulg i zaopatrzenia, ale i interes samych załóg może prowadzić do restytucji starych treści w nowych formach /Megat/?

Moim zdaniem nie też nie wyjaśnia stwierdzenie - uważane za bardzo odważne - że reformę hamują po prostu jej przeciwnicy i że gdyby ich nie było, lub przynajmniej ich opozycja byłaby słabsza, to reforma by wyszła. Przypomina mi to rozumowanie pewnej babci klozetowej, która zapytana dlaczego w ubikacji jest tak brudno, odpowiedziała: "Jak było zamknięte, to było czysto".

Dlaczego wpływowi przeciwnicy refirmy, zlokalizowani w ministerstwach branżowych i Komisji Planowania /co jest prawdą, ale nie całą/ mieliby nagle stać się zwolennikami zmian, wbrew swoim interesom, karierze i poglądom? Dlaczego mieliby wyrzec się rozdziału dewiz, ulg, priorytetów, przymusowego pośrednictwa w zaopatrzaniu, skoro - jak się okazuje - może też istnieć "rynek sterowany"? Oni wyrosli w tym systemie i innego sobie nie wyobrażają. A przy tym są naprawdę przekonani, że bez nich to się wszystko zawali.

Odczepmy się wreszcie od tych urzędników. To nie poczmistrze, jak pisał Schumpeter, budowali koleje żelazne. Trzeba radykalnie ograniczyć rolę państwa w gospodarce, a nie wykićcać się o ilość ministerstw i problem przystosowania podaży do popytu, dynamizacji i konkurencyjności gospodarki składać w ręci urzędników, apelując do ich patriotyzmu i poczucia obywatelskiego. Powszechny strajk urzędników jest zjawiskiem bardzo rzadkim, zresztą, jak mi się wydaje, jest to chyba obecnie niedozwolone. Jest naiwnością opierać na takim utopijskim założeniu dalsze losy polskiej gospodarki. Wszyscy zresztą będą dalej potrzebni w kraju: i przedsiębiorcy, i projektanci, i urzędnicy, i policjanci. Ale we właściwym miejscu. Problemy gospodarcze leczy się przede wszystkim środkami gospodarczymi.

Jakie założenia reformy trzeba przede wszystkim przewidzieć?

Wydaje mi się, że u podstaw programu reformy gospodarczej, który ciągle uważany jest za powszechnie obowiązujący i akceptowany /a także u podstaw dyskusji społecznej z 1980/81/ leżą pewne założenia, w dodatku nie zawsze wyrażane explicite. Były to jakby prawdy oczywiste, które przyjmowano dalej za pewniki, budując na nich dalsze rozumowanie. One to właśnie wymagają ponownego przemyślenia. Wydaje mi się, że można je przedstawić następująco:

1. Gospodarka - to przede wszystkim sektor państwowy. Tam wytwarza się przeważającą część dochodu narodowego /co ciągle jest prawdą/, tam zakumulowany jest olbrzymi majątek produkcyjny /znany tylko wartość buchalteryjna tego majątku, nie znany rynkowej/, tam jest cały /uśpiony/ potencjał rozwojowy, przedsiębiorczość, talenty, inicjatywy /to już założenie optymistyczne/.

Serce zaś gospodarki to państwowy przemysł. Tam jest miód i orzechy. Reszta - spółdzielczość, inicjatywa prywatna - to tylko margines.

Doszło więc do reprodukcji: gospodarka = gospodarka państwa = przemysł państwowy. Reforma gospodarcza musi więc być przede wszystkim reformą przemysłu państwowego. Wystarczy więc zreformować państwowy przemysł, a zwłaszcza państwowe przedsiębiorstwo przemysłowe - a reszta sama się już dokona! Olbrzymia większość rozważań o reformie nigdy nie wyszła poza industrialną wizję kraju. Wizja Polski industrialnej, pełnej hut i kominów, przyświecała zresztą kilku kolejnym ekipom rządzącym. Dziwnym jednak szbiegiem okoliczności z hut, kopalń i stocznii wyszedł ruch "S" i - i tej wizji też nigdy nikt nie zakwestionował! Twierdzą "S" była przecież Stocznia Gdańska, Huta Lenina, "Ursus"..., przedsiębiorstwa, które w takiej formie, z taką strukturą produkcji i kosztami być może przy rynkowym wariacie reformy - w ogóle nie powinny istnieć! /notabene potrzebny był zastępczy symbol bezmyślnego industrializmu i gigantomanii - stała się nim Huta "Katowice", skądinąd dużo bardziej nowoczesna.../. Na tle ruchów ekologicznych, które stały się już siłą polityczną w Europie Zachodniej, ruchów walczących o humanistyczną wizję pracy, ludzkie proporcje miast i osiedli - "S" była przeraźliwie industrialna. Założeniem etycznym było: będziemy dalej pracowali w pocie i znoju, będziemy budowali piramidy przemysłowe - ale dzielić będziemy sprawiedliwie! Nikt się jednak nie spytał: po co budować dalej piramidy?

W ten sposób, w industrialnej wizji Polski, z jeszcze większą ilością hut i kominów, spotkali się wspólnicy ideologiczni i przeciwnicy polityczni, rząd i "S". Bezsporne jest, że ta wspólna wizja zaciążyła na koncepcji reformy gospodarczej, która od początku zakreślona została za wąsko. Podstawowe pytanie zostało sformułowane: jak uzdrowić /zreformować/ państwowy przemysł, a nie: jak uzdrowić polską gospodarkę.

Po 6 latach okazało się, że to nie gospodarka państwowa ale jej marginesy są najbardziej dynamiczne. Najmniejszy spadek wykazała produkcja rolna w gospodarstwach chłopskich, a największą dynamikę - tzw. pozarolnicza gospodarka nieuspołeczniona. Łącznie cały sektor prywatny daje około 20% dochodu narodowego i zatrudnia około 28% zatrudnionych, przy czym liczba zatrudnionych bezwzględnie i względnie wzrasta. Dalej jednak większość dyskusji ekonomicznych z uporem walczy problem mierników działalności państwowego przedsiębiorstwa przemysłowego i zakresu jego samodzielności. /Wszystko poza tym to już jest "specyfika". Podstawowe rozwiązania opracowuje się dla przedsiębiorstwa przemysłowego i następnie dostosowuje do budownictwa, usług, transportu,

gospodarki rolnej, kultury.../. Cały ten industrialny system mocno się chwieje i po przywróceniu dyscypliny i rządach komisarzy poszukują pracowników /wystarczy przejrzeć ogłoszenia prasowe/: Stocznia Komuny, FSO, Ursus...

Jest sprawa zasadnicza, czy reforma gospodarki ma służyć polskiej gospodarce, czy państwowemu przemysłowi. Musimy jeszcze raz wrócić do tej kwestii.

2. Podstawowym podmiotem gospodarczym jest przedsiębiorstwo państwowe. Stąd podstawowym problemem reformy jest formuła przedsiębiorstwa państwowego. A więc samodzielność - sposób jej określenia i gwarancje ustawowe. Gwarantem zaś samodzielności będzie samorządność. A więc samorządność /o samofinansowaniu nawet nie wspominać, rozwiązania podatkowe uczyniły ten watek nieaktualnym/. Jeśli obmyślimy taką formułę i zapiszemy ją w ustawie - to wreszcie ruszymy z miejsca. Wzrośnie produkcja, jakość, spadną koszty, wzrośnie eksport, wzrosną płace realne.

Ordź nie ruszymy. W najlepszym razie wzrośnie nieco produkcja, kosztem jakości, wzrosną płace nominalne i jeszcze bardziej koszty. Będziemy produkować coraz więcej buble i coraz trudniej będzie zdobyć nabywcy produkt potrzebny, trwałe i funkcjonalny. To zaś, czy buble będą produkowały przedsiębiorstwa z samorządem czy bez, nie ma dla wyników gospodarczych większego znaczenia.

W tym założeniu jest aż kilka wątków wymagających rewizji. Po pierwsze podstawowym problemem jest rzeczywiście ta formuła przedsiębiorstwa - ale w ogóle, nie tylko państwowego. I dżie o to, aby każdy podmiot gospodarczy, bez względu na rodzaj własności, sektor czy nazwę był traktowany jako "Przedsiębiorstwo" i aby uprawnienia tych przedsiębiorstw wobec siebie oraz organów państwa, a także pozycja na rynku były takie same. Koniec z dzieleniem gospodarki na sektory i tworzeniem specjalnych reżimów prawnych. Na rynku wszyscy mają takie same prawa. Przedsiębiorstwo państwowe to tylko szczególna forma przedsiębiorstwa, wyróżniająca się własnością i niczym więcej. Taką formułę prawną trzeba dopiero stworzyć.

Po drugie musi to być podmiot gospodarczy. Otóż przedsiębiorstwo państwowe, nawet to po 1981 r., podmiotem takim w pełni nie jest. Autentyczny podmiot musi mieć własny majątek /a więc jakiegoś indywidualnie czy kolektywnie określonego właściciela/, nie tylko uczestniczyć w zyskach, ale ponosić ryzyko kapitałowe, mieć przedsiębiorcę, który dąży do maksymalizacji dochodów w stosunku do efektów i - chyba najważniejsze - sam decydować o swoim powstaniu i zaprzestaniu działalności. Nikt nie może kazać autonomicznemu podmiotowi /przedsiębiorcy/ działać w interesie, który on uważa za nieopłacalny. Autonomia zakłada więc niezależność istnienia - i tylko między takimi podmiotami możliwe są stosunki

rynkowe, oparte na ekwiwalentnej wymianie. Podmioty powoływane przez kogoś lub przez kogoś likwidowane to tylko formalne przedsiębiorstwa, formy przedsięwzięć gospodarczych przedsiębiorstw założycieli.

Skoro przechodzimy do formuły przedsiębiorstwa państwowego, to podstawową sprawą jest problem i gwarancje autonomii, a nie "samodzielności" - podmiot autonomiczny jest samodzielny z założenia, co nie znaczy niezależny od rynku. Przedsiębiorstwo państwowe powoływane przez ministra nie jest takim przedsiębiorstwem jak oddolnie powstająca spółka.

Ustawa z 1981 uczyniła co prawda znaczny krok w tym kierunku, ale formuła przedsiębiorstwa państwowego - nadal czeka na rozwiązanie - tak, aby był to twór porównywalny do innych istniejących podmiotów. W znacznej mierze jest to twór "pusty" ekonomicznie, nie ma bowiem wyraźnie określonego właściciela - i nie ma przedsiębiorcy. Jest to zabawa w gospodarkę, w której ryzyko majątkowe ponosi w ostatecznym rachunku budżet, ryzyko warunków pracy i płacy ponoszą pracownicy /zwłaszcza w mniejszych przedsiębiorstwach o słabszej pozycji/. Ryzyko nietrafienia przez produkcję w potrzeby rynku ponoszą wszyscy nabywcy. Wszystko to zaś odbywa się w imię "szerszego zaspokojenia potrzeb ogólnospołecznych".

Nie jest przypadkowe, że przedsiębiorstwa państwowe wiedzą na naszych oczach: jedni uciekają, inni minimalizują swój wkład. Nie można tak dalej marnotrawić majątku, rzadkich zasobów, pracy ludzkiej... Powtórzmy jeszcze raz: forma przedsiębiorstwa państwowego jest konieczna w pewnych sferach gospodarki, w innych może nie być konieczna, ale na razie jedyna. Forma ta dopiero czeka na swoje rozwiązanie - i temu wyzwaniu będzie musiała stawić czoła najbliższa fala koniecznych reform.

3. Kolejnym nieporozumieniem wymagającym ponownego przemyslenia jest rola samorządu w ekonomicznej konstrukcji przedsiębiorstwa.

Przed wszystkim nie można tego rozwiązania traktować jako uniwersalne, tzn. obejmującego całą gospodarkę. Jest to tylko rozwiązanie sfery dla pewnej - choć bardzo istotnej - klasy podmiotów, a mianowicie przedsiębiorstw państwowych, nie dotyczy zaś sfer prawa handlowego, przedsiębiorstw prywatnych, zakładów rzemieślniczych, firm polonijnych. Samorząd nie jest sam przez się niezbywalną cechą przedsiębiorstwa w ogóle. Trzeba sobie jasno zdać sprawę, że tam gdzie nie ma przedsiębiorstwa - wszystko dalej staje się fikcją gospodarczą; rozwiązaniem innych problemów - społecznych, politycznych, prawnych etc. Udział w polityce w zarządzaniu jest w ogóle trendem przyszłościowym i na pewno warto go utrzymać, ale trzeba wyraźnie określić, czy samorząd jest przede wszystkim instrumentem rozwiązania nieefektywności ekonomicznej przedsiębiorstw państwowych /i wtedy podlego ocenie z punktu widzenia efektywności/, czy też dosyć skomplikowanym urządzeniem społecznym do rozwiązywania problemów społecz-

nych w przedsiębiorstwie i kwestii politycznych, takich jak akceptacja systemu władzy, legitymacja /może on być również formą demokratyzacji politycznej i budowania instytucji opartych na reprezentacji i mandacie wyborców - tylko przeniesioną, z różnych względów, do samych podmiotów gospodarczych/.

Sam fakt, że jest to najbardziej żywy kierunek reformy, który dotąd przetrwał i znajduje swoich gorących rzeczników, a także że jedyny wątek, który w ogólnie biorąc dosyć niehumanitarnej bo bezosobowej wizji reform /system, struktury organizacyjne, konstrukcje ekonomiczne, prawne.../ odwołuje się do kondycji człowieka, wartości etycznych, godności osoby ludzkiej, która nie może być przecież sprowadzona do narzędzia czy czynnika produkcji - przemawia moim zdaniem za tym, że istotne walory kierunku samorządowego leżą w warstwie pozaekonomicznej.

Zastrzegam się wyraźnie, że to co powiem dalej dotyczy tylko ekonomicznej wartości samorządu jako narzędzia efektywności /a jest to tylko część zagadnienia/.

W ekonomicznej konstrukcji samorządu, w społecznej dyskusji, emocjach i reformowaniu przedsiębiorstwa państwowego "od tyłu" /tzn. próbach animacji trupa ekonomicznego przez samorząd/ ponylonno dwie istotne sprawy. Otóż dopóki mówimy o przedsiębiorstwie w sensie ekonomicznym, a więc dopóki rozwiązujemy problemy ekonomiczne, a wyniki rozwiązań oceniamy na osi: mniej efektywne - bardziej efektywne, należy odróżnić dwie istotne rzeczy. Po pierwsze tytułem do udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem i podejmowaniu decyzji o znaczeniu ekonomicznym /a więc nie odznaczania, ordery, rozdział czasów etc., ale produkcja, inwestycje, podział dochodu/, może być legitymacja laborystyczna - a więc fakt, że się jest pracownikiem, a nie rzeczowym czynnikiem produkcji; po drugie może nim być legitymacja własnościowa - a więc fakt, że się jest właścicielem czy współwłaścicielem i ponosi się ryzyko finansowe i kapitałowe tych decyzji. Są to inne uprawnienia i nie wolno ich mieszać, [inaczej] całe to rozwiązanie traci ekonomiczny sens. Można dosyć szeroko - jak się to dzieje we współczesnych społeczeństwach Europy Zachodniej - zakreślać prawo pracowników do współdecydowania /opinowanie, konsultowanie, nawet prawo weta czy sprzeciwu/, ale istnieje pewna klasa podstawowych decyzji przedsiębiorczych, do których uprawnia tylko legitymacja własnościowa, tzn. ostateczny głos musi mieć ten tylko, kto ponosi konsekwencje finansowe tych decyzji, a więc ryzyko.

Myśmy niestety, wychowani w gospodarce księżycowej, te sprawy pomieszali. Było to tym łatwiejsze, że przecież właściciel przedsiębiorstwa państwowego jest nieokreślony - kto to jest bowiem, ekonomicznie biorąc, "państwo"? W ten sposób jedna luka intelektualna pociąga za sobą następną. Obecna konstrukcja kompetencji samorządu pracowniczego jest - z ekonomicznego punktu widzenia - nie do obrony, bo wychodząc z legitymacji labo-

rystycznej wchodzi, w kilku sprawach w istotne uprawnienia własnościowe. Nie jest zresztą przypadkiem, że uprawnienia te faktycznie nie są realizowane.

Co więc należy zrobić: zgodzić się potulnie na oddanie tych uprawnień biurokracji państwowej, która przecież też nie jest ani właścicielem ani przedsiębiorcą? Nie, trzeba szukać takich kierunków rozwiązań, które umożliwią choćby częściową, własnościową legitymację, a to oznacza nie tylko kompetencje decyzyjne ale i s k i e ś związanie dochodów pracowników z ryzykiem kapitałowym. Nie chodzi tu tylko o indywidualne akcje pracownicze /w dużych przedsiębiorstwach o znacznej wartości majątku forma akcji pracowniczych nie rozwiązuje/. Trzeba pomyśleć o zupełnie nowych rozwiązaniach: wydzierżawieniu pewnych kompleksów majątku produkcyjnego samoorganizującym się grupom pracowniczym, które zawierałyby umowę z organem reprezentującym własność państwową, gwarantującą określoną produkcję i czynsz dzierżawny; możliwości oddelnego wydziałania przedsiębiorstw z obecnych przedsiębiorstw niepodzielnych /na razie takich możliwości nie ma/, wprowadzenie akcji pracy, którymi dysponowałaby w imieniu załogi rada pracownicza - o tych wszystkich formach trzeba dopiero zacząć dyskutować. W każdym razie kierunek rozwiązań przyszłościowych to schodzenie samorządu w dół, dzielenie przedsiębiorstwa na części i samodzielne brygady robocze i wiązanie ich nie z normą pracy wymuszoną dyscypliną, ale z ekonomicznymi wynikami pracy zespołowej. Wiązać się to będzie z różnicowaniem uprawnień takich grup i zespołów. Musi też być zachowana proporcja między uprawnieniami a ponoszonym ryzykiem - przy respektowaniu zasady, że aktywnym kapitałowym pracownikom i ich zespołom są ich kwalifikacje, ilość i jakość pracy, a nawet ryzyko utraty pracy czy zmniejszenia dochodów. Jest bowiem nielogiczne, aby najpierw odebrać wszystkim własność środków produkcji i ją znacjonalizować, a następnie żądać wkładów kapitałowych od wywaszczonych pracowników, które zrównoważyłyby udział kapitałowy "państwa" reprezentowanego przez urzędników i warsztwę rządzącą. Te wszystkie sprawy dopiero przed nami i twierdzą, że ekonomiczna konstrukcja uprawnień samorządu w przedsiębiorstwach państwowych wymaga dopiero rozwiązania. Pracownicy sami też muszą zdecydować, czy chcą mieć większe uprawnienia i ponosić większe ryzyko - czy też świadczyć pracę określoną przez przedsiębiorcę, zgodnie z umową o pracę - i korzystać z uprawnień o charakterze partycypacyjnym, opartych na legitymacji laborystycznej. Obecna, zunifikowana formuła przedsiębiorstwa państwowego, wspólna dla stoczni i wytwórni dżemów, jest nie do utrzymania. W kilku zresztą wersjach projektów społecznych z 1981 r. /m.in. w projekcie "Sieci"/ zawarta była załączkowa idea zróżnicowania kondycji własnościowej przedsiębiorstw i dostosowania do niej uprawnień samorządu. Do tych problemów musimy znowu wrócić, mądrzejsi o 6 lat. Nikt ich za nas nie rozwiąże.

Ze statusu pracownika /legitymacja laborystyczna/ może i powinno wynikać tylko prawo do udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem. Kompetencje te mogą być nawet dosyć szerokie, ale nie mogą przekroczyć pewnego pakietu istotnych uprawnień kapitałowych. Do pakietu tego należą np. decyzje o utworzeniu przedsiębiorstwa, zaangażowanie kapitału w taką a nie inną produkcję, technologię i produkt /co przecież zawsze wiąże się z ryzykiem/, struktura i ilość produkcji, wielkość i kierunek inwestycji, podział zysku. W decyzjach takich pracownicy mogą partycypować, ale nie mogą ostatecznie decydować. Innymi słowy w normalnej gospodarce rynkowej i w normalnym ekonomicznie przedsiębiorstwie /bez względu na to czy chodzi o własność prywatną, komunalną czy państwową/ są pewne nieprzekraczalne granice partycypacji pracowniczej - jeśli oczywiście chcemy zachować ekonomiczną konstrukcję przedsiębiorstwa z kapitałem, przedsiębiorcą który podejmuje kluczowe decyzje i właścicielem, który ponosi ostateczne ryzyko. "Nieprzekraczalność", o której tu mowa, dotyczy tylko sensu ekonomicznego; zdarzało się jednak, że dla rozwiązania szczególnie ostrych konfliktów politycznych ustawy przyznawały takie uprawnienie pracownikom. Pierwszy taki eksperyment na szeroką skalę zrobiła Rosja sowiecka tworząc w przedsiębiorstwach, formalnie jeszcze prywatnych, rady delegatów robotniczych, żołnierskich i chłopskich, które rządziły się cudzym majątkiem. Była to po prostu forma faktycznego wyłączenia. Tu jednak kończy się ekonomia i zaczyna się pole rozwiązywania problemów polityki i władzy kosztem funkcjonowania instytucji i kategorii ekonomicznych. W Polsce 1981 chodziło o sytuację odwrotną - "wyłączenie" biurokracji państwowej i partyjnej, która w dodatku, w przeciwieństwie do klasycznego przedsiębiorcy i właściciela, nie ponosiła żadnej odpowiedzialności - ani przed akcjonariuszami, ani przed państwem z demokratyczną reprezentacją, ani przed związkami zawodowymi reprezentującymi interesy pracownicze. Cel jak najbardziej słuszny - trzeba tylko mieć świadomość, że nie jest to rozwiązanie ekonomicznej formuły przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwo państwowe z samorządem jest niewątpliwie bardziej demokratyczne i nawet bardziej sprawne - ale ciągle nie jest normalnym przedsiębiorstwem!

Dlatego więc, jeśli chcemy tu rozwiązać problemy ekonomiczne, a nie polityczne, stworzyć normalne przedsiębiorstwo i normalny rynek, należy stwierdzić, że przyznawanie, choćby w części, uprawnień kapitałowych organom samorządu pracowniczego w przedsiębiorstwie, jest fikcją prawną, która nigdy nie będzie mogła być wykorzystana w praktyce, zwłaszcza w systemie centralnego kierowania i reglamentacji. Zamazuje to tylko konstrukcję ekonomiczną przedsiębiorstwa państwowego /które dalej pozostaje bez przedsiębiorcy i właściciela/ a politycznie stwarza złudzenie "szerokich uprawnień samorządu w ustawach" i "demokratyzacji systemu". Dzisiaj, po 6

latach, możemy już stwierdzić, jak dalece uprawnienia w ustawach odbiegają od tego, co organy samorządu mogą realizować w praktyce. A wszystko to nie jest przypadkowe i nie można wszystkiego składać tylko na karb złośliwości centralnej biurokracji i niechęci kadry kierowniczej. Po prostu bez jakiejś legitymacji własnościowej te uprawnienia są nie do wyegzekwowania.

Jaka jednak ma być ta legitymacja i czy w ogóle jest ona możliwa? Znowu okazaliśmy się tutaj więźniami intelektualnymi systemu totalitarnego, który całkowicie wypaczył kategorię własności. Własność jako kluczowa kategoria prawa cywilnego, to najszersze z możliwych praw podmiotowych i składa się na nią tak szeroka wiązka różnorodnych uprawnień, które mogą być wykonywane przez różne osoby i z różnych tytułów, że we współczesnych społeczeństwach, zwłaszcza w odniesieniu do czynników produkcji, bardzo trudno jest powiedzieć, kto - pomijając samą formułę prawną - jest "naprawdę" właścicielem, czyje więc uprawnienia są faktycznie najsilniejsze. Rozumowanie totalitarne jednak całkowicie likwiduje szeroką gamę różnorako rozłożonych uprawnień i tytułów do korzystania i czerpania owoców z czynników produkcji, wprowadzając prymitywną opozycję: albo - albo. Wszystko oczywiście ma mieć państwo. Własność ogólnospołeczna, którą sprowadzono do własności państwowej to niczym nie skrepowane i nieograniczone dysponowanie urzędników tego aparatu każdym czynnikiem produkcji. Niczym nie ograniczone panowanie polityczne, oparte na aparacie przymusu i hierarchicznej biurokracji, zostało jakby zalegalizowane takim sposobem rozumienia "własności państwowej". Otóż opozycją do tak prymitywnie rozumianej formuły własnościowej mógł być tylko drugi człon alternatywy: niech państwo ma swoich urzędników, ministerstwa, telefony i aparat władzy - a o całej reszcie niech decyduje załoga. Taka alternatywa, nigdy zresztą do końca nie wyłożona programowo, "wisiała w powietrzu" w 1981 r. Było to oczywiście rozumowanie niemożliwe politycznie, nierealne gospodarczo, a przede wszystkim oparte na błędnym pojmowaniu własności, przyjmującym optykę systemu totalitarnego. Pierwsza, zresztą niezgrabna, próba "Sieci" wyrwania się z omni-potencji własności państwa i stworzenia formuły własnościowej "przedsiębiorstwa społecznego" zakończyła się niepowodzeniem. Odtąd ruch społeczny na trwałe zrezygnował z budowania jakiejś gwarancji własnościowej dla egzekwowania uprawnień pracowników do współzarządzania. Dalej odbywał się już tylko targ o kompetencje zapisane w ustawie i ustawy z września 1981 o przedsiębiorstwie państwowym i samorządzie założył się właśnie kompromisem i płodem takiego rozumowania. A przecież, jeśli mówić o gwarancjach egzekwowania tych praw, to nie były nimi zapisy ustawowe /niektóre samorządy powstawały jeszcze przed uchwaleniem ustaw/, ale siła polityczna "S". Zatem zamiast gwarancji ekonomicznej, która by leżała w samej konstrukcji własnościowej przedsiębiorstwa, posłużono się gwarancją polityczną, która wówczas przydawała takiemu rozwiązaniu pozór trwałości i siły. Stan wojenny, delegalizacja "S" i dalsze losy koncesjonowanego samorządu pracowniczego oraz to, co faktycznie może on zrobić zależy od dobrej

woli dyrektorów, ministrów, Biura Politycznego i władz bezpieczeństwa. Przykładem może być dotąd nie zrealizowane prawo rad pracowniczych do współdziałania i zawierania porozumień - bo władzy się to nie podoba. Prawo załóg do udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem stało się częścią koncesjonowanego systemu politycznego, w którym władza działając na zasadzie swobodnego uznania kontroluje każdą inicjatywę. O czym zresztą ten samorząd, w obecnych warunkach działania przedsiębiorstwa państwowego, może tak naprawdę decydować? Jest to rozwiązanie chore ekonomicznie, bez żadnej gwarancji politycznej, skazane na obumarcie, a co gorsza, na kompromitację społeczną samej idei udziału pracowników w zarządzaniu.

Należy więc powrócić do budowania legitymacji własnościowej - bo ta dopiero daje podstawy do decydowania o kluczowych decyzjach w przedsiębiorstwie. Legitymacja ta wcale nie musi oznaczać "całej własności" /to jest właśnie nonsens totalitarny/, ale wystarcza aby załoga przedsiębiorstwa społecznego posiadała część uprawnień, które w sumie składają się na to, co ogólnie nazywamy własnością. Własność to nie jest jedno prawo absolutne, ale cały szereg uprawnień, które mogą i powinny być podzielone pomiędzy różnych uczestników społecznego procesu gospodarowania. Jest nielogiczne i niesprawiedliwe, aby pracownicy w przedsiębiorstwie, którego mienie należy do funduszu własności ogólnonarodowej, decydowali o przeznaczeniu tego mienia i dochodzie jak właściciele - bo przecież nimi nie są. Ale tak samo jest nielogiczne i niesprawiedliwe aby ci, dzięki którym projekt, maszyny i surowce organizuje się w żywy proces, na końcu którego powstaje konkretny użyteczny produkt, byli traktowani jak zwykli pracownicy najemni. Jest jasne, że muszą oni mieć większe prawa do tej części mienia ogólnonarodowego - bo przecież to ich praca tworzy nową wartość.

Wcześniej czy później musimy dojść do formuły własności podzielonej.

Jak to zrobić? Rozwiązania mogą być różne. Załoga /jako całość/ mogłaby np. dysponować przez swoich przedstawicieli w radzie nadzorczej czy zarządzie przedsiębiorstwa częścią uprawnień własnościowych w formie akcji pracy, które stanowiłyby część łącznej wartości kapitału przedsiębiorstwa. Można rozpatrywać wariant wydzierżawienia przez załogi pewnych kompleksów produkcyjnych /wydział, zakład, małe przedsiębiorstwo/ i ponoszenia w części ryzyka kapitałowego - poprzez wysoką płac i zysków.

W ten sposób mogłoby też oddolnie powstać przedsiębiorstwo społeczne: grupa ludzi z kwalifikacjami i np. pomysłem nowego produktu, stanowiąca trzon przyszłej załogi, zwracałaby się do organu reprezentującego zarząd mieniem ogólnospołecznym o wydzierżawienie kompleksu składników produkcyjnych. Organ taki

mogłoby nawet przeprowadzić aukcję wydzierżawiając dany kompleks tej grupie, która oprócz normalnych podatków zapewni wyższy czynsz dzierżawny. Możliwe jest tworzenie podmiotów o mieszanej formule własnościowej, włącznie z nabywaniem indywidualnych akcji przez pracowników /wówczas jednak, rzecz jasna, ci mieliby większe prawa do podejmowania decyzji niż zwykli pracownicy którzy nie wnoszą udziałów/. Wydaje się jednak, że wariant własności akcyjnej, oparty na prostym przeniesieniu spółki akcyjnej, miałby raczej ograniczone zastosowanie, ponieważ w większych przedsiębiorstwach akcje takie stanowiłyby tylko drobną część łącznej wartości kapitału przedsiębiorstwa. Wreszcie prawie zupełnie nie wykorzystywana jest formuła **a u t e n t y c z n y c h s p ó ł d z i e ł n i**.

Te i inne propozycje należy poddać szerokiej dyskusji, ponieważ przedsiębiorstwo państwowe, bez przedsiębiorcy i bez właściciela /w sensie gospodarczym/ jest fikcją prawną i nonsensem ekonomicznym, gdzie koncesjonowany samorząd ma ożywić trupa. W ten sposób nie wydobędziemy się z kryzysu.

Spółeczna nauka Kościoła, zwłaszcza wyrażona w encyklice "Laborem Exercens" przypomina, że człowiek który ożywia cały proces produkcji, nie jest i nie może być sprowadzony tylko do rzeczowego składnika produkcji, jak maszyna czy surowiec. To on, jego praca i umiejętności, stanowi także część kapitału przedsiębiorstwa. Zresztą w gospodarkach kapitalistycznych na rynkową wartość przedsiębiorstwa /notowaną na giełdzie/ składa się także wartość bardzo nieraz rzadkich umiejętności, kwalifikacji i doświadczeń pracowników. Software jest czasem dużo cenniejszy od hardware i dlatego właśnie nagle kolosalnie zwyżkują na giełdzie akcje firm komputerowych o dosyć skromnym majątku rzeczowym. Dlatego logicznym i moralnym rozwiązaniem jest, aby pracownicy dysponowali pewną "wiązką" uprawnień własnościowych - w takiej mierze w jakiej wartość ich pracy czy wkładów finansowych składa się na łączną wartość rynkową przedsiębiorstwa. Tę wartość kapitału możemy nazwać kapitałem społecznym. Dopiero przy takim obliczeniu kapitału przedsiębiorstwa możliwa staje się idea przedsiębiorstwa społecznego.

Wszystko, co dotąd powiedziałem, dotyczy tylko ekonomicznej konstrukcji samorządu. Pozaekonomiczne racje samorządu pracowniczego: sama zasada demokratycznego wyboru przedstawicieli, wybór i kompetencje kontrolne, opiniujące i inicjujące, oraz kompetencje w dziedzinie warunków pracy i płacy nie podlegają dyskusji. Samo zaś społeczne urządzenie samorządowe nie będzie działało prawidłowo, dopóki nie będzie normalnych związków zawodowych.

Oczywiście narażam się na zarzut, że wywołując dyskusję nad konstrukcją ustaw z 1981 r. daję tylko argumenty do ręki tym, którzy chcą je od dawna zmienić. Odpowiadam: zmieniają, jeśli tylko będą mogli sobie na to pozwolić, bez względu na takie czy inne artykuły. Naszym obowiązkiem jest szukanie rozwiązywania rzeczywistych problemów, a nie mitologicznych kompromisów politycz-

nych z 1981 r. Są niepokojące sygnały działaczy. Samorząd rozmywa się w wielkich strukturach organizacyjnych, do których coraz bardziej grawituje Centrum. Działacze samorządu to przeciwieństwo zwykli ludzie, którzy muszą się przystosować do istniejących reguł gry i możliwości działania. Komu więc bardziej służy to rozwiązanie: zmianom w kierunku tworzenia otoczenia rynkowego w gospodarce, czy legitymizacji istniejącego systemu politycznego, grupowych i branżowych interesów pozycyjnych?

4. Gospodarka polska jest bogata, tylko nie zarządzana. Mamy pełno rezerw, surowce, np. węgiel... Wystarczy je tylko odblokować przez prawidłowy system zarządzania i dalej już ruszymy... Taka była wulgarna, szeroko rozpowszechniona wersja tego mitu, słusznie zresztą wykliona na łamach oficjalnych. Jako pierwszy uczynił to prof. Bobrowski, którego artykuł poświęcony temu mitowi czytałem jeszcze w 1981 r. Kryła się za nim głębsza refleksja, którą nie wszyscy chyba zrozumieli, że nasza kondycja może być dużo gorsza, niż nam się wydaje. Te huty, kopalnie, fabryki zbudowane i właśnie budowane - to nie żadna rezerwa, tylko ograniczenie.

Jest to majątek dający produkcję coraz bardziej nieopłacalną, nie odpowiadającą potrzebom krajowych konsumentów i nie dającą się wyeksportować na Zachód - a jednocześnie wymagającą importu z tej strefy, aby dalej podtrzymać tę produkcję. To są właśnie rezultaty industrializacji po 40 latach planowego kształtowania struktury produkcji.

W warstwie programów reformy gospodarczej założenia te były elegancko poukrywane. Po prostu programy te zakładały milcząco, że podstawowym problemem jest nie sam strumień zasilania, ale kierunek wykorzystania tego strumienia: zasady alokacji inwestycji, rozdziału materiałów i środków produkcji - a więc nie "kto", ale "komu i na jakich zasadach". Podobnie na rynku artykułów konsumpcyjnych problem równowagi rozpatrywano tylko przez zdejmowanie, redukcję popytu i dostosowania podaży za pomocą cen.

Rozumowanie takie zakładało /w dużym uproszczeniu oczywiście/, że reforma gospodarki polega na ułożeniu nowego modelu funkcjonowania: mamy kłocki /przedsiębiorstwa państwowe/ i m o ż e m y mieć środki na przebudowę struktury gospodarczej /to są właśnie te rezerwy nagromadzone przez 40 lat planowanej industrializacji/. Wystarczy z tego ułożyć układankę, inny model funkcjonowania i inną politykę gospodarczą.

Otóż staje się coraz bardziej jasne, że sprawa jest poważniejsza. Po pierwsze nie bardzo mamy kłocki /przedsiębiorstwa państwowe to w dużej mierze sztuczne podmioty gospodarcze/. Po drugie, coraz bardziej oczywiste staje się, że strumień środków raptownie się urwał /kredyty/ i nic nie wskazuje na możliwość jego zwiększenia. Przeciwnie, skutki dekapitalizacji majątku produkcyjnego, infrastruktury, a także spłata długu zagranicznego dopiero p r z e d nami. Mamy rozwinięty przemysł produk-

cji dla produkcji, albo całe pustynie w podaży artykułów na potrzeby ludzi. Nie ma wytwórni cegieł, nie ma materiałów budowlanych, nie ma małych piekarni, zakładów przetwórczych, mleka, serów, owoców. Nie ma - bo 40 lat budowaliśmy państwo industrialne, te środki zabrane mleczarniom i piekarniom, młynom - poszły w huty i stocznie, w Ursus, Bogdanke, Bełchatów... A Ursus potrzebuje dalszych kredytów i dewiz - nie stać więc nas na mleczarnie, chociaż Polska jest jednym z europejskich rekordzistów w produkcji mleka. Za to sprzedajemy węgiel i miedź i między innymi importujemy sery. Podstawowy problem to nie gdzie i według jakich priorytetów kierować środki rozwojowe ale z czego zrezygnować. To, że decyzje takie nie są podejmowane nie świadczy o wychodzeniu z kryzysu, ale o ich odwlekaniu. Jak na razie hutnictwo i energetyka zwiększyły tylko swój udział w inwestycjach. Po 6 latach mówienie o "twardych" regułach finansowania - upadłość, która będzie bardzo ostro egzekwowana, jest mydleniem oczu. Kto chce niech wierzy, dlatego że chce wierzyć. W przypadku zaś oczywiście nieopłacalnych przedsięwzięć gospodarczych pada argument: przeciw nie można ludzi wyrzucić na bruk... i zamknąć przedsiębiorstwa tylko w imię jakichś koncepcji rynkowych. Jest to prymitywna polityczna demagogia. Po pierwsze ci ludzie sami uciekają, bo płace w takim kandydacie na bankruta są zazwyczaj gorsze niż gdzie indziej, czemu towarzyszą często wyjątkowo ciężkie warunki pracy. Po drugie, ci "ludzie wyrzuceni na bruk" znajdują przecież /oficjalnie zarejestrowanych jest pół miliona wolnych miejsc pracy/ pracę gdzie indziej, nie tylko bardziej społecznie użyteczną, ale lepiej płatną. Po trzecie, po co w ogóle wprowadzono PFAZ /obecnie: podatek od ponadnormatywnych wynagrodzeń/? Nie dajmy się zwariować. To nie socjalizm wymięlił zasiłki dla bezrobotnych i na czas przekwalifikowania się. Gdyby nasz system był bardziej produktywny, to realna wartość tych zasiłków mogłaby być wyższa niż obecnie niektórych płac. Miliony ludzi na całym świecie zmieniają pracę, także z tego powodu, że ich dotychczasowe miejsce pracy, czy całe przedsiębiorstwo, zostało zlikwidowane. To totalitarny system industrialny chce mieć monopol pracy, mieć przymusowe pośrednictwo, wyrażać zgodę lub nie, grozić wyrzuceniem za "działalność polityczną", upodlegać materialnie bezpartyjnych czy inaczej myślących. Ci ludzie mogą egzystować tylko dzięki temu, że rynek pracy nie został poddany wszechwładnej kontroli pracodawców i cichej urzędów bezpieczeństwa. Powtórzmy jeszcze raz: Poddanie reżimowi rynkowemu stosunków gospodarczych może mieć doraźnie bolesne skutki dla niektórych grup czy zawodów /po to jest państwo, żeby je pogodzić/, ale to właśnie rynek pracy jest najlepszą gwarancją wolności ekonomicznej, a także wolności obywatelskich.

5. Reforma musi łączyć planowanie z rynkiem: nie można więc nigdzie wprowadzić rynku w pełnym zakresie. Wprowadzamy więc pół rynku i pół planu.

Rodowód tego założenia wywodzi się jeszcze z dyskusji nad polskim modelem gospodarczym z końca lat pięćdziesiątych, kiedy to postawiono alternatywę: plan - albo rynek. Oczywiście wygrał plan, a zwolennicy innych poglądów, np. zysku jako miernika działalności przedsiębiorstwa /jak wiadomo w ustawie o systemie finansowym z 1982 r. właśnie zysk jest podstawowym miernikiem - obecnie zapis ten ma charakter czysto werbalny/ zostali potępieni jako rewizjoniści. Aliści źle było z tym planem i reformą, nawet prowadzona tylko w sektorze państwowym, musiała wprowadzić jakiś jednolity i porównywalny miernik działalności. Nie można było jednak po prostu wyrzucić planu do kosza; na straży jego stały interesy aparatu biurokratycznego, rytuał języka ideologicznego, no i inne jeszcze uzależnienia. Zresztą nikt wśród urzędowych reformatorów i dyżurnych profesorów od reformy takiego rozwiązania nie chciał; nie przesadzajmy z tą radykalnością rozwiązań. Wymyślono więc formułę, która co prawda brzmi zgrabnie, ale z której nic konkretnie nie wynika - mianowicie "plan kojarzony z rynkiem". Rynek będzie pomagał planiście, a planista rynkowi. Znowu kompromis polityczny spowodował niedopuszczalny kompromis intelektualny. Ten kit pojęciowy wprowadził fatalne w skutkach zamieszanie i nawet poważni ekonomiści dali się ogłupić. To tak, jakby jedną nogą chodzić, a drugą jeździć samochodem.

Moim zdaniem wynikły stąd dwa szczególnie poważne nieporozumienia, które teraz trzeba wyjaśnić:

Po pierwsze, nawet w fachowych dyskusjach, myli się dwie rzeczy: co innego jest "zakres rynku" /tzn. sfera poddana reżimowi rynkowemu/, a co innego "głębokość" wprowadzenia reguł rynkowych. Można /i trzeba/ dyskutować tylko nad tą pierwszą kwestią. Czy np. społeczeństwo chce, żeby za zarobione pieniądze można było kupić nie tylko chleb i marynarkę, ale samochód i mieszkanie? A może także wysoko kwalifikowaną usługę lekarską. A może także prywatne nauczanie? A jeśli tylko pewien procent chce aby można było korzystać z takich towarów i usług na normalnych zasadach rynkowych, to co wtedy? Stworzyć dla nich oficjalną /nieoficjalną i tak powstanie/ enklawę rynkową w tej strefie - czy zamknąć ją, w imię sprawiedliwości społecznej? O tym wszystkim trzeba dyskutować, bo tak naprawdę wcale nie jest jasne, czego ludzie chcą naprawdę, a przed czym się bronią. Wydaje mi się tylko, że zawsze powinna być możliwość wyboru: nie można w imię jakiejś koncepcji społecznej uszczęśliwiać ludzi gwałtem i zmuszać ich do życia w totalnym reżimie rynkowym - czy też państwo-planistycznym. Niestety nie zawsze zasada wolnego wyboru jest praktycznie wykonalna i czasem trzeba podjąć wybór. To jest właśnie najczulsza sfera, gdzie wartości etyczne, poczucie sprawiedliwości i koncepcja ładu społecznego niejako "przełamuje", ogranicza i podporządkowuje zachowanie ekonomiczne i interesy je-

dnostkowe. To musimy sobie właśnie wyjaśnić: w jakim ładzie społecznym żyć chcemy? Dopiero od tego zależy zakres reformy gospodarczej.

Natomiast druga kwestia - często przewijająca się w dyskusjach - jest zupełnym nieporozumieniem. Nie można wprowadzić rynku w połowie, albo w 3/4. Rynek to skomplikowane urządzenie /niewątpliwie pełne wad, ale jak na razie innego nie wynaleziono/, które umożliwia porównanie i wycenę wszystkich elementów danego przedsięwzięcia w pieniądzu i wybór kombinacji najlepszej, z danym podmiotem gospodarującym. Wszystkich - to znaczy wszystkich: ziemi, pracy, kapitału, kwalifikacji. Dopiero wtedy to urządzenie funkcjonuje. Nie można wprowadzać rynku na jedne materiały, a rozdzielać inne, wprowadzić wolną cenę na akumulator, a rozdzielać inne, wprowadzić wolną cenę na budowlanemu nabyć samochód, ale rozdzielać już dźwigi. Nie można wyłączać z rynku /co zrobiono w 1983/ rynku pracy, bo przedsiębiorstwo nie ma już możliwości zastosowania najbardziej optymalnej kombinacji. Nie można, jeśli przedsiębiorstwo stale musi importować, wyłączać z rynku dewiz. Nie ma sensu dać konsumentom prawa obrotu bonami PKO, a zakazać dewizami, itd., itd. Z tego względu, a nie dla jakichś złośliwych politycznych intencji, konieczny jest w gospodarce rynek kapitałowy, o czym tyle piszą ekonomiści.

Otóż u nas, realizując obecną reformę nigdy, nawet w najmniejszej enklawie, nie wprowadzono pełnej możliwości porównania wszystkich nakładów i wszystkich efektów w pieniądzu. A więc urządzenie rynkowe n i g d y nie zadziałało /działa ono faktycznie w szarej lub czarnej gospodarce, ale brak legalności powoduje, że ceny określa nie tylko rzadkość, ale i ryzyko/. Każda przeszkoda administracyjna psuje rynek. Jeśli np. przepisy podatkowe, budowlane, zaopatrzeniowe etc. uniemożliwiają lub znacznie utrudniają powstanie nowych piekarni, masarni, mleczarni, a więc jeśli zahamujemy czynniki kształtujące podaż /ekonomiści mówią o tzw. zasadzie swobodnego wejścia w nową dziedzinę/, a ilość pieniądza w rękach nabywców się zwiększy - to rzecz jasna, ceny pójdą w górę, zrównując daną /zahamowaną/ podaż rosnącym popytem. To właśnie dzieje się u nas, zwłaszcza na rynku środków konsumpcji. Propaganda wmawia ludziom, że to jest właśnie konsekwencja wprowadzenia reformy rynkowej: chcieliście reformy rynkowej, to ją macie. Zaraz też odzywają się głosy, że w imię sprawiedliwości społecznej tak być przecież nie może, zyski muszą być uzasadnione, ceny kontrolowane, podstawowe surowce przydzielane tym, którzy "najbardziej potrzebują" - a w ogóle to ta cała reforma rynkowa się nie sprawdza i chyba system nakazowy był jednak lepszy...

Otóż to wszystko jest karygodnym nieporozumieniem i trudno powiedzieć, czy więcej tu złej woli czy zwykłej głupoty i niekompetencji. Ogólny wzrost kosztów i cen jest skutkiem nieefektyw-

ności i inflacji - i rynek jest po to, by to ujawnić, a nie tłumić. W rezultacie ciągle nie wiemy - przy sztucznym układzie cen - co naprawdę jest opłacalne ani też ile i do czego dopłacamy /zwłaszcza w eksporcie, gdzie następuje przejście ze sztucznych cen urzędowych do prawdziwych cen rynku światowego/. Natomiast skokowy, bardzo znaczny wzrost cen w niektórych segmentach obrotu, czy na niektóre towary jest często konsekwencją faktu, że wyceny różnych towarów i czynników produkcji są wzajemnie nieporównywalne /a więc cena piniężna nie ma większego znaczenia/, a producent, którego pole decyzji jest ciągle ograniczone, nie może stosować kombinacji efektywniejszej, choćby nawet chciał. A w ogóle to dlaczego ma chcieć?

Proces tworzenia rynku można by porównać do tworzenia delikatnej błony. Gdy tylko zaczyna się ona zawiązywać, momentalnie wali się w nią jakimś przepisem. W ten sposób prawdziwy układ cen nigdy nie powstanie. Jak mówi prof. Sadowski: niestety jeszcze nie powstał.

Dyskutujemy o zakresie rynku, ale - na miłość Boską - nie o rynku na pół gwizdka, bo takiego nie ma.

Drugie nieporozumienie, płynące z tego "kojarzenia planu z rynkiem", płynie jak mi się wydaje z pewnych ograniczeń świadomościowych reformatorów, którzy po prostu nie mogą przekroczyć pewnych barier. Otóż wymyślili oni sobie, że rynek - skoro już reforma jest niezbędna - będzie pomagał planiście. "Obecnie kategorie rynkowe stają się realnymi narzędziami zarówno podejmowania decyzji, jak i kryteriami oceny rezultatów działalności" - czytamy w "Kierunkach" /s. 23/. Znaczy to po prostu, że coś, co jest żywym systemem przekazywania informacji między żywymi, autentycznymi podmiotami, będzie narzędziem kierowania tylko "parametrycznym". W Komisji Planowania i ministerstwach będzie określać się parametry i, jak to ładnie się nazywa, "reguły gry", przeliczać szybko na ręcznych komputerach na korbę /zmiana dwóch cyfr po przecinku, cyk i bodziec wywołuje reakcję: było mniej kabli - i już fabryka produkuje więcej kabli, oczywiście dlatego więcej, że takie są "preferencje planisty"/. Urządzenie jednak w ogóle nie działa. Zmienia się jedną regułą, najlepiej w tył i... Zmienia się stopę podatkową i nic. Daje się preferencję na surowiec /zabrany komu innemu/ - i nic. Nie ma kabli. No więc do chrzanzu z takim rynkiem. Przedtem może było, jak to się brzydko nazywa, "ręczne sterowanie" - ale to działało. Jednemu dyrektorowi dało się nakaz, drugiemu kazało się kupić od trzeciego, tego się opieprzyło, tamtemu asygnatę. I jakoś szło. A teraz? Zatraskani planiści alarmują rząd i Biuro Polityczne: przeciw państwu nie może pozbawić się instrumentów, to co jest, nie działa, przedsiębiorstwa nie reagują. Dlatego trzeba wprowadzić dodatkowo..., etc. I tak, poczynając od "prowizorium systemowego" z listopada 1981, wprowadza się reformę.

Oni naprawdę nie rozumieją, że rynek nie potrzebuje kierowania - jego wartość polega właśnie na tym, że jest urządzeniem samosterującym. Urządzenie to można ograniczać w pewnych stre-

fach /choć jest to dosyć trudne/, pobudzać pewne procesy, można je nawet chwilowo wyłączyć, jeśli takie są racje pozaekonomiczne /np. przez zamrożenie cen/ - ale nie potrzeba nim kierować. Rynek kieruje się sam.

Jest to jednak skutek oddania reformy "rynkowej" w ręce urzędników. Otóż właśnie oni nigdy nie wprowadzą rynku. Jest to prawidłowość ogólna, nie dotycząca tylko Polski. Logika planu jest logiką biurokracji, logiką rynku jest logiką przedsiębiorcy. To są odmienne światy, także w innych krajach zazwyczaj sobie nieprzychylnie.

Najwyższy czas powiedzieć, że cała ta sprawa z reformą "rynkową" jest postawiona u nas na głowie. Rynek jest naturalnym otoczeniem procesów gospodarczych i - jako taki - jest własnością społeczną, niezbędnym warunkiem normalnego funkcjonowania gospodarki i dobrem nas wszystkich. W tej mierze, w jakiej ludzie chcą rynku, a więc ekonomicznych reguł gry, to państwo ma służyć rynkowi, ochraniać go tak, jak ma chronić ład społeczny, zdrowie obywateli, wodę, ziemię czy wartości narodowe. Jest arogancją i głupotą biurokratycznej warstwy rządzącej traktowanie rynku jako instrumentu, który ma przede wszystkim "im" służyć.

Rynek służy wygodzie ludzi, producentów i konsumentów - a nie wygodzie Centrum. To jest abecadło ekonomii. Natomiast w jakim zakresie społeczeństwo chce rynku - to już zupełnie inna sprawa. Znowu jednak to ono, a nie aparat urzędniczy w gospodarce ma o tym decydować.

6. Założenie, że "prawem naprawiamy gospodarkę", legło od początku w nurcie obecnej reformy i - w przeciwieństwie do innych - było jawnie i wprost deklarowane. Dodajmy od razu, że zgodnie się tu spotkały filozofia rządu i społecznego ruchu reformy, nikt więc tu nikomu nie narzucił tego założenia. Nie jest też przypadkiem, że np. "Siec" zaczęła od pisania projektów ustaw, najpierw o przedsiębiorstwie społecznym, a później alternatywnych projektów ustaw wprowadzających reformę gospodarczą /sam w tym brałem udział/. Istotnie, reformowanie gospodarki państwowej jest niemożliwe bez nowej konstrukcji prawnej, a wszędzie tam, gdzie było jakieś prawo, aby je zmienić, trzeba wydać prawo nowe. Im więcej państwa w gospodarce - tym więcej musi być prawa. Właśnie.

Otóż regulacja ustawowa podstawowych rozwiązań /myślę tu tylko o gospodarce, ale rzecz jasna także dla ochrony wolności obywatelskich i politycznych ustawa jest najlepszym gwarantem - w tej mierze, w jakiej prawo może coś gwarantować/ była jak najbardziej słuszną i koniecznym wręcz posunięciem. Była to naturalna reakcja na bezprawie w gospodarce lat siedemdziesiątych, sam też pisałem na ten temat, badałem podstawy prawne planowania

gospodarczego i nawoływałem do ustawowej regulacji. Chyba tylko prawnicy zdają sobie w pełni sprawę z katastrofalnego stanu prawa w tamtym okresie. Wydaje mi się jednak, że problem roli prawa w gospodarce został nakreślony za wąsko, w alternatywie: ustawa, czy okólnik i niejasna uchwała. Otóż naprawdę trzeba mieć zacząć od pytania, ile tego prawa ma w ogóle być, aby jak najmniej przeszkadzało ono przedsiębiorczości i inicjatywie podmiotów gospodarczych - i to jest podstawowy wybór.

Jest oczywiście lepiej kiedy organy państwowe są ograniczone ustawą, a nie okólnikiem bez podstawy prawnej. W rozumowaniu z tamtych lat tkwiło jednak założenie, że cała działalność gospodarcza, w imię praworządności regulowana drobiazgowo przepisami prawa, że przedsiębiorstwo jako organ państwowy musi mieć "kompetencje" do działania - i żadne inne rozwiązanie nie jest w ogóle możliwe. I tak, pełni dobrej woli, wpadliśmy stanowczo w "przechył prawny", naprodukowaliśmy mnóstwo ustaw, a następne są w toku /oraz ich nowelizacje/. Przedmiot każdej z osobna zasługuje, żeby go regulować ustawą - ale w sumie jest tego stanowczo za dużo. Nikt w tej chwili: ani kadra kierownicza, ani działacze samorządów - nawet radcy prawni - w tym wszystkim się dobrze nie orientują. Gospodarka opiera się na innej logice niż aparat państwowy, nie na władzy, ale na przedsiębiorczości i interesie, i prawo stanowione częściej tam szkodzi niż pomaga. Wielkie kodyfikacje prawa cywilnego powstały przecież raczej jako uogólnienie nie faktycznych stosunków, zwyczajów w stosunkach rodzinnych czy handlowych, niż jako ich sztywne, aprioryczne zaprojektowanie, choć oczywiście minimum regulacji jest potrzebne, choćby ze względu na bezpieczeństwo obrotu. Uważam jednak, że nasze podejście do prawa w gospodarce jest bardzo toporne, przypomina podejście konstruktorskie inżyniera, który wszystko chce przewidzieć i zaprojektować. A to przecież żywy system. Ale mniej prawa, to znaczy mniej państwa w gospodarce. I to jest zagadnienie podstawowe.

7. Koncepcja państwowej reformy - bo taka jest reforma obecna - zakłada oczywiście, że państwo musi być obecne w całej gospodarce. Dyskusji podlega tylko, ile ma być ministerstw i jakimi narzędziami się one posługują. Tkwi w tym założenie, że to "co to jest państwo" i "co ono tam robi" jest zupełnie oczywiste. Otóż zarówno stan gospodarki, jak i dotychczasowy przebieg reformy wskazują, że nie jest to wcale takie oczywiste. Nie chodzi tu o wskazywanie jakichś anarchistycznych utopii gospodarki bezpaństwowej /notabene jest to jeden z bocznych odłamów nurtu myśli socjalistycznej, a obumieranie państwa przepowiadał Lenin.../, ale znowu o przewietrzenie intelektualne pewnych, jakoby oczywistych spraw i pojęć. Wydaje mi się bowiem, że mówiąc "państwo" mamy na myśli bardzo różne rzeczy.

Przed wszystkim zarówno założenia ustroju socjalistycznego jak i Konstytucja PRL przewidują, że podmiotem władzy jest społeczeństwo /"lud pracujący"/, a nie państwo. Państwo jest forma

organizacji społecznej i ma służyć społeczeństwu - a nie odwrotnie. Nasza Konstytucja przewiduje także ogólnospołeczną /a nie państwową/ własność podstawowych środków produkcji. To nie jest własność aparatu państwowego, tylko nasza wspólna. Sformułowania reprezentantów aparatu państwowego, że "państwo pozwoli na to, a nie pozwoli na tamto" skrótowo oddaje tylko ich świadomość, że to oni tu rozkazują, a nie służą swoim wyborcom. Nie dajmy się jednak wpędzić w ten tok rozumowania. Punktem wyjścia dla reformy gospodarczej /nie tylko gospodarczej, ale nią tylko się tu zajmuję/ muszą być potrzeby ogólnospołeczne, a nie potrzeby urzędników, którzy żyją z obsługi państwa i ludzi, którzy z takiego czy innego tytułu pełnią stanowiska państwowe.

Totalitarny koncept kierowania społeczeństwem przez "państwo", a także konsekwencje rytualnego języka sloganów politycznych, spowodowały że samo pojęcie "gospodarki" zostało wykształcone. Gospodarka nie jest żadną częścią czy fragmentem państwa. Jest to autonomiczny układ aktywności społecznej, który istnieje i istniał zawsze, w każdym społeczeństwie bez względu na stan i nazwę państwa. Gospodarka - to sfera potrzeb, interesów, przedsiębiorczości, wzajemnych świadczeń. Państwo - to sfera reprezentacji interesów, ale także przede wszystkim władzy i przymusu. Są to dwa odrębne systemy, które potrzebują się wzajemnie /politycy i urzędnicy mają ochraniać ład gospodarczy, ale sami przecież nie produkują/, ale istnieją w pewnej mierze autonomicznie. Na przykład ostry kryzys rządowy powoduje upadek gabinetu, nowego nie można skompletować przez pół roku, cały system władzy i reprezentacji jest zablokowany, urzędy państwowe też funkcjonują nie najlepiej, inni się ustawiają do nowych koalicji personalnych. Bywało tak np. we Włoszech. I co? Gospodarka działała niezależnie, ludzie pracują, kupują, inwestują. Kryzysy i przesilenia państwowe mają wpływ, zazwyczaj negatywny, na funkcjonowanie gospodarki, ale nie wyłączają bynajmniej systemu gospodarczego. Bo to jest system autonomiczny, powiązany z państwem, ale ma własny napęd.

No tak, ale u nas... Twierdzą, że daliśmy się za łatwo ogłupić totalitarnym wizjom wszechwładnego państwa, bez którego nie można zrobić ani kroku. Także u nas gospodarka jest układem w pewnej mierze autonomicznym, z własnym napędem, tylko że kulawym. W czasie wszystkich przesilen, kryzysów politycznych i zakrętów także u nas ludzie pracowali, kupowali /inna rzecz co mogli kupić/, inwestowali, przedsiębiorstwa coś tam produkowały. Również w czasie stanu wojennego komisarze wojskowi mogli ograniczyć pole wyboru przedsiębiorstw, ale nie decydowali o podstawowych procesach produkcyjnych: istniał jakiś rynek, jakieś ceny, zawierane były jakieś transakcje.

To tylko ludzie, których interes i pozycja związana jest z aparatem państwowym, cała ta warstwa żyjąca z gospodarki usiłuje nam wmówić, że jak oni przestaną wydawać zarządzenia, odbywać narady i wydawać pozwolenia na działalność gospodarczą - to wszys-

tko się rozleci, stanie, zamrze. Nieprawda. Aparat państwowy może poważnie ograniczyć autonomię systemu gospodarczego, zniekształcać ceny, strukturę produkcji, inwestycji - ale nie decyduje o samym fakcie zachodzenia procesów gospodarczych.

Z perspektywy zaś 6 lat dziwnych meandrowł reformy widać jak słaba w gruncie rzeczy jest faktyczna możliwość oddziaływania tego państwa na sam przebieg i kierunek procesów gospodarczych pomimo tych wszystkich programów operacyjnych, komisarzy, pełnomocników rządowych, priorytetów. Tu nie chodzi o krytykę tej czy innej ekipy, ale o rzecz dużo ważniejszą: zaczynamy sobie uświadamiać coraz bardziej /a oni chyba powoli też/, jak słaba w gruncie rzeczy jest ich władza nad przebiegiem procesów gospodarczych. To tylko ideologia oficjalna stwarzała takie mity. Ani w latach siedemdziesiątych, ani obecnie państwo nigdy naprawdę nie kierowało procesami gospodarczymi. Widać też coraz bardziej, że władza państwa ma charakter głównie negatywny: aparat państwowy może w dużo większym stopniu hamować różne procesy niż je stymulować. Jeśli zaś gwałtownie stymuluje jedne, to zazwyczaj, co nieraz ujawnia się dopiero później, przeskadza innym.

To jest ta nowa optyka, którą powoli zaczynamy sobie uświadamiać. Sama filozofia obecnej reformy opierała się w dużej mierze na pewnych mitach. Byli źli i niekompetentni rządzący, którzy prowadzili złą politykę, trzeba zmienić osoby kierujące systemem funkcjonowania ustaw. Wystarczy pozyskać państwo dla potrzeb reformy - a dalej potrzebna tylko stanowczość, konsekwencja i kontrola społeczna... Teraz widać coraz wyraźniej, że wszyscy stanowczo przecenialiśmy możliwości aparatu państwowego. Złe działania i chore procesy gospodarcze mogą być zastąpione tylko przez inne działania gospodarcze. Klin trzeba wybić klinem.

Dlatego jak najbardziej zasadne jest pytanie: ile tego państwa ma być w gospodarce - opcja, która poprzednio w ogóle nie była publicznie dyskutowana. Sądzę, że nowej fali reform będzie towarzyszył postulat nie tylko odpolitycznienia gospodarki, ale jej odpaństwowienia, jeśli gospodarka ma zaspokajać potrzeby ludzkie, a nie industrialne ambicje rządów systemu. Problem jest tylko, jak dalece, a więc jakie mają być proporcje gospodarki mieszanej, wielosektorowej oraz gdzie ustalić nieprzekraczalne granice uprawnień całego aparatu państwowego w stosunku do procesów gospodarczych.

Należy także odróżnić uprawnienia aparatu państwowego /jako imperium/ do określania ram życia gospodarczego, regulowania aktywności oraz do sprawowania w pewnym zakresie uprawnień władczych w stosunku do wszystkich podmiotów /np. tworzenie ustawowych reguł, określenie wysokości podatków, emisji pieniądza, kursów walut, ceł etc./ od uprawnień państwa jako właściciela /dominium/, a więc płynących z tytułu wykonywania przez aparat

państwowy zarządzania własnością ogólnospołeczną. To ostatnie dotyczy, rzecz jasna, tylko sektora państwowego. Ta sprawa jest dosyć oczywista w gospodarkach rynkowych i znajduje wyraz w podziale prawa na publiczne i prywatne. Państwo, jeśli podejmuje działalność gospodarczą w formie przedsiębiorstwa państwowego, korzysta z takich samych zasad i uprawnień, jak inne podmioty prywatne, a przedsiębiorstwa państwowe działają np. w formie spółek, tyle że z dominującym udziałem państwa. Natomiast u nas te rzeczy się nieśmia i np. ministerstwo nadzorujące powołuje się w swojej ingerencji raz na uprawnienia władcze, a raz na własnościowe /co notabene jest błędem, bo wykonywanie uprawnień państwa jako właściciela przysługuje tylko skarbowi państwa, jako specjalnej osobie prawnej, reprezentowanej przez Ministerstwo Finansów, a nie poszczególnym agendom aparatu państwowego/. W ten sposób organ założycielski ma jakby dwie twarze i każda ingerencja, zwłaszcza przy takim rozumieniu własności państwowej, może być jakos wytłumaczona. Postulaty zaś ograniczenia tej omnipotencji spotykają się z zarzutem, że "przecież nawet w krajach o gospodarce rynkowej państwo ma nieraz poważne uprawnienia do regulacji". Tak, ale głównie w sferze prawa publicznego, a nie prywatnego.

Obecna konstrukcja ustawowa organu założycielskiego, który tworzy i likwiduje przedsiębiorstwo, przyznaje mu mienie, a jednocześnie kontroluje i nadzoruje podmiotowo, nigdy nie stworzy warunków do prawdziwej autonomii. Dlatego należy od niej odejść. W stosunku do przedsiębiorstwa państwowego specjalny organ, reprezentujący własność ogólnospołeczną, powinien reprezentować uprawnienia płynące z własności. Natomiast uprawnienia władcze, przewidziane w ustawach, które państwo sprawuje w stosunku do wszystkich podmiotów gospodarczych /podatki, cła, kontrola gospodarki finansowej, wydawanie koncesji, inspekcja pracy, inspekcje technologiczne, sanitarne etc./ powinny przejść specjalne organy władzy publicznej, które przecież u nas istnieją. Wówczas na ministerstwa działowo-gałęziowe w ogóle nie ma miejsca, a sama konstrukcja "organu założycielskiego" staje się zbędna.

8. Nie możemy zrezygnować z opiekuńczych funkcji państwa - takie było oficjalne założenie. Pozornie służyło ono ludziom pracy. W rzeczywistości stało się świetnym sposobem na hamowanie reformy gospodarczej. Wydaje mi się, że zaczyna nabrzmiewać generalna nieufność do tej opieki.

Wiadomo, jak to było w założeniach oficjalnych: państwo żywi, leczy, zapłaci za wczasy, dotuje, dokłada. Tylko z czego? Bardzo wygodnie było wierzyć w taki socjalizm, który każdemu coś daje i stąd popularność społeczna takich założeń opiekuńczo-egalitarystycznych /przez propagandę odczo brana za akceptację polityczną i legitymizację systemu władzy/. Nigdy z tymi świadczeniami nie było najlepiej, ale doświadczenia ostatnich lat są zbyt bolesne. Przecież gdybyśmy sami nie troszczyli się o lekarstwa dla bliskich nam osób, gdyby nie akcja darów w najgorszym okresie i

pomoc Kościoła, gdybyśmy nie rozwinęli, broniąc się przed nędzą i rażącymi niedoborami, skomplikowanego systemu pomocy społecznej i wzajemnych świadczeń /w miejscu pracy, zamieszkania/... byłoby bardzo ciężko. Za dużo było tych czeków bez pokrycia. Katastrofalne zaniedbania w dziedzinie lekarstw, opieki zdrowotnej, brak łóżek w szpitalach, miejsc w przedszkolu, dzieci dowożone do szkół z nowo wybudowanych dzielnic, brak elementarnych środków higienicznych /papier toaletowy/... takie zaniedbania na taką skalę są nie do pomyślenia nawet w krajach "wilczego kapitalizmu". Jednocześnie głodowe płace w służbie zdrowia, szkolnictwie, które zmuszają pracowników tych służb do dodatkowego zarabiania. Chyba każdy ma jakieś bolesne doświadczenia, o których nie chciałby nawet mówić. Coraz powszechniej wyrażana jest postawa zupełnie nowa: pozwólcie, że sami będziemy decydować, czy chcemy korzystać z tej państwowej opieki zdrowia, szkolnictwa, być przypisanymi do lekarza rejonowego - czy też zorganizujemy to sobie sami. Przecież to nie państwo ma zakładać i organizować prywatne przedszkola, przychodnie, kliniki, a nawet prywatne szkoły. Proszę bardzo, niech nadzoruje, ale niech nie przeszkadza ich powstawaniu. Niech będzie państwowa służba zdrowia, ale i, prywatna. Pozwólmy ludziom decydować.

Tu batalia się dopiero rozegra, bo system pozwalając na konkurencję w tej opiece, straciłby kolejny, propagandowy atut. Wiadomo przecież, jaki jest poziom tych świadczeń. A jak społeczeństwo będzie chciało tworzyć prywatne szkoły i prywatne fundusze emerytalne - co jest przecież niekwestionowanym prawem w tzw. krajach kapitalistycznych - to co wtedy?

Przecież prościej ściągnąć pieniądze do budżetu na składki emerytalne i od przedsiębiorstwa na PFAZ - a następnie nie tłumaczyć się przed nikim z wykorzystania tych środków. Dopiero nas czeka przełamanie monopolu państwa w tych sferach.

x
x x

Wszystkie te wątpliwości są wystarczająco poważne, by w nowy sposób spojrzeć na proces reformy. Kraj potrzebuje reformy, ale dużo poważniejszej niż ta, która jest realizowana przez obecną ekipę rządzącą, ale także głębszej - bądmy szczerzy - niż ta, która w dość prosty sposób przekładała protest robotniczy sierpnia 80 i postulaty wielkiej dyskusji społecznej lat 80/81 na język działań, "które rząd powinien podjąć, żeby zreformować gospodarkę". To nowe spojrzenie dotyczy spraw tak zasadniczych, jak: ograniczenie roli i funkcji państwa w gospodarce, traktowanie działań gospodarczych w granicach prawa jako zasadę wyjściową, prawo naturalne ludzi i ich związków, które każda władza państwowa musi respektować, ekonomiczna a nie taktyczna konieczność gospodarki mieszanej, wielosektorowej, konieczność ekonomicznego ożywienia przedsiębiorstwa państwowego, aby stało się autentycznym podmiotem gospodarczym, a nie kalekim bytem ekonomicznym, wiecznie dotowanym i ochranianym, a także nowa konstrukcja włas-

ności ogólnospołecznej. Zdajemy sobie powoli sprawę, że państwo ma naturalnie ograniczone możliwości wpływania na większą konkurencyjność naszych przedsiębiorstw i naszych wyrobów bez względu na to, czy ma w ręku podatek progresywny, podatek liniowy, PFAZ, czy podatek od ponadnormatywnych wynagrodzeń - czy posługuje się głównie nakazami, parametrami, czy komisarzami. Kiełkuje refleksja, że nie jest możliwe budowanie drugiej Polski przemysłowej /tyle, że bez kantów i szachrajstw/ i jednocześnie odwrócenie zagrożenia ekologicznego. Sprawiedliwy system płac i samorząd w fabrykach wytwarzających stal dla kopalń i węgla dla hut - a nawet wolne związki zawodowe - nie wystarczą do radykalnej przebudowy struktury naszego majątku produkcyjnego, tak aby produkował on mniej dla przemysłu, a więcej dla człowieka. Potrzeby ogólnospołeczne - jeśli nie są eufemizmem, ukrywającym interes klasy rządzącej realizującej industrialne wizje - to przecież potrzeby konkretnych ludzi. Musimy uczynić gospodarkę bardziej humanitarną: nie tylko w tym sensie, aby bardziej ludzkie było otoczenie i warunki pracy, ale by ludzie wyłączeni ze środków produkcji produkowali to co jest im potrzebne. Dlatego - a nie gwoli zadośćuczynienia takiej czy innej opcji ideologicznej - tak ważny jest rynek, jako rejestrator i weryfikator tych potrzeb.

Jeszcze bardziej niepostrzeżenie dokonuje się pewien zasadniczy przełom światopoglądowy: przez lata system oficjalnych wierzeń utrzymywał stereotyp: rynek jest zły i pełen kryzysów - dobre jest państwo i interes ogólnospołeczny. Ponieważ coraz trudniej było przedstawić ten rynek jako z założenia nieefektywny, pozostał ten zarzut moralny: rynek prowadzi do rozwarstwienia dochodów /a ponieważ jest to nie kontrolowane przez państwo, jest to niesprawiedliwe/. Państwo musi ten rynek ograniczać, wypierać w interesie nas wszystkich, w interesie sprawiedliwości społecznej i egalitaryzmu... Ale nasze państwo to nie Paragwaj rządzony przez jezuitów. Nigdy nie było ono synonimem sprawiedliwości społecznej, pozostała więc nadzieja: wyrzucimy niekompetentnych, rozliczymy złodziei, wprowadzimy rzeczywiście społeczną kontrolę - i będzie sprawiedliwie. I chyba teraz, jako społeczeństwo, przechodzimy bardzo ważne przeobrażenie wierzeń etycznych, które implikują nowe opcje ekonomiczne. Ludzie zaczynają rozumieć, że państwowy mechanizm rozdziału dóbr jest z założenia niesprawiedliwy, bo opiera się na arbitralnym, pozakonomicznym ustaleniu kryteriów tego rozdziału. Żadne testowanie kryteriów przydziału mieszkań nie zlikwiduje przecież głodu mieszkaniowego. I jakie kryterium jest tu w ogóle sprawiedliwe - długość czekania w spółdzielni, czekanie w ogóle, wysokość wkładu, liczba dzieci posiadanych, liczba dzieci planowanych, dochód na głowę, praca w ważnej instytucji... Zbyt często też okazywało się, że bardziej etycznie jest kupić po cenie rynkowej nawet od spekulanta, niż wyciągać rękę po asygnatę czy inne pozwolenie kupna, wzmacniające tę dziwną transakcję ekonomiczną

odwiedzczeniami o przynależności związkowej, lojalności politycznej, stanem zdrowia żony czy niezłomnym postanowieniem dalszego postawiania w swojej instytucji przez następne 5 lat.

Żadne rozwiązanie nie gwarantuje sprawiedliwości społecznej samo przez się, powoli jednak zaczyna kształtować się nowe wierzenie ekonomiczne, wiążące poczucie sprawiedliwości z rynkiem, a nie z rozdziałem przez państwo i społeczne komisje /w których obowiązkowo zasiada przedstawiciel "organizacji politycznej"/ lub przez działy socjalne i pracownicze. Tamte transakcje zbyt często upokarzają, a czasem i upodlają. Kupiłem, a nie "załatwiłem" - to zaczyna brzmieć dumnie i wcale nie musi być synonimem postawy nowobogackiej! To rynek daje wolność wyboru pracy, towaru, mieszkania - jeśli tylko na to zapracujesz. Jeśli ciągle jeszcze rozdziela on niektóre dochody niezgodnie z naszym poczuciem moralnym to dlatego, że jest go za mało; tego nie wolno, tanto zabronione, za to cofnięcie koncesji, za tanto osiągnięcie przydziału, kupić wolno, ale tylko w Katowicach, sprzedać wolno, ale tylko w Gdańsku przez Oddział w Elblągu... Porozmawiajcie z rzemieślnikiem, ile dochodu, którego on nie może wykazać, musi przeznaczyć na różne opłaty, świadczenia i prezenty, żeby w ogóle kontynuować działalność. Błona rynkowa ciągle jest jeszcze nieelastyczna, czasem zniekształcona - ale powoli zaczyna tworzyć się w najbardziej chorych miejscach gospodarki, na razie głównie w sektorze prywatnym. Jest to brzydkie urządzenie bo trzeba mieć pieniądze - ale jakże proste i efektywne w obsłudze w porównaniu z państwowym molochem. Okazuje się, że urządzenia gospodarcze mogą być proste i zrozumiałe dla każdego - żeby kupić nie potrzeba dwa dni studiować Monitorów ani składać zamówienia na rok wcześniej, z pięcioma pieczętkami. Na tym tle odważne posunięcia rządu w tworzeniu państwowej reformy parametrycznej centralnie sterowanej przypominają dzielne pieszko-samochoły, z napędem na woły i sterowaniem ręcznym oraz dodatkowym systemem wczesnego ostrzegania. Nie można powiedzieć, że oni nic nie zrobili: oni naprawdę włożyli dużo pracy w budowę tego pojazdu. Tylko, że to nie o to chodzi.

Przeszliśmy jako system gospodarczy, społeczny i ideologiczny bardzo istotną smugę cienia. Gen. Jaruzelski ma rację, że nie ma odwrotu do lat siedemdziesiątych: błona rynkowa już się zawiązała, nie może jeszcze objąć całej rany, ale procesu rykotwórczego nie cofnie ani ta, ani żadna inna ekipa. Bez tego gospodarka się zadusi, a ekipa wyleci z siodła. I ta część społeczeństwa, która widzi konieczność zmian, nie da się wciągnąć do walki z rynkiem w imię "sprawiedliwości społecznej". Co więcej, nawet jego ideowi przeciwnicy korzystają zeń w codziennym życiu. A marksiści zwłaszcza powinni uszanować procesy zachodzące w "bazie".

A państwo? Będzie bardzo potrzebne, wręcz niezbędne, bo okres regeneracji ran gospodarczych jest bardzo trudny. Naszym kapitałem dla przyszłej reformy jest przecież tylko ta bardzo

cienka, delikatna błona, jakże łatwa do uszkodzenia. Czeką nas trudne przejście w system gospodarki mieszanej, konieczne zahamowanie inflacji i zrównoważenie gospodarki i budżetu, ze wszystkimi konsekwencjami dochodowymi, konieczność zwiększenia inwestycji, ale nie w huty, a w produkcję dla ludzi, poważne ruchy na rynku pracy, bo wiele przedsiębiorstw nie powinno dalej istnieć, a te, które staną się motorem napędowym, w większości jeszcze nie powstały, wreszcie jeśli mamy otrzymać niezbędne kredyty, musimy wreszcie zacząć spłacać pożyczki, a nie bawić się w zestawianie miliardowych strat za "sankcje".

Ekologia też kosztuje. Powietrze ani woda nie stają się bardziej czyste przez drukowanie najbardziej odważnych raportów. Uczciwy polityk mógłby obiecać narodowi tylko to, co Churchill społeczeństwu brytyjskiemu w 1940 r.: krew, pot i łzy. Czekają nas wyrzeczenia - jeśli mamy coś zrobić, a nie tkwić w stagnacji. Porozumienie narodowe jest historycznie nieuchronne - bo nie ma innego wyjścia. To nie jest sprawa ideologii. Ten stan jest na dłuższą metę wbrew interesom nas wszystkich: partyjnych, bezpartyjnych, członków PRON-u i członków "S". Nieuchronne jest także, że w dłuższej perspektywie rząd przestanie konstruować dziwne urzędzenia ekonomiczne i raporty o przezwycięzeniu kryzysu i zwróci się twarzą do gospodarki. W końcu oni też mieli swój udział w tym, że przeszliśmy rynkową smugę cienia. Przed nami zaś stoi historyczna szansa, że to właśnie Polska stanie się krajem wprawdzie związanym z obozem socjalistycznym, ale z gospodarką rynkową, ze społeczeństwem młodym, przedsiębiorczym, o wysokich kwalifikacjach, enklawą gospodarczą na styku obozów politycznych, gdzie obie strony mogą robić dobre interesy. Enklawa taka byłaby obu stronom potrzebna, bo rozwiązania, które u nas stają się możliwe, przez długi czas nie będą możliwe w ZSRR. Szansa na taką pozycję rośnie w miarę odprężenia narodowego. Ale nie jesteśmy jedyni, mamy konkurencję: już teraz lepszą pozycję wyjściową, aby stać się taką enklawą, mają Węgrzy, a geopolitycznie korzystniejszą pozycję ma NRD. Jeśli tych wszystkich szans nie wykorzystamy, nie uświadomimy społeczeństwu, że są jednak pewne możliwości, że zbiorowy wysiłek poprzez indywidualną przedsiębiorczość nie jest bezsensowny, przegramy następne kilkadziesiąt lat. Staniemy się w środku Europy skansenem błędy i zacofania, gdzie społeczne komisje rozdzielają skarpetki w fabrykach, warunki życia przeczą ludzkiej godności, na mieszkanie czeka się 20 lat, problemem jest kupno papieru toaletowego, a jedyną szansą poprawieniu bytu - emigracja czy praca za granicą. Staniemy się Bałkanami w środku Europy, gdzie nienormalne warunki wywołają nienormalne reakcje, także polityczne, i - wcześniej czy później - jakieś siły, z Zachodu czy Wschodu, a może z Południa, rzeczywiście podłożą tu lont. Bo brudne sprawy załatwia się nie u siebie, tylko właśnie w takim kraju, jakim może stać się Polska. Trzeba zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić. A wyjściem może być tylko zapoczątkowanie procesu głębokich reform. Reforma ta musi jednak uzyskać nowe horyzonty. Te właśnie horyzonty starałem się tu nakreślić.

x
x x

Wyraża się czasem opinię, dla podkreślenia złego stanu gospodarki i małego postępu reformy, że okres 1981-86 został w gruncie rzeczy zmarnowany. W porównaniu z 1980 r. spadł dochód narodowy, zmalała konsumpcja, pogorszyły się warunki życia, luka technologiczna, wzrosło zagrożenie ekologiczne, katastroficznie spadła jakość polskich towarów etc. I to wszystko prawda! Z drugiej strony szereg osób zaangażowanych w reformę wskazuje na niewątpliwe dokonania: zahamowany został spadek produkcji /"przeszaliśmy spadać ze schodów" - jak to określił w wywiadzie R. Kuczyński/, dokonano olbrzymiej pracy legislacyjnej i zapisano wreszcie w ustawach kompetencje rządu, radykalnie zmieniła się pozycja prawna przedsiębiorstwa państwowego, powstały samorządy, które istnieją już kilka lat, potrafią się bronić, a nawet torpedować różne rządowe propozycje wspólnot - i to też prawda.

Uczestniczyłem w takich dyskusjach wielokrotnie, przeczytałem większość raportów o realizacji reformy, oficjalnych i nieoficjalnych - i uważam obecnie całą tę dyskusję już za bezproduktywną. Po pierwsze jest ona nie do rozstrzygnięcia, bo nie ma żadnego syntetycznego kryterium stanu gospodarki czy realizacji reformy, a często jest to jedynie dozwolona w naszych warunkach zastępcza dyskusja polityczna. Po drugie, to już nie o to wszystko chodzi: podstawowe problemy i wyzwania leżą gdzie indziej. Gdzieś w głębi zachodzą bardzo istotne zmiany, tylko my ich nie dostrzegamy, patrzymy nie tam, gdzie zachodzą rzeczy ważne. A tymczasem przez te 6 lat zostały przełamane trzy istotne bariery zmian:

a/ doszliśmy do kresu możliwości państwowego systemu gospodarczego. Nie chodzi o "system nakazowo-rozdzielczy" /tak naprawdę to w latach siedemdziesiątych nie był to ani system rozdzielczy ani nakazowy/, ale o to, że w kilku istotnych punktach został przełamany państwowy dyktat gospodarczy. Gospodarka państwa doszła już do kresu - i dalej może się tylko cofać, a taki właśnie proces następuje;

b/ zaczyna się zawiązywać błona rynkowa w różnych, na razie izolowanych, segmentach. Proces ten już się nie cofnie. Wszyscy szukają tej błony w państwowym sektorze - a ona zawiązuje się gdzie indziej. Jest ona sojusznikiem gospodarstw domowych;

c/ skończyła się nośność etycznej wiary, że państwo zapewni kiedyś sprawiedliwość w gospodarce przez system nakazów, zakazów i państwowej dystrybucji. Teraz widać wyraźnie, że państwowa sprawiedliwość w gospodarce, i nie tylko, obdarza łaskami lojalnych klientów systemu, ale jest wogóle nieefektywna, gubi dobra, marnotrawi, a fiskus państwowy wali podatkami gdzie popadnie. Skończył się kredyt zaufania w to całe urządzenie i już.

Otóż te trzy istotne bariery mogły zostać przełamane tylko w warunkach skrajnych niedoborów, jakie towarzyszyły procesom gos-

podarczym i życiu ludzi w ostatnich latach. Dzięki temu łuski spadły nam z oczu. I to jest pozytywny dorobek tych sześciu lat niedoborów i życia w anormalnych warunkach. Jesteśmy mądrzejsi o 6 lat, ale doświadczeni o dużo więcej. Zetknęliśmy się bardzo brutalnie z prawdą o systemie, w jakim żyjemy i pewne sprawy mamy już poza sobą. Po takich doświadczeniach nie prowadzi się już politycznych dyskusji światopoglądowych, każdy wie swoje. Porozumienie jakie może zająć w Polsce jest już tylko porozumieniem praktycznym co do działań, a nie co do poglądów. Tamto pękło i już nigdy się nie sklei.

Wydaje się jednak, że w tym wszystkim intelektualnie, w ocenie procesów gospodarczych, tkwimy w świetle przed kilku laty. A świat ten odchodzi bezpowrotnie w przeszłość.

Dlatego trzeba zrewidować te wszystkie mity i symbole, które nam tylko przeszkadzają zrozumieć i nawet nazwać czas nadchodzących nieuchronnie zmian. Staraniem się wykazać, ile jeszcze jest nieporozumień. Musimy być gotowi do stworzenia programu, który etycznie będzie kontynuacją postawy stoczniovców z Gdańska, Szczecina, górników z Jastrzębia - ale intelektualnie pójdzie dalej.

Chciałbym zakończyć osobistą refleksją. We wrześniu 1981 r. zostałem powołany przez "Sieć" na eksperta, co było wówczas bardzo zaszczytnym wyróżnieniem. Byłem także wyznaczony jako członek wspomagający reprezentację NSZZ "Solidarność" w dyskusjach z rządem nad reformą gospodarczą, do czego zresztą nie doszło. 14 grudnia schowałem dokumenty "Sieci", projekt ustawy, teraz już zupełnie nieaktualne i poszedłem głosić słowa państwowej reformy gospodarczej, bo tak jak wielu innych uważałem, że i o to warto walczyć. Teraz jednak uważam za swój obowiązek rozliczyć się przed władzami związku i kolegami z "Sieci" z tego, co zrobiłem przez ten okres. To są moje przemyślenia. Skończmy z krytykowaniem reformy rządu i przystąpmy do stworzenia własnego projektu programu długofalowych przemian. Nikt za nas tego nie zrobi.

TOMASZ GRUSZECKI: ekonomista, prawnik, doktor nauk zarządzania, działa w sekcji samorządów pracowniczych przy Klubie Inteligencji Katolickiej. W 1981 r. był ekspertem Sieci Wiodących Zakładów NSZZ "Solidarność" w sprawach reformy gospodarczej. Powyższy tekst publikujemy bez jego zgody i wiedzy.

TOMASZ GRUSZECKI: ekonomista, prawnik, doktor nauk zarządzania, działa w sekcji samorządów pracowniczych przy Klubie Inteligencji Katolickiej. W 1981 r. był ekspertem Sieci Wiodących Zakładów NSZZ "Solidarność" w sprawach reformy gospodarczej. Powyższy tekst publikujemy bez jego zgody i wiedzy.

SPOŁECZEŃSTWO JUGOSŁOWIAŃSKIE DZIŚ
memoriał członków Serbskiej Akademii Nauk

Zastój społeczny, trudności gospodarcze, narastające napięcia socjalne oraz otwarte konflikty międzynarodowe wywołują w naszym kraju głęboką troskę. Ciężki kryzys ogarnął nie tylko system polityczny i ekonomiczny, ale także cały porządek publiczny państwa. Do codziennych zjawisk należą nierówność i nieodpowiedzialność w pracy, korupcja i nepotyzm, brak bezpieczeństwa prawnego, biurokratyczna samowola, nieposzanowanie prawa, rosnąca nieufność między ludźmi, coraz bardziej bezwzględny egoizm indywidualny i grupowy. Rozpad wartości moralnych i autorytetu głównych instytucji społecznych, niewiara w zdolności tych, którzy podejmują decyzje, idą w parze z apatią i rozgoryczeniem narodu, z wyobcowaniem obywatela od wszystkich reprezentantów i symboli porządku publicznego. Obiektywny rzut oka na rzeczywistość jugosłowiańską pozwala stwierdzić, że obecny kryzys skończyć się może wstrząsem społecznym o nieprzewidywalnych skutkach, nie wykluczając nawet tak katastrofalnego wydarzenia, jak rozpad jugosłowiańskiej wspólnoty państwowej. W obliczu tego co się dzieje i co się może stać nikt nie ma prawa czekać z zamkniętymi oczami. W szczególności nie ma tego prawa najstarsza instytucja naukowa i kulturalna tego narodu.

Serbska Akademia Nauk i Sztuk Pięknych uważa za swój obowiązek, by w tym dziejowym momencie ogłosić swój pogląd na stan społeczeństwa w przekonaniu, że przyczyni się tym do wyjścia z obecnych trudności. Natura niniejszego dokumentu jednak nie pozwala oddalać się od kluczowych problemów rzeczywistości jugosłowiańskiej. Niestety, do problemów tych trzeba zaliczyć nieustalone w świetle najnowszych wypadków, niezwykle ciężkie położenie narodu serbskiego.

Kryzys gospodarki i społeczeństwa jugosłowiańskiego

1. Kryzys gospodarczy trwa już pięć lat i jego końca nie widać. Przy stopie wzrostu produkcji wynoszącej w latach 1981-1985 0,5%, Jugosławia znalazła się w rządzie najgorzej gospodarujących państw na świecie. Pozostałe wskaźniki rozwoju nie są także krze-

piące. Przeszło milionowe bezrobocie odbiera młodemu pokoleniu perspektywę rozwiązania problemów bytowych w dającym się przewidzieć czasie. Wzrost zatrudnienia jest zależny od czynników społecznych. Jednakże w sytuacji zastój produkcyjnego przyrost zatrudnienia obniża wydajność pracy. Dochód narodowy brutto oraz realne zarobki pracowników zmalały o jedną trzecią. Jedynym pozytywnym skutkiem dążeń do przewyciężenia kryzysu jest nadwyżka w budżecie płatniczym, uzyskana dzięki polityce realnego kursu pieniądza oraz ograniczeniu wszystkich rodzajów konsumpcji. Ale wypłacalność kraju wobec zagranicy trzeba oceniać przez pryzmat wysokiego zadłużenia, utraty zdolności do prowadzenia samodzielnej polityki ekonomicznej, a w pewnym stopniu także rozwojowej oraz w kontekście coraz gorzej działającej gospodarki, która zupełnie nie potrafi wyostać się na poziom skutecznego funkcjonowania. Ta oto sytuacja stała się siłą napędową inflacji, która niszczy wszystkie kryteria i motywacje ekonomiczne, ukazując społeczeństwu jak dalece nie potrafi skanalizować wykołejonych nurtów gospodarczych.

Im więcej czasu upływa, tym wyraźniej widać, że wyjście z kryzysu nie będzie bez gruntownych przemian w ustroju gospodarczym i politycznym. Jest szczególnie niepokojące, że oficjalne czynniki wykręcają sferę od uznania prawdziwych przyczyn kryzysu gospodarczego, bez czego niepodobna przedsięwziąć skutecznych kroków uzdrawiających gospodarkę. Takie uniki są zupełnie niezrozumiałe wobec istnienia naukowych analiz, w których dokładnie ustalono rzeczywiste przyczyny kryzysu. Wbrew rozmaitym próbom sprowadzenia przyczyn kryzysu do nieadekwatnych posunięć polityki ekonomicznej lat 1976-1980, analizy te wskazują, że początek załamania nastąpił jeszcze w latach sześćdziesiątych. Wówczas to rozwój gospodarczy zaczyna słabnąć aż do całkowitego zastopowania w roku 1980. Reforma gospodarcza z połowy lat sześćdziesiątych miała dobre intencje: odbiurokratyzowanie gospodarki; rozbudowanie rynku, usunięcie rozbieżności cenowych, a także zintegrowanie gospodarki jugosłowiańskiej z gospodarką światową. Niestety, w rezultacie ograniczono tylko dysproporcje cenowe, nie usuwając ich zupełnie, natomiast pozostałych celów nie zrealizowano nawet częściowo.

Co gorsza, metodą lat poprzednich, nadal uciekano się do fatalnych improwizacji w sferze strategii rozwojowej i nadal podejmowano chyłone rozwiązania gospodarcze, tyle, że w jeszcze ostrzejszych formach.

Rozwój gospodarczy zszedł na manowce już w latach sześćdziesiątych. W 1964 zrezygnowano mianowicie z Planu Pięcioletniego 1961-1965, który stawiał sobie za główny cel usunięcie wąskich gardeł - wzrost produkcji surowców i energii. Dobrze wiadomo, że te wąskie gardła nie zostały usunięte do dzisiaj. Na domiar złego w strategii rozwojowej popełniono dwa wielkie błędy. Po pierwsze zignorowano podstawowy wymóg optymalnego rozwoju gospodarczego, który nakazuje wykorzystanie czynników wytwórczych proporcjonalnie do ich dostępności. Zdecydowawszy się na większe zużycie kapitału społecznego, którego mamy w kraju najmniej, pozostawiono na uboczu siłę żywą, czyli najobficiej występujący czynnik produkcji. Do międzynarodowego podziału pracy Jugosławia włączyła

się nie z tym atutem, który dawał jej, biorąc porównawczo, wysoką pozycję. Na skutek tego rozwój gospodarczy musiał przebiegać poniżej optymalnych możliwości. Równocześnie stworzyło się pole dla gwałtownie wzrastającego bezrobocia. Drugim błędem strategicznym było założenie, że wzrost realnych zarobków bez jakichkolwiek innych kroków gospodarczych będzie silnie oddziaływał na wydajność pracy i produkcję, jak to ma miejsce w krajach rozwiniętych. Jednak koncepcja ta, zastosowana w warunkach jugosłowiańskich, szybko okazała się błędna i przyniosła rozliczne złe skutki.

Bardzo wiele błędów popełniono przy konstruowaniu systemu gospodarczego. Przede wszystkim całkowicie odstąpiono od planowania. Planu na drugą połowę lat sześćdziesiątych nie uchwalono wcale, późniejsze zaś plany pięcioletnie, nie poparte koniecznymi środkami i decyzjami, pozostały deklaracją, która nikogo nie zobowiązywała. Z chwilą likwidacji planowania wygasły koordynacyjne funkcje federacji, skrepowanie zaś rynku dawało inicjatywy samej gospodarce. Innymi słowy, gospodarka nie była sterowana, ale też nie została poddana prawidłom samoregulacji. Próby zastąpienia planu i rynku przez umowy i porozumienia się podmiotów gospodarczych zawiodły w całej pełni. System, w którym wszyscy ze wszystkimi mieliby się porozumiewać w każdej sprawie nie miał żadnych szans na dobre funkcjonowanie. Dlatego trzeba było ponad zwykłą skuteczność apelować do "czynników subiektywnych", co oznaczało, że gospodarka była regulowana metodą kampanii polityczno-propagandowych.

Decentralizacja, pomyślana pierwotnie jako wyzwolenie gospodarki spod presji biurokratycznych, przerodziła się w dezintegrację terytorium kraju i gałęzi gospodarki. Stworzono osiem obszarów gospodarczych opartych ideologicznie na kluczu narodowym. Tym samym rozbity został jednolity rynek jugosłowiański. Republiki i okręgi autonomiczne stawiały się coraz bardziej samowystarczalne, a ich gospodarki zamykały się na resztę kraju. Na tę "republikańską" gospodarkę nałożyła się atomizacja już istniejących przedsiębiorstw rozparcelowanych na podstawowe organizacje pracy zespolonej /wydziały prod. - przyp. red./. Było to posunięcie zgoła niespodziewane. Obdarzone autonomią przedsiębiorstwa marzyły o integracji, chcąc wykorzystać zalety ekonomiki wielkotowarowej i zamiast tego spotkał je cios w postaci usamodzielnienia podstawowych organizacji pracy zespolonej. Tak oto podwójna dezintegracja sprowadziła nas na tory sprzeczne z logiką historii. Trudno o gorszy los dla jakiegokolwiek gospodarki.

Błędy w strategii rozwojowej, o ile w ogóle mówić tu można o jakiejś strategii, a także liczne niedomagania systemu gospodarczego, odbiły się nie tylko na spadku stopy wzrostu produkcji i zatrudnienia, ale i na wielu innych wskaźnikach, od których zależał przecież sukces reformy gospodarczej. Stopa wzrostu indywidualnej wydajności pracy w latach 1966-1979, kiedy to próbowano intensyfikować rozwój gospodarczy, była mniejsza aniżeli w okresie ekstensywnego rozwoju /1953-1965/. Motywacja robotników do popra-

wy wydajności pracy nie wzrosła mimo nagłego skoku realnych zarobków. Taka tendencja, będąca dla autorów polityki gospodarczej niespodzianką dowodzi, że wzrost spożycia indywidualnego nie wystarczy do uruchomienia korzystnych trendów rozwojowych; zarazem jednak wydobywa na jaw wszystkie wady oficjalnie usankcjonowanej "gospodarki umownej", wolnej od ekonomicznego przymusu pracy.

Produktywność kapitału społecznego przeżywała jeszcze cięższe koleje. Po roku 1965 zaczęła spadać gwałtownie efektywność inwestycji. Na skutek wadliwej konstrukcji systemu gospodarczego przedsiębiorstwa oraz wspólnoty społeczno-politycznej (gminy i republiki - przyp. red.) otrzymywały mylne sygnały w sprawie inwestycji i innych decyzji mikroekonomicznych. Autarkiczne gospodarki republikańskie i okregowe ignorowały optymalny kształt gospodarki ogólnokrajowej, a także niebezpieczeństwo tworzenia niepotrzebnych mocy produkcyjnych. Rozrzucone i bez większego namysłu sięgano po kredyty inwestycyjne, zżerane aresztą w większości przez inflację. Ustawowa konieczność finansowania spożycia zbiorowego i potrzeb społecznych ze środków lokalnych gmin i republik powodowała, że bez zastanowienia podejmowano nowe inwestycje. Po części z braku informacji, po części zaś dlatego, że zrezygnowano z planowania podstawowej struktury inwestycji, powstały zbędne moce produkcyjne. Akumulacja kapitału społecznego zatamowana i przywiązana do poszczególnych gałęzi gospodarki oraz obszarów otworzyła szeroki front zapoczątkowanych inwestycji o długim cyklu budowy lub nie mających widoków na dokończenie. W warunkach podziału funduszu akumulacji społecznej między karzełkowate banki lokalne inwestorzy starali się osiągnąć jak najwyższy dochód i zatrudnienie. Prowadziło to do budowy zbędnych mocy produkcyjnych w przemyśle surowcowym i energetyce. Pochopnie akceptowane projekty stawały się przyczyną kolosalnych błędów inwestycyjnych. Sankcje ekonomiczne i społeczne za złą alokację środków nie istniały; politycy kryli się w cieniu, choć niejednokrotnie to oni decydowali o inwestycjach. Wszystkie wymienione tu czynniki niedostatecznej efektywności inwestycji mają swe źródło w systemie gospodarki. Można więc powiedzieć, że podstawową przyczyną kryzysu gospodarki jugosłowiańskiej stały się wadliwe koncepcje rozwoju gospodarczego oraz błędy systemowe, zmaterializowane jako spadek ogólnej efektywności gospodarowania /wydajności pracy i efektywności kapitału branych łącznie/.

Odpowiedzialność za kryzys ponosi również polityka ekonomiczna lat siedemdziesiątych, która nie potrafiła zaadaptować się do zmian następujących w świecie. Żeby zneutralizować ogólny spadek wydajności oraz pogorszenie się warunków wymiany handlowej na skutek skoku cen ropy naftowej, trzeba było wprowadzić inny podział dochodu brutto i zastopować inflację. Brak społecznego mechanizmu, który służyłby uzgodnieniu relacji między poszczególnymi rodzajami spożycia był brzemienny w skutkach, co uwidoczniło się choćby w fakcie, że nawet na spadek eksportu nie zareagowano zwykłą w takich razach polityką realnego kursu dinara ani żadnymi innymi posunięciami. Skutkiem tych wszystkich zaniedbań kraj stał

się niewypłacalny w stosunkach handlowych z zagranicą, co zmusiło czynniki kierujące polityką gospodarczą do zastosowania spóźniejszych restrykcji we wszystkich sferach spożycia. Mogło to zapobiec pogłębianiu się kryzysu, ale nie jego wybuchowi.

Przyczyny niepowodzeń gospodarczych będą jednak dalej niejasne, jeżeli pominiemy wpływ filozofii ekonomicznej stojącej u podstaw ustroju gospodarczego. Ignorowanie praw i konieczności ekonomicznych, odwoływanie się raczej do ludzkiej świadomości niż do interesu jako motywu postępowania w sferze ekonomiki, uznanie, że jedynym źródłem dochodu jest praca żywa, nieposzanowanie kosztów i innych kategorii ekonomicznych w całej skali ich realnego wyrazu - oto składniki oficjalnie przyjętej filozofii ekonomicznej i opartych na niej rozwiązań instytucjonalnych. Skutki zaś praktyczne owej filozofii były tym dotkliwsze, że cieszyła się ona poparciem ideologicznym nswet wtedy, gdy w sposób jasrawy łamała prawałda rozumu ekonomicznego. Tym między innymi należało tłumaczyć tolerancję wobec wypaczonych ralałci ekonomicznych, patologii gospodarczej i marnotrawstwa środków społecznych. Trwa to już za długo, by nie porostawić śladów w sposobie myślenia i postępowania ludzi odpowiedzialnych za gospodarke. Olbrzymie straty gospodarcze dowodzą, że nawet po czterdziestu latach zasada rentowności wciąż nie obowiązuje nikogo, a za słu gospodarowanie nie grożą sankcje ekonomiczne. Subwencjonowanie gospodarki za pośrednictwem kredytów, przerzucanie strat na barki całego społeczeństwa, niska stopa amortyzacji, ustęplwość wobec złej jakości produkcji, wieloletnie utrzymywanie stopy wzrostu zarobków realnych powyżej stopy wydajności pracy - wszystko to stwarza niebwywale dogodne warunki gospodarowania, prowadząc jednocześnie do pasywnictwa na wielką skalę w gospodarce i poza nią. Warunki takie mogły się utrzymywać tyle czasu kosztem zadłużenia, które spłacać będą nie tylko dzisiejsze, ale i przyszłe pokolenia. Wynagrodzenie zgodne z wynikami pracy nie mogło być wprowadzone do gospodarki już to z powodu nie rozwiązaneo problemu podziału pierwotnego, już to dlatego, że wiele przedsiębiorstw korzysta z renty od środków społecznych. Motywacja robotników do zwiększania wydajności jest słaba z powodu dysproporcji społecznych nie opartych na pracy. Pobłażliwość dla nieróbstwa oraz inne formy demagogii socjalnej to zbyt duża cena za spokój społeczny i utrzymanie materialnych przywilejów warstw rządzących. Biorąc to wszystko pod uwagę trudno się dziwić, że postulat zaostrzenia ulgowych warunków gospodarowania odczytywany jest jako zamach na kryjeś niezbywale prawa, jak tego dowodzi opór wobec wprowadzenie ekonomicznie dodatniej stopy procentowej oraz priorytet nadawany wypłacie uposażeń. Istotny powód oporu przed zaostrzeniem warunków działalności tkwi w wielkich sumach odprowadzanych przez gospodarke na opłacenie gigantycznej administracji; sumach, które stanowią ciężar nie do utrzymania.

Przesycony nieracjonalnością klimat ekonomiczny nie pozostaje bez wpływu na postępowanie obywateli, którzy do wybuchu kryzysu cieszyli się szybkim wzrostem stopy życiowej. Stały wzrost spoży-

cia indywidualnego z łatwo dostrzegalnymi elementami rozrzutności przetrwał w świadomości obywateli jako coś, co im się słusznie należy. Spadek realnych dochodów indywidualnych, w czym należy upatrywać ich przymusowe dostosowanie się do rzeczywistego poziomu wydajności pracy, odbierany jest jako nie usprawiedliwiony gwałt, nie zaś jako obiektywna konieczność. Inaczej jednak być nie może, skoro od lat kraj wydawał więcej, niż wytwarzał. Zaciągając kredyty konsumpcyjne i inwestycyjne, kupując importowane towary po zaniżonych cenach, korzystając ze społecznych mieszkań i niskich czynszów, znaczna część obywateli otrzymywała społeczną subwencję. Nieracjonalność i wypaczone relacje ekonomiczne trwają od dawna i widać je na każdym kroku. Dlatego w opinii ludzkiej są zjawiskiem normalnym. W takich warunkach każdy, kierując się swym wąskim interesem, poszukiwał własnego wzorca zachowań ekonomicznych. Dla pewnych grup wzorec ten mógł być korzystny, ale dla społeczeństwa i gospodarki był z reguły zabójczy. Pojawił się więc trudny problem, jak przywrócić układ, w którym byt człowieka oraz jego status społeczny i ekonomiczny będą oparte na pracy.

2. Odpowiedzialność za przyszłe losy Jugosławii nakazywała by - skoro już doszło do kryzysu na skalę ogólnospołeczną - ustalić jego rzeczywiste rozmiary i prawdziwe przyczyny i niezwłocznie poszukać sposobów wyjścia ze stanu recesji i niepewności. Tak jednak nie postąpiono. Musiały minąć trzy lata, by w dokumentach oficjalnych pojawiły się słowa: kryzys gospodarczy. Był to efekt stopniowego i niechętnego godzenia się z sytuacją. Przez pierwsze dwa lata kryzysu mówiono o "małych", "krótkotrwałych", "chwilowych" trudnościach, co najwyżej o "kłopotach wzrostu". Oceny te trzeba rozpatrywać łącznie z twierdzeniami, jakoby system gospodarczy nie wymagał istotniejszych zmian, lecz tylko konsekwentnej realizacji. Gdy też tych dłużej nie dało się już utrzymać, pojawił się pogląd, że wprawdzie kryzys jugosłowiański przybrał rozmiary większe, niż wydawało się na początku, ale za to charakter jego jest ściśle ekonomiczny, a przyczyny tkwią na zewnątrz oraz w nieadekwatnej polityce gospodarczej po roku 1976. Przerzucając całą winę na politykę ekonomiczną, podjęto próbę niedopuszczenia do krytycznej analizy systemu gospodarczego, a tym samym odciążenia czynnika politycznego od podejrzeń o wywołanie kryzysu. Ponieważ te usiłowania również zawiodły, poczyniono ustępstwo przechodząc wreszcie do analizy systemu politycznego. Niestety, analiza ta nie tylko ominęła węzłowe kwestie ustroju politycznego, ale w swej części ekonomicznej stoi w sprzeczności z założeniami "Programu stabilizacji" /rządowy program uzdrowienia gospodarki uznany przez SKJ - przyp. red./.

Uznawanie kryzysu etapami i ponowne zakwestionowanie jego istnienia, na co zmarnowano tyle cennego czasu, stanowi wyraz niezdecydowania i kunktatorstwa oficjalnej polityki oraz dowód, że nie umyślnie ona przeprowadzić zmian wymaganych przez obecne warunki. Odkładanie prawdziwej diagnozy i zaniechanie kroków, które podjęte na czas mogłyby zapobiec kryzysowi, poderwało wiarę w mądrość, odwagę polityczną oraz szczerą intencję ludzi sprawujących funk-

cje publiczne, a także w ich gotowość zerwania z iluzjami, które doprowadziły kraj na krawędź przepaści. Unikanie spojrzenia prawdzie w oczy i niechęć do jakiegokolwiek zmiany widać również w tym, że dopiero pod presją Międzynarodowego Funduszu Walutowego podjęto pewne kroki w sferze gospodarki. Kroki te należało uczynić dużo wcześniej i z własnej inicjatywy, odbyłoby się to wtedy z mniejszym wstrząsem, ale za to z większym skutkiem. Nic jednak równie mocno nie świadczy o niechęci do skutecznego działania, jak to, że rząd nie realizuje własnego "Programu stabilizacji". Okazało się, że rację mieli ci, którzy utrzymywali, że dokument ów uchwalono tylko dlatego, że był zbyt ogólnikowy, aby kogokolwiek konkretnie zobowiązywać. Dlatego przewidywano, że jego realizacja napotka na przeszkody nie do przebycia ze strony republik, okręgów autonomicznych oraz ugrupowań gospodarczych, z których interesami "Program" koliduje. W miarę jak przewidywania te stają się faktem, rodzi się wątpliwość, czy "Program stabilizacji" był rzeczywiście pomyślany jako podstawa prawna służąca uzdrowieniu gospodarki, czy też rola, jaką mu wyznaczono była polityczno-propagandowa - czy był obliczony na wywołanie w opinii publicznej wrażenia, że władze poważnie szukają wyjścia z kryzysu, podczas gdy naprawdę starano się nie dopuścić do niezbędnych zmian. "Program stabilizacji" odzwierciedlający realistyczne podejście do gospodarki dorna? największego ciosu ze strony autorów opracowania pt. "Krytyczna analiza funkcjonowania systemu politycznego, w którym zrehabilitowano porzuconą ongiś ideologię "ekonomiki umownej", ponoszącą główną odpowiedzialność za klęskę gospodarki jugosłowiańskiej". Jugosławia doczekała się więc oficjalnego wydania dwóch dokumentów prezentujących diametralnie różne koncepcje ekonomiczne. Być może jest to skuteczny sposób na utrzymanie stanu obecnego, ale jako recepta na wyjście z kryzysu nie nadaje się zupełnie.

Trudności gospodarcze oraz opieszale reakcje na kryzys próbują się niekiedy usprawiedliwiać ograniczonymi możliwościami nauk ekonomicznych oraz niezgodą ekonomistów co do najważniejszych kwestii. Rozbieżności w poglądach między ekonomistami istnieją i będą istnieć wszędzie i zawsze, jest jednak sprawą rządu zdecydować, który z tych poglądów zasługuje na największe zaufanie. Za taki wybór ponosi odpowiedzialność. Ale problem polega na tym, że od nauk ekonomicznych nikt właściwie nie żądał opinii sensu stricto. Opinie ekonomistów były do przyjęcia w takiej mierze, w jakiej służyły racjonalizacji stanowiska oficjalnego. Dlatego odpowiedzialne osobistości nie przywiązywały należytej wagi do ostrzeżeń i propozycji wysuwanych zawczasu i z własnej inicjatywy przez przedstawicieli nauk ekonomicznych. Systematyczne lekceważenie nauki w całym okresie powojennym trudno jest zrozumieć, jeszcze trudniej zaś wytłumaczyć to zjawisko w społeczeństwie socjalistycznym, które pryncypialnie uznało naukę za fundament swego rozwoju. Ignorowanie dorobku nauki, widoczne zwłaszcza w ciągu ostatnich dwudziestu lat, należy potraktować jako ogniwo w łańcuchu posunięć podporządkowujących rozwój gospodarczy i prawa ekonomii interesom policentrycznego monopolu władzy sprawowanego przez kierownicze koła w republikach i okręgach autonomicznych. Zach-

wanie i umocnienie tego monopolu jest niedeklarowanym, ale absolutnie priorytetowym celem. Cel ów wypływa z symbiozy nacjonalizmu, separatyzmu oraz żądzy władzy, realizowany jest zaś przez czynnik polityczny /to znaczy przez ZKW - przyp. red./, który opierając się na państwowości republik stara się utrwalić swą władzę, być pośrednikiem i arbitrem w podporządkowanej mu gospodarce i społeczeństwie.

Ten cel stał się jasny dla szerszej opinii publicznej dopiero niedawno, kiedy gospodarka kraju i społeczeństwo jugosłowiańskie zaczęły podlegać złowrogiej dezintegracji, która zdominowała wszystkie inne tendencje. Groźbą ewolucji systemu społecznego w kierunku policentryzmu dostrzegali już w 1950 r. Boris Kidrič /ówczesny wicepremier i jeden z autorów jugosłowiańskiej koncepcji samorządu - przyp. red./. Postulował on wtedy jako środek zaradczy powołanie rad robotniczych na szczeblu ogólnojugosłowiańskim dla każdej gałęzi gospodarki z osobna. Sugestie te nie zostały, niestety, uwzględnione. Ale pozostała przestroga, że jeśli rady takie nie powstaną, doprowadzi to do "kilku kapitalizmów państwowych, nastawionych partykularnie wobec całości i występujących przed kolektywami robotniczymi z pozycji biurokratycznego centralizmu". Mamy dziś w Jögosławii stan, którego tak bardzo obawiał się Kidrič.

Stan taki jest następstwem ewolucji trwającej już blisko trzy dziesiątki lat. W latach pięćdziesiątych i pierwszej połowie sześćdziesiątych wydawało się, że demokratyzacja, zastąpienie organów państwowych samorządowymi i deprofesjonalizacja polityki zyskały pełną aprobatę społeczną. Widoki na dalszy rozwój w tym kierunku były tym większe, że przy zrównoważonej strukturze inwestycji i lepszym stosunku między inicjatywą a koordynacją gospodarka miała przekonujące wyniki tak pod względem wzrostu produkcji i zatrudnienia, jak też jakości gospodarowania i wzrostu eksportu. Szybko zwiększała się wydajność pracy, notowano dużą skuteczność inwestycji i niemalże równowagę w bilansie gospodarczym z zagranicą. Wyglądało to tak, jak gdyby nie było istotnych przeszkód w budowie systemu politycznego i ekonomicznego opartego na podstawach, które dały tak bardzo przekonujące rezultaty. Ale również w tym okresie pojawiały się wyraźne zapowiedzi separatyzmu i nacjonalizmu - w postaci hasła "każdemu, co mu się należy", "rozłączmy się, żeby się zjednoczyć na nowo" - oraz uporczywej kampanii przeciwko przecenianemu i wydumanemu unitaryzmowi.

Niepomyślny zwrot sytuacji nastąpił w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy to - nieoczekiwanie - zapowiedzi owe stały się panującymi tendencjami, które powstrzymały proces postępowych przemian politycznych. Odżyły stosunki prawie już przeczynione. Zamiast - zgodnie z oczekiwaniami - osłabnąć, rola władzy i państwa na szczeblu republik, okręgów autonomicznych i gmin uległa wzmocnieniu. Następstwem tego było lekceważenie racjonalności i skuteczności gospodarowania jako imperatywu współczesnego, cywilizowanego społeczeństwa. Wprawdzie przed reformą z lat sześćdziesiątych polityka również dominowała nad ekonomią, ale rozwój gos-

podarczy stanowić wówczas najważniejsze zadanie polityczne. Kiedy zaś polityka stała się celem sama dla siebie, punkt ciężkości w gospodarce przerzucono z rozwoju na system, z wytwarzania dochodu na jego podział, z produkcji na spożycie. Wszystko to wskazuje, jak daleko posunięto się w zaniedbywaniu rozwoju gospodarczego i ekonomii jako nauki, w odrzucaniu doświadczeń rozwiniętych społeczeństw. Takie stanowisko znalazło najpełniejszy wyraz w tezie, że wymogi systemu samorządowego nie dają się pogodzić ze skutecznością metod gospodarczych.

Nieudana próba reintegracji kolejnictwa i innych ważnych systemów stanowi jeden z mocniejszych dowodów na to, że nawet najbardziej oczywiste prawidłą racjonalności ekonomicznej przekreślano bez większego wahania, jeśli miałyby one zawęzić wpływy kierownictwa politycznego na szczeblu republik i okręgów autonomicznych. Świadczy to także o sile woluntaryzmu politycznego, który obalał na swej drodze wszelkie przeszkody. Poważną przeszkodę mógł z tego punktu widzenia stanowić plan, który - raz uchwalony - nie dopuszcza samowoli nawet tego, kto go uchwalił, a także rynek rozumiany jako samodzielność podmiotów gospodarczych w podejmowaniu decyzji. Właśnie jako przeszkodę na drodze woluntaryzmu plan i rynek neutralizowano, by stworzyć pole działania dla ekonomii, która nie opiera się na prawach, ani na koniecznościach gospodarczych, ale sądzi, że wszystkie stosunki można układać dowolnie. W naszych warunkach podstawowym zadaniem systemu gospodarczego nie jest podtrzymywanie rozwoju gospodarczego i liczenie się z rozumem ekonomicznym, ale wzmacnianie czynnika politycznego. Okazało się, że woluntaryzm polityczny nie cofa się nawet przed prawem: jeżeli prawo staje mu na drodze, on go po prostu nie przestrzega. Woluntaryzm jest nieszczęsnym połączeniem niewiedzy i nieodpowiedzialności i cechy te hojną ręką przenosi na gospodarkę, uzależniając ją i podporządkowując. Dominacji polityki nad ekonomią nikomu już nie potrzeba udowadniać. Mówią o tym otwarci funkcjonariusze polityczni, jakby to nie oni byli głównymi sprawcami owej sytuacji.

System samorządowy nie okiełznał woluntaryzmu politycznego. Powód jest prosty: samorząd został narzucony z woli przywódców politycznych, którzy z łatwością mogą zwiększać lub zmniejszać zasięg jego wpływów, a także kontrolować go od wewnątrz. Teza, że samorząd najpełniej potwierdza się w podstawowych organizacjach pracy zespolonej, jest w rzeczywistości tylko wymówką stosowaną po to, by nie dopuścić go do tego istotnego /makroekonomicznego/ obszaru działania, w którym podejmuje się decyzje społeczne o zasadniczym znaczeniu. Ten obszar działania czynniki polityczne zazdrośnie zachowują dla siebie. Samorząd zepchnięto na boczny tor w latach sześćdziesiątych - i to było początkiem wielu naszych nieszczęść. W rzeczywistości nie istnieje on na poziomie całego społeczeństwa, nigdy nie został rozwinięty jako całościowy system demokratyczny, ani też ze stanu takiego nie wyciągnięto wniosków. Dlatego samorząd stanowi upiększającą fasadę, a nie podstawę spo-

leczeństwa. System jest w całości niespójny. Nie ma w nim prawdziwego planu ani rynku, prawdziwego państwa ani samorządu.

3. Dezintegracyjne rozbitcie gospodarki jugosłowiańskiej na różne gałęzie i terytoria jako tendencja sprzeczna z rozwojem historycznym wynika bezpośrednio z innej, szerszej i ważniejszej antyhistorycznej tendencji - zamieniania federacji, stworzonej decyzją Drugiej Sesji AVNOJ /Antyfaszystowska Rada Wyzwolenia Narodowego Jugosławii - przyp. red./ i w pierwszych dziesięcioleciach powojennych w swoistą konfederację, którą zinstytucjonalizowała ostatnia Konstytucja z 1974 roku. Historia zna wiele przykładów przeobrażenia się konfederacji w federację jako naturalnego skutku dostrzeżenia słabości konfederacji, nie zna natomiast przykładu przeobrażenia w odwrotnym kierunku. Zamiana państwa związkowego w związek państw jest nie do przyjęcia, tym bardziej że po względnie częstych zmianach, jakie następowały w okresie powojennym, Jugosławia ma obecnie tzw. "sztywną" konstytucję którą w praktyce trudno zmienić. Jedenaście lat to aż za wiele, by dostrzec olbrzymie trudności, które z reguły były następstwem konfederalizmu w stosunkach społecznych i oczywiste jest, że także Konstytucja znalazła się w ogniu krytyki systemu politycznego.

Najważniejszym elementem konfederalizmu jest zgodność stanowiska skupsztin /parlamentów/ wszystkich republik i okręgów niezbędna do przeprowadzenia jakiegokolwiek, nawet najmniejszej, zmiany Konstytucji oraz fakt, że decyzję Rady Republik i Okręgów uważa się za podjętą jedynie wtedy, kiedy głosują na nią wszystkie delegacje. W obu przypadkach sprzeciw jednego z uczestników ma charakter weta. Biorąc pod uwagę możliwości zakulisowej gry zmierzającej do narzucenia pewnych rozwiązań mniejszości, trudno wysuwać zastrzeżenia wobec zasady jednomyślności decyzji podejmowanych w istotnych sprawach dotyczących ustroju społecznego, jak to przewiduje Konstytucja. Bieda jednak w tym, że jednomyślność decyzji wyskoczyła z ustawowych ram i w sposób nieurazadniony zadomowiła się zarówno w licznych prawach i przepisach, jak też w dziedzinie gospodarki, kultury i w organizacjach sportowych.

Afirmacja państwowości na szczeblu republik i okręgów, przy jednoczesnym zaniku podstawowych funkcji koordynacyjnych federacji, stworzyła szerokie możliwości zaspokajania interesów jednostkowych kosztem ogólnych. Konstytucja niby to usiłowała temu zapobiec przez deklaratywne zastrzeżenie, że republiki i okręgi autonomiczne muszą dbać tylko o własny rozwój, co o rozwój całej Jugosławii. Ponieważ jednak, jak wiadomo, koszula jest bliższa ciału, uwagę skupiono na własnym rozwoju, rozwój całości natomiast był na ogół zaniedbywany. Równowaga pomiędzy węższym a szerszym optimum jest konstrukcją teoretyczną niemożliwą do utrzymania i nie zdała ona egzaminu w praktyce. Konstrukcje takie nie sprawdziły się również w innych przypadkach. Interesy narodowe wzięły górę nad klasowymi, a okręgi bardziej podkreślały fakt, że są jednym z elementów tworzących federację niż to, że są częścią składową Serbii. Wspomniana równowaga posłużyła jako środek uspo-

kajający dla ludzi przejętych troską o zachowanie państwowej i gospodarczej całości kraju, lecz jednocześnie stała się bodźcem dla wszelkiego rodzaju separatystów do dalszych praktycznych posunięć umożliwiających realizację ich własnych celów.

Elementem konfederalizmu jest też charakter Prezydium SFRJ, funkcjonującego na zasadzie parytetu oraz innych najwyższych organów. Konfederalna w swej istocie jest także decyzja konstytucyjna, że prawa federacji wypełniają w zasadzie organy republik i okręgów, co w praktyce często prowadzi do niewykonywania prawa. Konfederalizm również wyraża się silnie w tym, że konstytucje republik i okręgów nie muszą być zgodne z konstytucją federacji, lecz jedynie nie mogą pozostawać z nią w sprzeczności. Dla usunięcia ewentualnej sprzeczności nie przewidziano żadnych środków prawnych. Skądinąd, w przypadku zauważonej sprzeczności konstytucji republiki czy okręgu z konstytucją federacji, sąd konstytucyjny podejmuje decyzję zgodnie z prawem republiki względnie okręgu.

Jugosłowiański system polityczny zawiera coraz więcej sprzeczności, jest niefunkcjonalny i drogi. Ociężałe mechanizmy władzy zwielokrotnia on na trzech poziomach umożliwiając rozrost biurokracji i zwiększenie wydatków na spożycie budżetowe. Zarówno pod względem politycznym, jak i gospodarczym system ten może stanowić szkolny przykład nieskuteczności. Decyzje zapadają w federacji tak powoli, że nawet gdy się podejmuje odpowiednie środki, z powodu opóźnienia wywierają one połowiczny skutek. Spory uczestniczący w podejmowaniu decyzji często wywołują całkowitą blokadę, nie tylko na szczeblu federacji. W Serbii już od dziesięciu lat nie udało się ustanowić praw republikańskich. Brak elastyczności daje o sobie znać w przypadku nowych decyzji, a także w razie zmiany wcześniejszych rozwiązań. System nie ma możliwości szybkiego dostosowywania się do nowych sytuacji. Jego inercyjność nie pozwala na sprawne wprowadzenie prostych zmian, kiedy narzuca się ich potrzeba. Należy do tego dodać często ujawniającą się bezsilność organów federacyjnych, które nie potrafią zabezpieczyć wykonywania federacyjnych praw. Ustrój społeczny znajduje się najwyraźniej w stanie paraliżu.

W celu przeprowadzenia niezbędnych zmian trzeba się uwolnić od ideologii, która na pierwszym planie stawia kwestię narodową i terytorialną. Gdy we współczesnym cywilizowanym społeczeństwie wzmocnieniu ulegają funkcje integracyjne, przy pełnym poszanowaniu praw obywatelskich i ludzkich, przewyższaniu autorytarnych form władzy i demokratyzacji procesu decydowania - w naszym systemie wzmocnieniu ulegają siły dezintegracyjne, lokalny, regionalny i narodowy egoizm oraz autorytarna, samowolna władza, która z reguły na wszystkich szczeblach narusza ogólnie uznawane prawa ludzkie. Skłonność do podziałów i rozdrabniania całości społecznych, czynna walka przeciwko nowoczesnej, demokratycznej, integrującej federacji kryją się za fałszywym, ideologicznym hasłem walki przeciwko "unitaryzmowi" i "centralizmowi". Prawdziwą alternatywą "unitaryzmu" i "centralizmu" nie jest jednak egoizm naro-

dowy i policentryzmu z własnymi "narodowymi" /a w rzeczywistości republikańskimi i okręgowymi/ gospodarkami, przymusowym ograniczaniem nauki, kultury i kształcenia do ram terytorialnych i podporządkowywaniem wszystkich form życia społecznego nieograniczonej władzy republikańskich i okręgowych oligarchii. Prawdziwa alternatywa to demokratyczny, integracyjny federalizm, w którym zasada autonomii części harmonizuje z zasadą koordynacji części w ramach jedynej w swoim rodzaju całości, w którym instytucje polityczne wszystkich szczebli są tworzone w sposób konsekwentnie demokratyczny organizacjami społecznymi, w którym proces podejmowania decyzji charakteryzuje się swobodnym, racjonalnym, publicznym dialogiem, a nie zakulisowymi i "ściśle tajnymi" kombinacjami, jakie prowadzą samozwańcy i przez samych siebie wybrani obrońcy interesów poszczególnych narodów.

Taki stosunek do państwa i narodu zablokował rozwój systemu samorządowego. Samorząd jest nie rozwinięty i zdeformowany nie tylko dlatego, że go sprowadzono do poziomu mikrostruktury społecznej, lecz także dlatego, że całkowicie podporządkowano go organom wyobcowanej władzy - od gmin do republik i okręgów autonomicznych. Zdezintegrowana klasa robotnicza to w gruncie rzeczy konglomerat kolektywów postawionych w takiej sytuacji, że muszą z sobą walczyć o podział dochodu. Nie istnieją organy samorządowe grup przedsiębiorstw, gałęzi i całokształtu gospodarki, które by racjonalnie regulowały produkcję i ukierunkowywały rozwój gospodarki. Licznymi przepisami prawnymi ograniczono do minimum pole decyzji organów samorządowych. I nadal zawężają je samowolne interwencje lokalnych władz pozostających w sojuszu z siłami technokratycznymi. Jest paradoksem, że w społeczeństwie, które uważa się za socjalistyczne, klasa robotnicza nie ma możliwości organizowania się i posiadania reprezentacji w Federacyjnej Skupstwinie. Ze zdecydowanego sprzeciwu wobec projektu, zgodnie z którym w Skupstwinie Federacyjnej miałaby powstać Rada Pracy Zespołonej, najlepiej widać, jak bardzo czynnik narodowy i terytorialny góruje nad czynnikiem produkcyjnym.

Aby zrozumieć ów prymat czynnika narodowego w dzisiejszej praktyce Związku Komunistów Jugosławii, trzeba wziąć pod uwagę wpływ Kominternu na Komunistyczną Partię Jugosławii w latach międzywojennych. Strategia Kominternu w tym okresie wywodziła się z oceny, że wobec niezaistnienia rewolucji proletariackiej w zachodniej Europie partie komunistyczne w Europie wschodniej, środkowej i południowej muszą się oprzeć na ruchach narodowych, choćby nawet miały one charakter wyraźnie antysocjalistyczny i zasadały się na idei jedności narodowej, a nie klasowej. Stalin angażował się osobiście w łamanie wszelkiego oporu wobec tej strategii /na przykład w wypadku jednego z założycieli Komunistycznej Partii Jugosławii, Simy Markovicia/. Rozwiązanie kwestii narodowej w tym duchu sformułował i rozwinął teoretycznie Sperans /Kardelj/ w książce "Rozwój słoweńskiej kwestii narodowej", która posłużyła za główny model ideowy rozwoju Jugosławii w kierunku konfederacji suwerennych republik i okręgów, co w końcu stało się faktem usankcjonowanym Konstytucją z roku 1974.

Dwie najbardziej rozwinięte republiki, które poprzez tę Konstytucję zrealizowały swoje programy narodowe, występują dziś z uporczywą obroną istniejącego systemu. Dzięki pozycji swych liderów w ośrodkach siły politycznej, przed przełomowymi latami sześćdziesiątymi i po nich, miały one inicjatywę we wszystkich kwestiach związanych z systemem politycznym i gospodarczym. Na swoją miarę i według swoich potrzeb przykrawały społeczny i gospodarczy ustrój Jugosławii. Jest jak najbardziej naturalne, że bronią teraz ustroju, który tworzyli długo i uparcie, ustroju, w którym upatrują realizacji większej części swych narodowych programów.

Panująca ideologia w tych dwóch republikach zobowiązuje ich liderów, aby nie cofali się dla dobra interesów gospodarczych całego kraju, a nawet własnych interesów gospodarczych, jeśliby to miało ograniczyć ich autonomię polityczną.

Nikogo nie trzeba przekonywać, że separatyzm i nacjonalizm działają na scenie społecznej, ale nie widać dostatecznego zrozumienia faktu, że pod względem ideowym umożliwiła to Konstytucja z roku 1974. Stałe nasilanie się separatyzmu i nacjonalizmu i wzajemne jego pobudzanie oddaliło od siebie narody, aż do punktu krytycznego. Manipulowanie językiem, upychanie twórców nauki i kultury w przegródki poszczególnych republik i okręgów - oto żałosne oznaki wciąż narastającej siły partykularyzmu. Wszystkie nowe etnogenesy są tyleż nieszczęsnym produktem prowincjuszowsko zamkniętej i przytłoczonej regionalnymi ideologiami nauki, co symptomem odchodzenia nie tylko od wspólnej teraźniejszości i przyszłości, lecz także od wspólnej przeszłości. Jak gdyby wszystkim zależało na tym, ty jak najrychlej i najdalej uciec z domu, który się wali. Stan ducha jest ostrzeżeniem, że kryzys polityczny zbliżył się do krytycznego punktu pełnej destabilizacji Jugosławii. Najwyraźniejszą jego oznaką stanowi Kosowo. Wystąpienia na scenie międzynarodowej, takie jak to w Sliwnicy, nie pozostawiają wątpliwości, że pretendenci do terytorium Jugosławii sprecyzowali już swoje interesy.

Biurokratyczna decentralizacja, którą w ostatnich dziesiątkach lat przeprowadzali posiadacze władzy politycznej w tym kraju, jest jednocześnie przeszkodą w rozwoju demokracji. Powojenne życie polityczne w Jugosławii powoli i bez specjalnego powodzenia dostosowywało się do warunków pokojowych i legalnych. Nadal silnie oddziałuje na nie spuścizna stalinizmu i Kominternu. Głęboki ślad pozostawiły stosunki panujące w ruchu nielegalnym: konspiracja, hierarchia wewnętrzna, uczestnictwo małej liczby ludzi w podejmowaniu decyzji, podkreślanie jedności ideowej oraz konieczności przyjmowania zadań i wykonywania ich bez zastrzeżeń, ciężkie oskarżenia /o postawę "frakcyjną" lub "wrogą"/ z powodu jakiegokolwiek niezgodzenia się z ustaloną linią polityczną czy choćby krytycznej uwagi. Jeśli uwzględnić przy tym dążenie do zdecydowanej obrony raz zdobytej władzy, czy to przez represje, czy przez utrzymywanie niewolniczego posłuszeństwa, staje się zrozumiałe, dlaczego trudno było znaleźć drogę do prawdziwej demokracji.

Nadzieje na demokratyczny rozwój wyraźnie wzrosły, gdy Jugosławia w latach pięćdziesiątych wypowiedziała się za debiurokratyzacją gospodarki i społeczeństwa, proponując jednocześnie program socjalistycznej demokracji w postaci samorządu społecznego. Poprzez słynne zdanie z Programu ZKJ, że "nie nie jest tak święte..." zapowiedziano otwartość na nowe idee, którym nie powinien zagrozić drogi żaden dogmatyzm. Ów program społeczny - nie opracowany na tyle, ażeby był pod każdym względem jasny, tak jak nie były jasne również sposoby jego realizacji - zyskał jednak szerokie poparcie jako szansa demokratycznego rozwoju, z uwrażliwieniem na współczesne przemiany i zdecydowaniem wystarczającym, aby się do tych przemian w porę przystosować.

Oczekiwania te, jak dotąd, okazały się jednak daremne. Od połowy lat sześćdziesiątych wyraźnie dotychczas tendencja debiurokratyzacji nagle się załamała ustępując miejsca decentralizacji - w swej istocie - biurokratycznej. Dzisiejszy system jugosłowiański nie posiada zalet właściwych współczesnym systemom politycznym. Nie jest on ani liberalną demokracją, ani demokracją rad i nie jest też systemem oświeconej biurokracji. Brak w nim swobód politycznych oraz bezpośredniego udziału obywateli w życiu politycznym; nie można też powiedzieć by funkcjonował według naprzód ustalonych reguł i norm. Cały system działa na zasadzie aktywności górnej szczelnej hierarchii politycznej i beznadziejnej bierności politycznej narodu. Rada Federacyjna Skupstiny SFRJ federacyjna jest tylko z nazwy. Także w niej reprezentowane są republiki i okręgi, a nie obywatele federacyjnego państwa niezależnie od przynależności do republiki czy okręgu. W Skupstynie SFRJ nie ma Rady Pracy Łaspolonej, która byłaby reprezentacją jugosłowiańskiej klasy robotniczej. Bezpośrednie wybory, to wielkie osiągnięcie cywilizacyjne, ustąpiły miejsca wyborom pośrednim.

Wprowadzenie systemu przedstawicielskiego okazało się niesfunkcjonalne. Stale i z powodzeniem manipuluje się obywatelami. Od czasu do czasu wzywa się naród, by poprzez "plebiscyt" potwierdził wybory, których dokonała rządząca hierarchia za kulisami sceny politycznej. Niedemokratyczny system wyborczy doprowadza do sytuacji, w której wyborcy nie wiedzą, kogo wybierają - mówiąc precyzyjnie: na kogo głosują - a delegaci nie mają przed kim rozliczać się ze swojej działalności.

Jugosłowiański ustrój polityczny jest w gruncie rzeczy mieszaniną resztek dawnego systemu politycznego i państwa autorytarnego, rodem z tzw. realnego socjalizmu na Wschodzie. Takie państwo nie jest zdolne do twórczej polityki, do niezbędnych przemian i przystosowywania swoich instytucji oraz całości do ciągle zmieniającego się społeczeństwa. Zablokowana organizacja polityczna staje się organizacją służącą zachowaniu status quo, utrzymywaniu nieudolnej polityki pozbawionej innowacji oraz lojalnej a niekompetentnej kadry dobieranej drogą selekcji negatywnej.

Demokratyzacja jest istotnym warunkiem zarówno wyjścia z głębokiego kryzysu, jak niezbędnego odrodzenia społecznego. Jugos-

sławii potrzeba nie demokracji w słowach, która niczego nie zmienia, ale demokratyzacji świadomości i stosunków społecznych. Domaganie się autentycznego systemu demokratycznego ma tym większe znaczenie, że świadomość naszego społeczeństwa jest spartykularyzowana i rozbita. Prawdziwej demokracji niepodobna sobie wyobrazić bez alternatywnych koncepcji rozwoju. Wydaje się, że przedstawiciele władzy mogą się stać odpowiedzialni - co jest tak niezbędne - tylko w obliczu ewentualności, że wobec skompromitowanych aktualnych koncepcji i nieudolnej pracy inna koncepcja i jej zwolennicy pozyskają zaufanie ogółu. Centralizm demokratyczny ma uzasadnienie, jeżeli w procesie podejmowania decyzji mniejszość jest równoprawnym partnerem dialogu, jeżeli pokonuje się ją przy pomocy argumentów i przegłosowuje po prawdziwie demokratycznej dyskusji. Ale nie wybrano tej drogi. Każde odmienne stanowisko piętnowano jako frakcyjne. Głęboko zakorzenioną niezdolność do przemian najlepiej obnaża sprzeciw wobec propozycji, by wystawić dwóch lub więcej kandydatów na jedno miejsce wyborcze - mimo że w sytuacji, w której nie ma alternatywnych koncepcji, nie mogłoby to zagrozić przyjętej linii politycznej. A znaczenie takiego posunięcia byłoby olbrzymie, jeżeli spojrzeć na to z punktu widzenia kadrowego monopolu góry politycznej, która wybiera delegatów, by oni z kolei ją wybierali. Obecnie sytuacja jest taka, że w republikach i okręgach tworzy się nieformalne grupy w celu zdobycia bardziej wpływowych stanowisk. Tak samo na szczeblu federacji - zamiast pryncypialnej i argumentowanej walki systemów myślenia - formuje się koalicje w celu załatwienia interesów republik i okręgów, a także zapewnienia samodzielnej, monopolistycznej pozycji działających w nich ekip politycznych.

Istnieją także inne formy ograniczania swobód politycznych obywateli. Próby uczynienia niezbędnego kroku w kierunku wyzwolenia myśli i słów dały, jak dotąd, skromne rezultaty. Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że w środkach masowego przekazu dyskutuje się swobodniej, nawet na niektóre tematy do niedawna zabronione. Z kręgów politycznych dobiegają czasem pojedyncze głosy o potrzebie dialogu, o tym, że w fakcie istnienia różnych poglądów nie należy się dopatrywać niczego niezwykłego. Nie znaczy to niestety, że publicznie wypowiedziane słowa zobowiązują posiadaczy władzy. Opinia publiczna pozostaje absolutnie bezsilna i nie ma żadnego wpływu - nawet wtedy, gdy wypowiada istotne prawdy. Nie ma mocy korygowania, nie jest partnerem w dialogu. Nawet uczeni i specjaliści nie mogą przeformować swych argumentowanych ocen i sugestii, jeżeli różnią się one od ustalonego przekonania i stanowiska czynników politycznych.

Do jakiego stopnia głos opinii publicznej pozbawiony jest znaczenia najlepiej widać po lekkomyślnym zadłużaniu się za granicą i olbrzymiej liczbie nieudanych inwestycji. Swoliste kuriozum stanowi fakt, że nie było wiadomo, ile i którym zagranicznym wierzycielom winna jest Jugosławia i że do ustalenia stanu faktycznego trzeba było zaangażować obcą firmę. Osobne pytanie to: dlaczego wysokość długu ukrywano przed narodem? Dzisiaj wiadomo już,

ile wynosi dług u zagranicznych wierzycieli, nie podano jednak do wiadomości publicznej, jakich kredytów udzieliła Jugosławia i czy są one regularnie spłacane. Dyskusje o elektrowniach nuklearnych to kolejny przykład, że praktyka niedemokratycznego podejmowania decyzji w sprawie inwestycji oraz zadłużeń zagranicznych trwa nadal. Nie chodzi tu jednak tylko o poszczególne decyzje, lecz także o całkowicie niedemokratyczne rozwiązywanie dylematu, czy należy zachować czy zmieniać system polityczny i gospodarczy. Nie ulega wątpliwości, że opinia publiczna i specjaliści są za radykalnymi zmianami, ale nastroje te bynajmniej nie zobowiązują polityków. Najlepszy to dowód, że nie utworzono demokratycznych kanałów, którymi zobowiązujące postulaty dochodziłyby do kierownictwa politycznego. Jeżeli natomiast chodzi o tak zwane przestępstwa słowne i dowolną interpretację tego paragrafu, to żadne społeczeństwo dążące do demokracji nie może się chlubić tak kompromitującym środkiem represji.

Żądanie, by represje zniesiono na zawsze miałyby charakter nie tylko demokratyczny, ale również cywilizacyjny. Zaostrzony system represji byłby wielce potrzebny w przypadku przestępstw gospodarczych i kryminalnych. Jeśli represji jest zbyt dużo tam, gdzie nie trzeba, a za mało tam, gdzie są niezbędne - przyczyn należy szukać również w tym, że państwo kieruje się przede wszystkim pobudkami i kryteriami ideologicznymi. Zdezorganizowane ponad wszelką miarę państwo zdegenerowało się i przerodziło w zinstytucjonalizowaną formę woluntaryzmu na szczeblu republik, okręgów i gminy. Wiele kłopotów wynika z braku dobrze zorganizowanego i demokratycznie kontrolowanego państwa z fachową, kompetentną i odpowiedzialną przed społeczeństwem administracją, która realizowałaby przyjętą politykę. Nikt inny na razie nie może skutecznie wykonywać określonych funkcji ekonomicznych państwa. Dotyczy to przede wszystkim długofalowego planowania, polityki skarbowej i pieniężnej, a także polityki budżetowej. Takie państwo niezbędne jest społeczeństwu, aby mogło się ono uwolnić od systemu równoległego decydowania. Dziś sprawy wyglądają tak, że w gruncie rzeczy decydują ci, którzy formalnie nie mają władzy, ci zaś, którzy formalnie ją mają, w rzeczywistości nie podejmują obowiązujących decyzji. W społeczeństwie nie będzie można ugruntować poczucia odpowiedzialności, jeżeli nie uwolni się go od nieformalnego decydowania, które zawsze pozostaje poza wglądem i kontrolą opinii publicznej.

Kościm systemu politycznego jest Związek Komunistów Jugosławii, którego kierownictwo ma absolutny monopol władzy nad społeczeństwem. Z wiarygodnych źródeł wiadomo, że nie uniknięto pokus wynikających z owego monopolu; że Związek Komunistów Jugosławii żyje z renty rewolucyjnej, że jest w dużej mierze sprywatyzowany; że istnieje w nim hierarchiczna struktura zawodowych kadr, która utrzymuje się dzięki lojalności osobistej wobec zwierzchników i bezwarunkowemu posłuszeństwu; że centralizm demokratyczny sprowadza się do tego, iż przywódcy decydują, a członkowie bez sprzeci-

wu wprowadzają te decyzje w życie. ZKJ zrosł się z państwem. Z partii ideowo-przewodniej zamienił się w partię kierowniczą. Ten brak demokracji w Ewiazku Komunistów przenosi się na całe społeczeństwo. Ambicje ZKJ, by stać sięawangardą społeczeństwa, pozostają w wyraźnej niezgodzie z jego nieuporządkowanym stanem wewnętrznym. Stan taki mógł być bezpośrednim powodem do wszechstronnego zrewidowania stosunków społecznych, jak próbowano to zrobić w ZSRR i w Chinach po śmierci Stalina i Mao Tse-tunga. Tak się jednak nie stało. Wciąż negowano potrzebę zasadniczych zmian, tym bardziej, im bardziej wymagała tego pogarszająca się sytuacja. Nie podjęto nawet większości krótkoterminowych działań o natychmiastowym skutku. Zamiast energicznych posunięć przeprowadza się długie i bezowocne dyskusje, które tylko stwarzają pozory aktywności. Na mnóstwo ogólnikowych zaleceń nikt już nie zwraca uwagi. Jeżeli można mówić o beztroście w stosunku do problemów nie cierpiących zwłoki, to z jeszcze większą beztróską traktowano pytania o to, na ile społeczeństwo jugosłowiańskie nadaża za rozwojem współczesnej cywilizacji i czy jest wystarczająco przygotowane do włączenia się w trzecią rewolucję technologiczną.

Pytania takie nie stawałyby na porządku dziennym, gdyby ruch rewolucyjny nie przeobraził się w partię ustrojową, a pogląd sił rządzących na własną istotę nie stał się przez to głęboko konserwatywny. Uparcie podtrzymuje się dawno sformułowane zapatrywania na strukturę społeczeństwa i klasy robotniczej, które daleko odbiegają od współczesnej rzeczywistości. Konserwatyzm oczywiście nie uzewnętrznia się jedynie w akcentowaniu roli i miejsca robotników fizycznych którzy - nawiasem mówiąc - nie uzyskali pozycji należnej i możliwej w socjalizmie, ale najdobitniej wyraża się on w wielkiej podejrzliwości wobec specjalistów i twórców, którzy w krajach rozwiniętych zajmują coraz ważniejsze miejsce - stosownie do swej liczebności i twórczego wkładu. Klasa robotnicza nie pozostanie długo prawdziwą awangardą, jeżeli jej część inteligentką uważa się za niepewnego towarzysza rewolucji. Najpełniejszym przejawem ograniczonego zaufania, z jakim traktuje się inteligencję, jest nianadążanie za postępem technicznym. Rozważania o stosunkach produkcji, o podejmowaniu decyzji inwestycyjnych, o organizacji i rozwoju produkcji nie wykraczają poza horyzonty myślowe drugiej rewolucji technologicznej, która w gruncie rzeczy schodzi już ze sceny. Właściwy moment do włączenia się w trzecią rewolucję technologiczną, jak wszystko wskazuje, został przeoczony.

Niedostatki systemu politycznego są tak liczne i rzucające się w oczy, że stanowią centrum wstrząsów obejmujących całe społeczeństwo. Usuwanie tych niedostatków musi się rozpocząć od zasadniczego zrewidowania Konstytucji i to bez żadnych uprzedzeń czy obciążeń ideologicznych. Powód do takiej rewizji tkwi nie tylko w słabościach ustroju; są nim także istotne mankamenty Konstytucji związane ze sferą gospodarczą takie jak: nieadekwatność treści oraz instytucjonalizacji własności społecznej, źle ustalone stosunki między całością a częściami, niefunkcjonalność mechanizmu samorządowego, nieugruntowanie naukowe zasady dochodu,

niedostatecznie i niekonsekwentnie rozwinięta koncepcja mechanizmu planowo-rynkowego, błędnie określone miejsce i odpowiedzialność podstawowej organizacji pracy zespołowej itp.

W naukach prawnych istnieje duży stopień zgodności co do tego, że konstytucja każdego państwa musi być zwięzła, że winna zawierać jasno określone podstawowe zasady ustroju, precyzyjnie ustalone prawa i obowiązki, tak by każdy obywatel mógł je bez trudu zrozumieć i łatwo zapamiętać. Taka konstytucja jest nie tylko owocem doświadczeń i wiedzy do jakich doszły nauki prawnicze, ale wyrasta z prawa obywateli do posiadania takiej konstytucji w demokratycznym i cywilizowanym kraju. Nasza Konstytucja z 1974 nie trzymała się wymienionych zasad. Dążenie do tego, by przy każdej okazji dowodzić oryginalności w poszukiwaniu rozwiązań społecznych /jeżeli nie mamy tu do czynienia również ze świadomym nacęaniem/ spowodowało, że Jugosławia otrzymała najdłuższą konstytucję na świecie. Znalazły się w niej nawet tak błahsze sprawy, jak sposób rozwiązywania sytuacji mieszkaniowej osób wojskowych albo tryb powoływania kierowników przedsiębiorstw - problemy, których miejsce jest w aktach prawnych bądź wynikających z nich przepisach. Nieodpowiednia terminologia czyni tekst Konstytucji niezrozumiałym dla zwykłych ludzi i nie tylko dla nich. Zdania zawierające ponad sto wyrazów, paragrafy rozwijane na wielu stronach tekstu, nieujednoczone i niewłaściwe użycie terminów - wszystko to wskazuje na niedopuszczalnie niski poziom techniki ustawodawczej. Jednocześnie dowodzi, że wpływ nauk prawnych na tekst Konstytucji był ograniczony.

4. Równoległe do kryzysu ekonomicznego i politycznego społeczeństwo jugosłowiańskie dotknął także kryzys moralny. Jego liczne przyczyny są głęboko zakorzenione w historii. Ale w społeczeństwie ideologicznym, takim jak nasze, kryzys moralny wywołany jest w istocie przez kryzys ideologiczny, przez porażki programu ideologicznego rewolucji, odstąpienia od głoszonych celów i socjalistycznych zasad, niezgodność słów i czynów kierownictwa politycznego, przez brak porządku prawnego, sędziów i uzależnione sądownictwo, samowolę i uprzywilejowanie biurokracji, konformizm moralny i podsycane karierowiczostwo, brak swobodnej i otwartej krytyki zjawisk, idei, przedstawicieli władzy i funkcjonariuszy, a więc przez nieistnienie demokratycznej opinii publicznej jako żywego sumienia społeczeństwa. Strumieniowi migracji ze wsi i wszelkim związanym z nią pokusom nie przeciwstawiono praktycznie polityki adaptacji cywilizacyjnej z jasno określonymi normami postępowania i normami moralnymi. Wszechobecna, rozbita świadomość chłopaka - zainspirowana poglądem, że dozwolone jest wszystko, co nie jest wyraźnie zabronione, skłonna do liczenia się tylko z bezpośrednią korzyścią, całkowicie zaniedbująca cele dalsze i mniej bezpośrednie - utrzymywała się długo, by wreszcie, w warunkach kryzysu ujawnić się jako siła niszcząca od podstaw moralność, stwarzająca szerokie możliwości przestępstw i innych zjawisk, które trudno pogodzić z wartościami socjalistycznego społeczeństwa.

Naruszenie własności społecznej spotyka się na każdym kroku, a kradzieże, defraudacje i korupcja stały się częścią regularnych

dotychczasowych dochodów dla tak wielkiej liczby obywateli, że ten rodzaj dochodów musi być brany pod uwagę przy ocenie wysokości konsumpcji na osobę. Nie bez wpływu jest tu przykład organizacji pracy, a czasem też instytucji administracyjnych, które często bezkarnie łamią prawo. Przywileje zachowuje się uporozywie, wbrew jednomyślnemu potępieniu ze strony narodu. Świadomość o potrzebie uczciwej pracy niemal nie istnieje. Niewielu jest takich, którzy zastanawiają się, co i ile zrobili za otrzymywaną płacą. Zarobki w gospodarce nie zostały ujednolicone, co prowadzi do odchodzenia od zasady wynagradzania według włożonej pracy. Zarobki indywidualne w przedsiębiorstwach często zależą nie tyle od wykonywanej pracy, ile od tego, czy ktoś potrafi wywalczyć wyższe ceny albo niższe wkłady. Stałe pokrywanie strat jednych pracowników ze środków zarobionych przez drugich działa demobilizująco na obydwie strony. Względnie duża liczba ludzi wzbogaciła się w legalny sposób - niezależnie od swej pracy. Powiększanie się różnic społecznych wynikające z nieuporządkowanych stosunków w gospodarce i społeczeństwie jest jeszcze bardziej dolegliwe dla ekonomiki i niesprawiedliwe moralnie, ponieważ następuje ono w skomplikowanych warunkach kryzysu.

Na moralność mas działa również destrukcyjnie bezrobocie. Niepotyzm jest zjawiskiem powszechnym; dawanie pierwszeństwa krewnym przy zatrudnianiu stało się niemalże prawem zwyczajowym. Bezrobocie to trudny problem społeczny nie tylko dlatego, że duża liczba ludzi nie może egzystować samodzielnie, lecz także dlatego, że znaczna część ludności, o lepszej strukturze wieku i kwalifikacji niż ta, jaką posiadają zatrudnieni, jest nieproduktywna, mimo iż właściwe włączenie jej do pracy wyraźnie poprawiłoby sytuację. Niepokoi również demoralizacja tych ludzi oraz ich rodzin, brak perspektyw dla uczniów i studentów, którzy szkołą się bez widoków na zatrudnienie i wreszcie psychologia tych, którzy otrzymawszy pracę po wielu latach wyczekiwania, widzą w niej tylko źródło stałej płacy, nie mając ambicji wyróżnienia się przez własny twórczy wkład, tym bardziej, że czekając wyłączyli się ze spraw zawodowych i zapomnieli większość tego, czego się nauczyli. Niemniej zgubne są skutki tzw. okresowej pracy za granicą. Wśród ludzi zapanowało przekonanie, że za uczciwą pracę w kraju nie można przyswoić zarobić ani dobrze z niej żyć. Zanika wiara nie tylko w sumienną pracę, ale i w socjalizm, którego aureola gaśnie na tle reputacji, jaką cieszą się systemy gospodarcze w krajach, gdzie pracują gasterbeiterzy.

Zanik zaufania i słaba motywacja są wyraźnymi objawami kryzysu moralnego. Powszechna mobilizacja sił tkwiących w narodzie dla rozwiązywania istniejących problemów nie jest na razie możliwa. Szerokie kręgi społeczeństwa nie uświadamiają sobie jasno sensu angażowania się i poświęcania dla ogólnospołecznych celów. Oficjalna ideologia, która zamiast rzeczywistości socjalistycznego programu proponuje czcze polityczne proklamacje, w znacznym stopniu wyczerpała swoje możliwości mobilizacyjne. Przepaść między socjalistycznymi zasadami a skostniałą rzeczywistością jest tak głęboka, że rodzi masową apatię, prywatyzację i coraz większe

rozgoryczenie. Reformy, które dziś mogłyby poprawić klimat społeczny i nawet odmienić bieg rzeczy, jutro już nie wystarczą.

Niszczenie systemu wartości, coraz głębsze z upływem czasu, dotyczy nie tylko norm moralnych. Nie znamy właściwie hierarchii wartości, za jakimi opowiada się społeczeństwo jugosłowiańskie - zakres potrzeb nigdy nie stał się otwartym tematem poważnej dekraktycznej dyskusji. Dlatego priorytety potrzeb kształtują się spontanicznie, najczęściej pod wpływem mentalności konsumpcyjnej. Ona właściwie w połączeniu z nieokiełznanym prymitywizmem wyraźnie wzmocniła skłonność do kiczu w literaturze, muzyce, filmie oraz wszelkiego rodzaju rozrywce. Skłonność tę podsyca się nawet świadomie i systematycznie za pośrednictwem prasy, radia i telewizji. Pod presją agresywnego kiczu, który suwerennie włada na scenie, prawdziwe wartości kulturalne utraciły szerszy wpływ, mimo istnienia wielu znaczących dzieł jugosłowiańskich twórców. Mało się podejmuje wysiłków, by dzieła te dotarły do szerszego kręgu odbiorców.

Kryzys w kulturze polega nie tylko na tym, że prawdziwe wartości społeczne nie stanowią konkurencji dla kiczu. Kultura coraz bardziej się regionalizuje, jej jugosłowiańskie i uniwersalne znaczenie ulega rozbiću, w znacznej mierze wprzagnięta zostaje w służbę aspiracji możnowładczych na terenie republiki, okręgu, państwa. Powszechny prowincjonalizm kultury zaniża kryteria wartości i pozwala zdobywać mniej utalentowanym twórcom znacznie większe uznanie społeczne. Separatyzm i nacjonalizm, głęboko zakorzenione w prowincjonalnej kulturze, stają się coraz bardziej agresywne.

5. Ten wszechstronny i głęboki kryzys jugosłowiańskiego społeczeństwa otwiera wiele pytań, wśród których szczególne miejsce zajmują dwa: Co się stało z projektem budowy nowego społeczeństwa, za który poległo tyle ofiar? Gdzie znajdujemy się dzisiaj my, w porównaniu z nowoczesną cywilizacją europejską?

Obiektywna analiza naukowa, wolna zarówno od ideologicznej apologetyki /fragment nieczytelny - przyp. red./, jak i od ideologicznego sceptycyzmu /który odrzuca system w całości, od samego jego początku/ wykazuje całą sprzeczność powojennego rozwoju i tłumaczy, dlaczego po okresie widocznej poprawy materialnej, stopniowej demokratyzacji i emancypacji duchowej nastąpiły konflikty społeczne późnych lat sześćdziesiątych, nawrót metod autorytarnych we wczesnych latach siedemdziesiątych, utrata stabilności i zachwianie proporcji strukturalnych, stagnacja materialna i coraz większa duchowa dezorientacja jako wynik końcowy.

Upadek, do którego doszło, nie byłby tak poważny i trwały, gdyby był następstwem jedynie błędnej polityki. Nowa strategia polityczna w latach sześćdziesiątych to nie tylko projekt reformy gospodarczej, ale i koniec procesu politycznej i ekonomicznej demokratyzacji, polityki wewnętrznego otwarcia, długoterminowego planowania rozwoju społecznego, budowy jednolitej federacji. Nowy

społeczny projekt afirmacji grupowego i narodowego egoizmu prowadził do nieprzejednanego konfliktu z uznawanymi dotychczas wartościami moralnymi i do coraz większej demoralizacji szerokich kręgów społeczeństwa.

Aby wyjaśnić, dlaczego po pomyślnym rozwoju w okresie 1953-1965 doszło do fatalnego przełomu 1965 roku, należałoby wziąć pod uwagę wiele czynników: prymat interesów indywidualnych i grupowych nad ogólnymi, materialistyczne aspiracje nowej klasy średniej, dominację interesów najbardziej rozwiniętych republik, obronę politycznego monopolu władzy przed rosnącym naciskiem na dalsze reformy gospodarcze, twarde opór, jaki stawiła emancypacji ducha tradycja patriarcalna. Z czynników zewnętrznych trzeba pamiętać szczególnie o presji wielkich mocarstw, które w sferze polityki popierały metody autorytarne, a w sferze gospodarczej dążyły do tego, by wpędzić nasz kraj w pożałowania godną technologiczną i ekonomiczną zależność od zagranicy, co im się w końcu udało.

Nie powinno przy tym zadowalać wyjaśnienie idealizujące projekt rewolucyjnych przeobrażeń i niewątpliwe sukcesy w ciągu pierwszego dwudziestolecia powojennego oraz traktujące późniejsze błędy i upadki jako szwaczajną deformację tego projektu przez jednostki sprawujące władzę. Prawdą naukową jest, że bariery istniały w samym tym projekcie - zarówno w wizji początkowej, która /mimo wszystkich swych humanistycznych i emancypatorskich idei/ zbyt mocno akcentowała rolę przemocy i dyktatury w okresie przejściowym, jak i w sposobie, w jaki wizja ta była interpretowana i stosowana w naszym kraju pod presją stalinizmu i dziedzictwa Międzynarodówki Komunistycznej.

Skuteczny opór przeciwko stalinizmowi zmobilizował znaczne siły społeczne, które obroniły niezależność narodową, zapewniły uprzemysłowienie kraju, godny podziwu wzrost gospodarczy w okresie 1953-1965, początkowe formy samorządu i duchowe wyzwolenie z ciasnych ram ideologicznych w dziedzinie kultury. Jednakże raz ustalone stosunki hierarchiczne nie mogły zostać przewyżnione. Okazały się one nieprzekraczalną barierą procesu demokratyzacji. Proces ten jest tolerowany, a nawet podsycany, póki emancypacja sił twórczych dokonuje się na poziomie mikrostruktury, w dziedzinach działalności odległych od polityki. Jest surowo kontrolowany, kiedy rozszerza się na instytucje polityczne - poprzez żądania deprofesjonalizacji i odbiurokratyzowania polityki, a zdecydowanie powstrzymywany, kiedy zagraża ośrodkom władzy politycznej - poprzez postulat wolnych wyborów i przekształcenia organów państwowych w samorządowe. Reforma gospodarcza 1965 roku była w istocie zmianą podstawowego kierunku strategii rozwoju społecznego: projekt demokratyzacji politycznej został zastąpiony przez projekt liberalizacji ekonomicznej. Ideę samorządności, której istotą jest dezalienacja polityki, zastąpiła idea decentralizacji, która doprowadziła do stworzenia regionalnych ośrodków wyobcowanej władzy. Etykę solidarności i sprawiedliwości społecznej zastąpił duch konsumpcyjnego indywidualizmu i aplogia interesów grupowych. Poli-

tyczny woluntaryzm, śmiały i dynamiczny w pierwszych dziesięcioleciach po wojnie, kiedy mógł liczyć na masowe poparcie społeczeństwa, stał się teraz statyczny i zdecydowany w obronie systemu nawet wtedy, gdy stało się oczywiste, że ten system jest niespójny i niewydajny. Podstawowy problem społeczeństwa jugosłowiańskiego polega nie na tym, że historyczny projekt powstały podczas wojny wyzwolitej został niedokończony lub zdeformowany w praktyce. W dotychczasowej historii los wszystkich projektów był taki, że ich urzeczywistnieniu towarzyszyły elementy restauracji i że w końcu doprowadzało to do wymieszczenia starego i nowego społeczeństwa. Jednakże takie hybrydy - chociaż nie spełniały swoich emancypatorskich celów - okazały się postępowymi zdobyczami cywilizacji, umożliwiającej wyjście z kryzysu i przyspieszony rozwój społeczny.

Niespotykany dotąd w dziejach rozróżnienie między normatywnymi proklamacjami i rzeczywistością stanowi jedną z istotnych cech jugosłowiańskiego społeczeństwa. Według oficjalnej ideologii społeczeństwo jugosłowiańskie prześcignęło już wszystkie osiągnięcia nowoczesnej cywilizacji i na Zachodzie i na Wschodzie; urzeczywistniło najwyższą formę demokracji, poprzez samorządność zapewniło władzę klasy robotniczej, osiągnęło braterstwo i jedność narodów, zlikwidowało wszechwładzę państwa, pierwsze w świecie udowodniło możliwość istnienia efektywnej gospodarki rynkowej w socjalizmie. W rzeczywistości nasze społeczeństwo znajduje się poniżej poziomu nowoczesnej cywilizacji. W Jugosławii podstawowe obywatelskie prawa jednostki wciąż mogą być bezkarnie łamane, wybory na stanowiska państwowe są fikcją, władza sądowa jest zależna od wykonawczej, wolność słowa, organizowania się i manifestacji publicznych ograniczone są przez biurokratyczną samowolę i przepisy prawne, które umożliwiają przesładowanie poglądów odmiennych niż oficjalne. Klasa robotnicza nie ma legalnych możliwości do samoorganizowania się i do strajku i nie wywiera żadnego faktycznego wpływu na decyzje polityczne. Stosunki narodowościowe charakteryzują się sprzecznnością interesów, wzajemną eksploatacją i słabym współdziałaniem autarkicznych układów gospodarczych poszczególnych narodów. O jednolitej polityce i rozwoju i jednolitym rynku nie można już nawet poważnie mówić. Wszechwładza państwa nie została zlikwidowana; przeniesiono ją na płaszczyznę republik, gdzie jest bardziej irracjonalna i szkodliwa. Kiedy już w latach 1967-1968 wystąpiły niepożądane skutki "reformy gospodarczej": połączenie inflacji, stagnacji i bezrobocia, całe to ile obmyślone przedsięwzięcie zarzucono, nigdy nie osiągnąwszy stadium nowoczesnej gospodarki rynkowej, regulowanej kompleksowymi instrumentami polityki rozwoju. W odróżnieniu od innych współczesnych społeczeństw miastanych specyficzne jugosłowiańskie wymieszanie elementów dawnego społeczeństwa autorytarnego, społeczeństwa obywatelskiego i socjalizmu, ostatecznie spetryfikowane w Konstytucji z 1974 roku nie ma minimum spójności, potrzebnej do zapewnienia dalszego rozwoju społecznego.

Bez zmiany tej konstytucji i opartego na niej systemu polityczno-ekonomicznego niemożliwe jest rozwiązanie żadnego z istot-

nych dzisiaj problemów naszego społeczeństwa, niemożliwe jest zahamowanie obecnego procesu dezintegracji i osuwania się w coraz głębszy kryzys. Konieczne jest poszukiwanie rozwiązań z uwzględnieniem głównych zasad cywilizacyjnych, będących niezbędnym warunkiem rozwoju nowoczesnego społeczeństwa. Te zasady to:

a/ Suwerenność narodu. U fundamentów nowoczesnej cywilizacji leży idea głosząca, że największym źródłem siły politycznej jest sam naród, że jedyny legalny autorytet polityczny to taki, który wynika ze swobodnie wyrażonej woli narodu, a zatem nie istnieją moralne i prawne podstawy, aby jakokolwiek elita /z łaski Bożej, więzów krwi, religii, rasy, klasy, przynależności ideologicznej, historycznych zasięg itp./ przywłaszczyła sobie prawo mówienia, decydowania i używania siły w imieniu narodu. Naród może jedynie przekazać na określony czas władzę polityczną swoim przedstawicielom, zachowując prawo wybierania ich, kontrolowania i odwoływania, a w razie potrzeby obalenia siłą, jeśli złamią "umowę społeczną" i zamiast o ogólne interesy narodowe, zaczną zabiegać o swój własny interes. Zasadę suwerenności narodu afirmowała demokratyczna filozofia polityczna i praktyka rewolucji demokratycznych XVIII wieku. Z tej to zasady teoria socjalizmu wyciągnęła skrajnie radykalne konsekwencje. Skoro monopol władzy ekonomicznej stwarza podstawę tworzenia się elit, które mogą narzucić się społeczeństwu i przechwycić pełną władzę nad jego życiem politycznym, to również wszystkie instytucje umożliwiające ten monopol - czy jest to kapitał, czy państwo biurokratyczne - nie dadzą się pogodzić z zasadą suwerenności narodu. W tym sensie pełna suwerenność narodu rysuje się dopiero w społeczeństwie bezklasowym, w którym życie polityczne, gospodarcze i kulturalne byłoby zorganizowane w sposób demokratyczny. Przesłanką takiej demokracji /"demokracji rad" albo "integralnej samorządności"/ jest wolny wybór i możliwość odwoływania ze wszystkich stanowisk publicznych, otwarta kontrola tych stanowisk, podział władzy, brak biurokratycznych przywilejów. Nowoczesne społeczeństwa od dawna te warunki spełniają. Jugosławia jeszcze nie osiągnęła tego poziomu, chociaż dawno proklamowała ideę samorządności, debiurokratyzację i deprofesjonalizację polityki.

b/ Samookreślenie narodu. W nowoczesnym społeczeństwie wszelki ucisk i dyskryminacja narodowościowa kłóca się z samymi zasadami cywilizacji. Jugosłowiańskie rozwiązanie problemu narodowościowego na początku mogło być traktowane jako wzorowy model wielonarodowej federacji, gdzie zasada jednolitego państwa i polityki państwowej była umiejętnie powiązana z zasadą politycznej i kulturalnej autonomii narodów i mniejszości narodowych. W ciągu ostatniego dwudziestolecia coraz bardziej słabła zasada jedności, a zarazem zbytnio akcentowano zasadę autonomii narodowej, która w praktyce przekształciła się w suwerenność części /republik, z reguły niejednorodnych narodowościowo/. Wady od początku istniejące w modelu stawały się coraz jaskrawsze. Narody Jugosławii nie są równoprawne: naród serbski, na przykład, nie otrzymał prawa do własnego państwa. Część narodu serbskiego w znacznej liczbie zamiesz-

kująca inne republiki nie ma - w odróżnieniu od mniejszości narodowych - prawa posługiwać się swoim językiem i alfabetem, tworzyć organizację politycznych i kulturalnych, wspólnie rozwijać kultury swojego narodu. Niepohamowany exodus Serbów z Kosowa w drastyczny sposób wskazuje, że zasady broniące autonomii jednej mniejszości /Albańczyk/ nie są stosowane, kiedy chodzi o inną mniejszość /Serbowie, Czarnogórcy, Turcy i Cyganie na Kosowie/. Ze względu na występujące formy dyskryminacji narodowościowej nie można uważać Jugosławii za nowoczesne i demokratyczne państwo.

c/ Prawa człowieka. Epoka nowoczesna zaczyna się od afirmacji praw człowieka. Z początku były to prawa obywatelskie: od swobody myśli, sumienia, wypowiedzi, zmiany miejsca pobytu, zawierania umów, organizowania się, manifestacji publicznych, demonstracji, wyboru swoich przedstawicieli. W naszym wieku do praw obywatelskich dodano socjalno-ekonomiczne: prawo do pracy, swobodnego wyboru zawodu, do nauki, do równego wynagrodzenia za równą pracę, do ubezpieczenia socjalnego. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych sformułowało te wszystkie prawa w swojej Deklaracji Praw Człowieka przyjętej 10 grudnia 1948 roku. Nasz kraj jest jednym z tych, które uchwały tę deklarację. Jugosławia jest również sygnatariuszem Porozumień Helsińskich i wszystkich tego rodzaju dokumentów międzynarodowych. Jest niewątpliwe, że istnieje dziś wiele państw, które pod względem poszanowania praw człowieka stoją o wiele niżej od naszego kraju. Ale u nas wciąż jeszcze prześladowane są "przestępstwa słowne", zakazuje rozpowszechniania książek i niszczy nakłady, zdejmując z repertuaru przedstawienia teatralne "ideowo nie do przyjęcia", uniemożliwia się publiczne wyrażanie poglądów, zabrania organizowania się, manifestowania i demonstracji; korzystanie z konstytucyjnego prawa do listów protestacyjnych przeciwko decyzjom organów państwowych nazywa się wrogą działalnością, prześladowane są inicjatorów protestacyjnych przerw w pracy, wybory na stanowiska publiczne przekształcają się w fałszywą samomianowanie. Dopóki wszystko to się dzieje, nie możemy uważać się za cywilizowane i światłe społeczeństwo.

d/ Racjonalizm. Czasy nowożytne to czasy racjonalizmu. Instytucje społeczne i sposób organizowania całego życia społecznego muszą zdać egzamin przed sądem rozumu. Nie zawsze jest to racjonalizm celów: wielką słabością naszej epoki jest rozdzielenie polityki, etyki i nauki. Ale instrumentalny racjonalizm i umiejętność znajdowania adekwatnych środków dla raz wytyczonych celów oraz skuteczne wprowadzanie w życie określonej polityki jest warunkiem sine qua non każdego nowoczesnego państwa. To zaś znaczy, że każde nowoczesne państwo należy traktować jak wielki system, którego poszczególne części w jednolity sposób regulują się wzajemnie, są ze sobą zgodne i mają wspólny kierunek, że reguły gry są jasne, stabilne i mogą być zmieniane tylko po solidnych badaniach i przygotowaniach, że urzędników państwowych dobiera się przede wszystkim według kryterium kompetencji i osobistej uczciwości, że podejmowanie decyzji w największej mierze oparte jest na pewnych informacjach oraz analizie kosztów i przypuszczalnych zysków. Żaden z

tych warunków racjonalnej polityki nie jest u nas spełniany: nasze państwo składa się z ośmiu oddzielnych i słabo powiązanych organizmów, jednolita polityka rozwojowa nie istnieje, a nawet gdyby istniała na papierze, nie mogłaby być zrealizowana w praktyce, reguły gry są stale zmieniane ad hoc i w najlepszym razie mogą być wiadome na rok z góry, urzędników państwowych dobiera się tylko na zasadzie lojalności, toteż w dużym stopniu są niekompetentni i podatni na wpływy, decyzje podejmuje się w pośpiechu, dowolnie i stronniczo, bez uprzedniej dyskusji publicznej, na podstawie niepewnych, jednostronnych informacji, bez rozpatrzenia ewentualnej alternatywy. Dopóki taki nieracjonalny styl pracy przeważa w naszej polityce, nie możemy uważać się za nowoczesne społeczeństwo.

Z analizy tej wynika, że demokratyzacja polityczna i prawidłowa wymiana kadr, prawdziwe samokreślenie i równoprawność wszystkich narodów Jugosławii, z Serbami włącznie, pełne urzeczywistnienie praw obywatelskich i socjalno-ekonomicznych oraz konsekwentne racjonalizowanie jugosłowiańskiego systemu politycznego i polityki rozwoju - to niezbędne warunki, bez których nie można sobie nawet wyobrazić wyjścia z obecnego kryzysu społecznego w Jugosławii /.../

Imponujący i zakrojony na iście rewolucyjną miarę pęd kulturotwórczy pierwszych pokoleń powojennych, wyrażający się między innymi w ustanowieniu szerokiej sieci instytucji oświatowych - od szkolnictwa podstawowego do wyższych uczelni - wygasł z końcem lat sześćdziesiątych. Nadeszła fala stagnacji i coraz bardziej widocznego regresu. Dzisiaj oświata i system edukacyjny mają charakter ekstensywny i nader prymitywny, wykazując trudne do nadrobienia zaległości w stosunku do potrzeb i celów współczesnego społeczeństwa i cywilizacji. System szkolny oparty na kształceniu zawodowym wobec niskiego poziomu nauczania przeżywa całkowity krach. Duchowo okaleczono i zubożono kilka pokoleń; mamy dziś nadprodukcję prymitywnych półfachowców, którzy ze swoją wiedzą są nieprzydatki gospodarce i sferom pozaprodukcyjnym, a na dodatek nie mają przygotowania do dalszego rozwoju twórczego i intelektualnego. Nie ma na świecie kraju, który sprawy edukacji uregulował bardziej rozbudowaną siecią przepisów prawnych. W Jugosławii obowiązuje łącznie sto dziesięć ustaw związkowych, republikańskich i okręgowych, poświęconych różnym rodzajom szkół. Szereg tych ustaw było wielokrotnie nowelizowanych, tak że ustalenie, który tekst ma właśnie moc prawną, wymaga często solidnych badań.

Mimo to, szkolnictwo jugosłowiańskie nigdy nie było tak ekstensywne i bezwładne, nigdy też nie stało gorzej niż obecnie. Praktyka legislacyjna ustawowo powołała do życia osiem systemów oświatowych, coraz bardziej się od siebie oddalających i żadne porozumienia w sprawie tzw. wspólnego trzonu tych systemów nie są w stanie zahamować procesu rozwojowego ugruntowanego prawem. Dyskusje nad przywróceniem wspólnoty oświatowej i porozumienia w tej sprawie, tak częste ostatnio, po piętnastu latach parcelacji ogólnojugosłowiańskiego szkolnictwa, zdają się tylko bezpłodną u-

topią. Nic wspólnoty i jedności, snutą na naszych ziemiach od ponad stu pięćdziesięciu lat, można nawiązać ponownie tylko odwołując ustawodawstwo, które wywołuje rozpad. W przeciwnym razie będziemy wychowywać - i już wychowujemy - pokolenia, które w coraz mniejszej mierze poczuwają się do jugosłowiańskości, w coraz większej zaś stają się gniewnymi narodowymi romantykami i zaciekłymi nacjonalistami. Kraj bez jednolitego systemu szkolnictwa nie może liczyć na to, że w przyszłości pozostanie jednolity.

Z epoki humanizmu, czyli od XV i XVI wieku, wywodzi się przekonanie, że szkoła ma służyć spełnieniu wszystkich życiowych miar człowieka, realizacji wszystkich antropologicznych i umysłowych możliwości, które człowiek wnosi ze swym przyjściem na świat. Zgubna jest idea głosząca, że szkoła służyć ma tylko pracy zawodowej i że ma być całkowicie uzależniona od jej przyszłych wymogów. Idea ta jest jednym z nieprzewyciężonych nawarstwień po Proletkulcie i w ostatecznym wyniku prowadzi do ukształtowania świadomości prymitywnej i niewolniczej. Orientacja zawodowa młodzieży już od 14 roku życia oznacza jej fundamentalne zniewolenie.

Walka ideologiczna z "elitaryzmem" dała rezultaty żałosne: od co najmniej dwudziestu lat we wszystkich dziedzinach, w tym także w oświacie, uprawia się kult przeciętności. Żadne społeczeństwo nie powinno walczyć przeciwko elicie wiedzy i umiejętności, nauki i nowatorstwa. Walcząc przeciwko takim elitom stworzyliśmy elitę zamożnych jednostek, które są w stanie swoim przeciętnie uzdolnionym dzieciom dać dostęp do tego, czego nie daje szkoła podstawowa i średnia. Położenie materialne szkolnictwa zdewaluowało jego status społeczny, etykieta "przydatności moralno-politycznej" zaś, szczególnie na uniwersytetach, gwałtownie pobudziła konformizm moralny i polityczny oraz postawy karierowiczowskie. W ten sposób uniwersytety, a zwłaszcza ich wydziały humanistyczne, zostały pozbawione czołówki intelektualnej naszego pokolenia. Nie ma chyba kraju w Europie, gdzie oświatę wpędzono w równie martwe położenie materialne i społeczne.

Dokładnie wtedy, gdy z wielką rozrzutnością szafowano środkami z akumulacji społecznej, wobec uniwersytetów prowadzona była polityka restrykcji. Otrzymywały one coraz mniej pieniędzy. Przez piętnaście lat wydziały nie prowadziły naboru młodych asystentów, toteż najstarsze uniwersytety jugosłowiańskie, belgradzki przede wszystkim, mają dziś najwyższą przeciętną wieku kadry dydaktyczno-naukowej. Uniwersytet i nauka - to co w innych krajach stanowi dźwignię postępu w dobrej rewolucji technologiczno-informatycznej - u nas zostało kompletnie zaniedbane. "Reformy" uniwersytetów, przeważnie narzucone siłą polityczną, nie zaś względami naukowymi /.../, były chybione. Szczególnie dużo szkody przyniosło odseparowanie nauki od wyższych uczelni: wszelkiego rodzaju przegród systemowe i administracyjne dzielące naukę "instytutową" i "uniwersytecką". Uniwersytet utracił bazę laboratoryjną, do życia powoływano równoległe programy badawcze, nauka podzieliła swoje kadry, zahamowano normalny przepływ pracowników naukowych z uczelni do instytutów i odwrotnie.

W związku z tym należy: zmienić system szkolnictwa, prawodawstwo dotyczące edukacji, zmodernizować i zhumanizować programy szkolne, otworzyć szkoły ze specjalizacją, otoczyć opieką utalentowanych uczniów, całkowicie zmienić złe położenie materialne oświaty, położyć nacisk na duchowy, nie tylko ideologiczny profil nauczycieli, przyciągnąć do uniwersytetów czołówkę naukową i intelektualną oraz prawnie ugruntować jednolitość systemu oświatowego w Socjalistycznej Republice Serbii.

W tej trudnej, kryzysowej chwili musimy rozpocząć debatę nad dniami jutrzejszym - nad XXI wiekiem. Mimo niesprzyjającej sytuacji społeczno-ekonomicznej musimy już dziś budować wizję jutrzejszego świata, w którym cywilizacja opierać się będzie na mikroelektronice, sztucznej inteligencji, robotyce, informatyce, klonowaniu i manipulacji sztucznymi genami. Dlatego Serbska Akademia Nauk proponuje, żeby natychmiast, bez żadnych uprzedzeń dogmatycznych lub ideologicznych i bez samorządowej inercji, przystąpić do rozsądnej i gruntownej reorganizacji społecznej oraz instytucjonalnej bazy nauki. Potrzebna jest jej modernizacja, większa efektywność, potrzeba większych nakładów materialnych, więcej troski o młodych naukowców, więcej swobód i samodzielności w kreowaniu programów naukowych i badawczych. Krótko mówiąc, musimy jak najprędzej, z całym dostępnym potencjałem naukowym włączyć się do światowego obiegu współczesnej nauki. /.../

Koniec pewnej epoki w życiu wspólnoty jugosłowiańskiej i Serbii odznacza się niewątpliwie anachroniczną ideologią, powszechną stagnacją i coraz wyraźniejszym regresem w dziedzinie politycznej, moralnej oraz kulturowo-cywilizacyjnej. Stan taki pilnie nakazuje przeprowadzenie zasadniczej, dobrze przemyślanej, ugruntowanej naukowo i stanowczo realizowanej reformy całej struktury państwa oraz organizacyjnych założeń, na których spoczywa wspólnota narodów jugosłowiańskich. Należy też szybciej i owocniej przystosować socjalizm demokratyczny do wymagań współczesnej cywilizacji. Reformy społeczne powinny maksymalnie zaktywizować naturalny i ludzki potencjał naszego kraju tak, byśmy stali się społeczeństwem wydajnym, oświeconym i demokratycznym, zdolnym żyć z własnej pracy i twórczości, liczącym się we wspólnocie narodów świata.

Najważniejszym warunkiem naszego odrodzenia jest demokratyczna mobilizacja wszystkich intelektualnych i moralnych sił narodu, nie tylko dla realizacji uchwał kierownictwa politycznego, ale również przy tworzeniu programów i demokratycznym projektowaniu przyszłości. W ten sposób wiedza i doświadczenie, sumienie i odwaga, wyobraźnia i odpowiedzialność - po raz pierwszy w nowszych dziejach - skupiłyby się wokół realizacji dalekosiężnych zadań ogólnospołecznych.

Serbska Akademia Nauk i Sztuk Pięknych, jak wielokrotnie przedtem, wyraża swoją gotowość włączenia się, szczerze i ze wszystkich sił, w to przełomowe dzieło, dziejowy obowiązek naszego pokolenia

Belgrad, 26 września 1986

x
x x

Tekst, który publikujemy, stał się powodem jednego z najgłośniejszych skandali politycznych w Jugosławii potitowskiej. Dzieje dokumentu, zwanego jako "Memoriał Serbskiej Akademii Nauk" sięgają roku 1985. Wówczas to, na sesji Zgromadzenia SAN poświęconej kryzysowi społecznemu i gospodarczemu kraju, stwierdzono że Akademia "dysponuje solidnymi podstawami, by poważnie pomóc w rozwiązaniu kryzysu". Postanowiono też "sporządzić listę najbardziej palących problemów społecznych, politycznych, gospodarczych, bytowych, naukowych i kulturalnych w formie memoriału adresowanego do wszystkich czynników odpowiedzialnych za sprawy publiczne w Serbii i w Jugosławii". Zgromadzenie SAN podkreśliło również, że Akademia skupia wystarczający potencjał intelektualny, który można by lepiej wykorzystać przy naukowym rozpoznaniu społecznych i gospodarczych źródeł kryzysu, ale że jej kadry są wykorzystywane niedostatecznie.

Już 13 czerwca 1985 roku Prezydium Serbskiej Akademii Nauk powołało komitet redakcyjny, którego zadaniem było przygotować Memoriał w sprawie bieżących problemów społecznych. W skład komitetu weszli następujący członkowie SAN: Pavle Ivić, Antonije Isaković, Dušan Kanazir, Mihailo Marković, Miloš Macura, Dejan Medaković, Miroslav Pantić, Nikola Pantić, Ljubiša Rakić, Radovan Samardžić, Miomir Vukobratović, Vasilije Krešić, Ivan Maksimović, Kosta Mihalović, Stojan Čelić oraz Nikola Cobejlić. Efektem pracy komitetu redakcyjnego, który korzystał z pomocy wielu konsultantów naukowych i członków SAN był liczący 74 strony dokument opisujący obecną sytuację społeczną Jugosławii i Serbii ze szczególnym uwzględnieniem źródeł i przyczyn kryzysu. Zdaniem komitetu "Memoriał" w tej formie miał charakter roboczy i nieostateczny. Nie był on przewidziany do rozpowszechniania.

W tej fazie nastąpiło wydarzenie, które całą sprawę przekształciło w aferę polityczną na skalę dotąd niespotykaną. W końcu września 1986 r. prasa belgradzka, a po niej wszystkie jugosłowiańskie mass media, doniosły o "kontrrewolucyjnych poczynaniach grupy członków SAN na czele z Antonije Isakovićem". Znanymi nam również w Polsce metodami rozpętano niesłychaną nagonkę propagandową przeciwko autorom "Memoriału", żądając zmian personalnych w Akademii i zdystansowania się jej od jej własnego opracowania.

18 grudnia 1986 r. odbyła się nadzwyczajna sesja Zgromadzenia SAN. Miano ocenić sytuację "po bezprawnym ujawnieniu tekstu 'Memoriału'", a także rozpatrzyć votum nieufności dla najwyższych władz Akademii. Po burzliwej dyskusji, w której głos zabierali zarówno reprezentanci stanowiska władz, członkowie SAN od dawna związani z establishmentem, jak i reprezentanci stanowiska, że "Memoriał" jest legalnie sporządzonym i nie podlegającym zewnętrznej ocenie dokumentem Akademii, przegłosowano votum zaufania dla prezydium SAN.

Ale na tym sprawa się nie kończy. Nieudana próba kompromitacji SAN i wyizolowania z jej łona "grupki kontrrewolucyjnych wicchrzycieli", czyli, mówiąc po prostu, próba spacyfikowania niegrzecznych uczonych metodą policyjnej prowokacji oznacza początek nowej fazy w konflikcie autorytarnej władzy ze środowiskiem twórczym. Konflikt ten, stary jak komunistyczna Jugosławia, sprowadzał się poprzednio do starć z pojedynczymi osobami bądź grupami o statusie uznawanym za nielegalny /np. Komitet Obrony Wolności Słowa/. Teraz przybrał inny wymiar. Decyzja o votum zaufania dla prezydium SAN /jej prezesem jest współautor "Memoriału", prof. Dušan Kanazir/ znaczy, że zachowawcza i groźna dla kraju polityka aparatu partyjnego spotkała się ze sprzeciwem legalnej i obdarzonej wielkim społecznym zaufaniem instytucji - Serbskiej Akademii Nauk. Proces przechodzenia na pozycje krytyczne całych instytucji reprezentujących miarodajne środowiska może się okazać dalekosiężny w skutkach.

I jeszcze jedno - tekst przez nas publikowany ma charakter pierwodruku. Żadna z gazet jugosłowiańskich nie odważyła się go opublikować, choć kopie rozesłano do wszystkich redakcji. Kopia, z której skorzystaliśmy, była miejscami nieczytelna, co zaznaczyliśmy. Tekst liczący w oryginale 74 strony postanowiliśmy skrócić do jego części traktującej o problemach ogólnojugosłowiańskich. Pominęliśmy część, w której omówiono sytuację społeczną i gospodarczą w Serbii /30 stron/.

Redakcja

Myślenie
albo
pragnienie samozastanowienia

WYWIAD SIEGPRIEDA LENZA Z LESZKIEM KOŁAKOWSKIM

Lenz: Panie Kołakowski, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o panu, a było to w połowie lat pięćdziesiątych, po "polskim październiku", był pan już wtedy legendą, legendą dla mnie i wielu ludzi w moim kraju. Był zatem młody profesor, pewien młody profesor filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, u stóp którego siadywali studenci, młodzi ludzie, przeżywający wówczas pewien określony kryzys, kryzys ideologiczny. Mieli nadzieję, że znajdą u pana, młodego profesora filozofii, wyjaśnienie powodów swego zwątpienia lub też raczej, że to właśnie pan wątpliwości te w nich obudzi. Tę sytuację mogę sobie bardzo dobrze wyobrazić. Czy nie czuł się pan wtedy lub czy nie czuje się pan dzisiaj, patrząc wstecz trochę, w sokratycznej roli uwodziciela młodzieży, uwodziciela ku prawdzie?

Kołakowski: To bardzo pochlebne porównanie. Ale w roli uwodziciela? No cóż...

L.: ... którego celem była prawda...

K.: Na pewno nie fałsz. Ale rola uwodziciela młodzieży w państwie, w którym istnieje jedna wiążąca ideologia państwowa polega przede wszystkim na obnażaniu języka, języka który przenika wciąż z wewnątrz na zewnątrz, by przeciwstawić się drugiemu językowi, językowi możliwym. Możliwi obawiają się analizy języka, demaskowania środków językowych, za pomocą których pragną działać. Jest to próba powiedzenia rzeczy bardzo prostych, czasami nawet prymitywnych, które jednak w pewnej określonej sytuacji ideologicznej mają znaczenie objawienia.

L.: Ale zanim doszło do obnażania języka, musiał pan sam wiele rzeczy poznać i zrozumieć. Myślę przy tym o fakcie, że początkowo, po pańskich doświadczeniach z narodowym socjalizmem, po doświadczeniach z niemieckimi siłami okupacyjnymi w Polsce, wybrał pan swój kierunek polityczny. Był pan komunistą, marksistą i z tej pozycji atakował pan ostro katolicyzm. A potem, pewnego dnia, podał pan w wątpliwość również marksizm. Kiedy zaczął się u pana ten proces i czym został on spowodowany?

K.: Czym został spowodowany?

L.: Mam tu na myśli, jeśli wolno mi to powiedzieć, pewien obraz, pewną przypowieść pańskiego rodaka Czesława Miłosza z jego książki "Zniewolony umysł". Opowiada on w niej historię Murti-Binga, fikcyjnego wschodnioazjatyckiego państwa, w którym wszyscy ludzie otrzymują pigułki szczęścia i są dzięki temu zawsze szczęśliwi. Każdego dnia inżynierowie państwa aplikują każdemu to, co potrzebne, by świat ukazywał mu się piękny, w różowym świetle, bez problemów, bez komplikacji. Pewnego dnia jeden z mieszkańców dostaje wymiotów, zwraca tabletkę i widzi nagle świat takim, jakim on rzeczywiście jest. Dosięgli go wątpliwości. Porzucenie nastąpiło przez ucisk w żołądku. Jest wiele sposobów, by poznanie mogło się dopełnić. Może nas ono pokonać, podejść, może powstać pod naciskiem rzeczywistości, niezależnie od doświadczenia. Jak było z panem wtedy?

L.: Nigdy nie byłem w pełni ortodoksyjny, nawet wtedy, gdy byłem jeszcze względnie dobrym członkiem partii. Mimo to byłem wciąż atakowany, nie przez prasę, lecz przez partię z powodu moich różnych heretycznych poglądów, zwłaszcza na polu filozoficznym, mniej na politycznym. Zarzucano mi, że nie jestem leninistą. Przypominam sobie zebrania, na których chodziło przede wszystkim o moje "błędy". Atakowano mnie, bo atakowałem Żdanowa, i tak dalej. Ale przecież byłem członkiem partii i człowiekiem w większym lub mniejszym stopniu politycznie pewnym. Pytał pan o porzucenie, które powstaje pod naciskiem rzeczywistości: Muszę powiedzieć, że rzeczywistość jest zawsze szabsza od ideologii, tzn. od takiej ideologii, która rości sobie prawo do wszystkiego.

L.: Nie próbował pan poprawiać ideologii?

K.: Nie. Ideologia mająca pretensję do wszystkiego może się praktycznie zawsze odizolować od rzeczywistości. I to z dwóch powodów. Po pierwsze: czyni nas ona zdolnymi do niezauważania w ogóle faktów.

L.: ... ale przecież tylko do pewnego momentu...

K.: ... i to do tego wbrew naszym interesom. Ślepotą jest rzeczą pierwszą. Drugą rzeczą jest to, że ideologie rozszarpc sobie prawo do wszystkiego rozwijają szczególną zdolność przyswajania faktów. Nie muszą ich negować, bowiem mogą interpretować je w sposób całkowicie niezgodny z rzeczywistością. W grę wchodzi tutaj dialektyka. Empiria przekonuje, że ludzie cierpią głód. Ale dialektyka, że jest inaczej: że żyje im się wspaniale, że mają wysoki standard życiowy. Według empirii jesteśmy mniejszością, ale według dialektyki większością, i tak dalej. Wszystko można przekreślić kilkoma słowami, jeśli się ich tylko odpowiednio używa. Rola ideologii polega właściwie na tym, że daje ona ludzkom możliwość bycia ślepyimi lub niewrażliwymi na fakty.

L.: Ale jak to było wtedy z panem? Czy chodziło o konkretne spostrzeżenia, że rzeczywistość była inna, niż głosiła ideologia?

K.: Ależ oczywiście, oczywiście! Chciałem tylko dokładnie wyjaśnić, że rzeczywistość okazuje się słabsza od ideologii.

L.: Ale tylko przez określony czas. Wszyscy stoimy przecież o bitema nogami na ziemi, jesteśmy poddani presji rzeczywistości i musimy w końcu, czybysię pan ze mną zgodził, uznać jej terror. Jest pan filozofem, który niewiele robi sobie z pewnością, a także ze stałości przekonania. Czy wtedy, kiedy zbierali się wokół pana studenci i pan nauczał tego, co przeciwstawne do poglądów ortodoksyjnych, nie miał pan wrażenia, że stracił pan dającą panu pewność, wiarę i przekroczył granicę ziemi niczyjej? Czy nie poczuł się pan nagle samotny?

K.: Nie, politycznie nigdy, politycznie nigdy. Zawsze znajdowali się godni zaufania przyjaciele. Ci zawsze się znajdują.

L.: A w pańskim myśleniu?

K.: Politycznym?

L.: Nie, w pańskim filozoficznym myśleniu?

K.: To jest zupełnie inna sprawa. Poza tym: nie kocham słowa filozofia czy filozoficzny, ponieważ boję się, że ktoś mógłby mnie zapytać co ono oznacza i ja nie mógłbym mu na to pytanie odpowiedzieć. Ale oczywiście używam go od czasu do czasu.

L.: Ale znane są panu oczywiście różne odpowiedzi na to pytanie.

K.: Owszem, tak istotnie jest. Ale co do pańskiego pytania: próbowałem w mniejszym lub większym stopniu sam rozwikłać te problemy, to jest chyba normalne. Na Uniwersytecie było inaczej, rzecz jasna, dyskutowaliśmy. To były długie dyskusje nad kwestiami filozoficznymi. To było coś w rodzaju wspólnoty historyków filozofii w Warszawie. Jeśli chodziło o grupy interesujących nas zagadnień, to przejawialiśmy mniej lub więcej zbieżne tendencje. O ile nie można tego powiedzieć o filozofii w sensie prób rozwikłania zagadek metafizyki, to dotyczyło przynajmniej studiów historycznych.

L.: Poddawał pan w wątpliwość katolicyzm w tym samym stopniu, to znaczy w równie radykalnej formie, co marksizm. Czy postępował pan tak również z filozofią? Z pańską własną filozofią? Czy z tak radykalnego zwątpienia bierze swój początek pańskie filozofowanie?

K.: Tak, tak, to jest możliwe. Na pańskie pierwsze pytanie chciałbym odpowiedzieć następująco: to, co napisałem w roku 1950 lub 1952 przeciwko katolicyzmowi wydaje mi się dzisiaj głupie, bardzo głupie. Do tego muszę przyznać się otwarcie. To była krytyka z racjonalistycznego punktu widzenia, tak, jak robiło to przedtem i robi teraz wielu ludzi, i naturalnie o zabarwieniu politycznym. Z filozoficznego punktu widzenia była to krytyka bardzo agresywna, ale w gruncie rzeczy bardzo racjonalistyczna taka sama, jaką posługiwałem się atakując marksizm. Te ataki na katolicyzm nie były w końcu tak bezowocne, ponieważ zmuszony by-

łem wiele czytać, czytać mnóstwo literatury katolicko-teologicznej i filozoficznej. W tym sensie nie był to czas stracony, nawet jeżeli muszą teraz stwierdzić jednoznacznie, że było to szkodliwe, nie tylko filozoficznie kiepskie czy nieprawdziwe. Mianowicie z powodów społecznych. Dzisiaj widzimy wyraźnie, że katolicyzm był w Polsce w ciągu całej historii powojennej głównym tryanikiem, któremu zawdzięczamy, że społeczeństwo, kraj nie zostały zsovietyzowane. Jeżeli nawet katolicyzm ze względów filozoficznych czy intelektualnych dawał się krytykować, to był on przecież jednak najważniejszym elementem oporu przeciw sovietyzacji Polski. I to jest moment rozstrzygający.

L.: Wróćmy jeszcze raz do początku, panie Kołakowski. O Galileusz opowiadano, że kiedy skonstruował swoją lunetę i zaprosił kilku ludzi, aby przez nią spojrzeli, musiał od nich wysłuchiwać - Nie, dziękujemy, nie chcemy...

K.: ... wiemy lepiej...

L.: Nie tylko. Przyczyna była jeszcze inna, obawiali się, że może im się ukazać lodowato zimne niebo, obnażona nicłość. Bali się, że zostaną pozbawieni ciepła, ochrony, jaką zapewniał im obraz świata, do którego się przyzwyczaili.

K.: Jeżeli chodzi o tych ludzi, którzy - jak o nich opowiadano - nie chcieli spojrzeć przez lunetę, to byli to przecież uczeni, porządni ludzie, o ile to prawda, że się obawiali! Gdyby byli to ludzie szkoleni ideologicznie, powiedzieliby: widzimy, ale to co widzimy nie istnieje...

L.: ... jest fikcją...

K.: ... lub też, o ile nie szkodzi to ideologii, może być wyrażone w sposób "należyty", to znaczy pozbawiający ten fakt znaczenia, odwartościowujący go.

L.: Panie Kołakowski, kiedy wówczas w Warszawie siedzieli wokół pana studenci i przysłuchiwali się panu, "uwodzącemu ku prawdzie", jak reagowali wówczas ci studenci, w tej ściśle określonej sytuacji politycznej, na podsuwane im wątpliwości i w szerszym tego słowa znaczeniu proponowany im przez pana sposób myślenia?

K.: Przez cały czas, który spędziłem w Warszawie miałem bardzo dobry kontakt ze studentami i żadnymi specjalnymi trudnościami. Nie wykładałem przecież nauk politycznych, nauczałem historii i filozofii. Prowadziłem wykłady i seminaria o rzeczach całkiem abstrakcyjnych i znacznie oddalonych od polityki. Ale w społeczeństwie, w którym rości się prawo do posiadania jednej wszechogarniającej ideologii państwowej, która siłą musi być narzucona, są politycznie istotną uchodzić każda forma nie określonej ideologicznie analizy czy dyskusji.

L.: Właśnie do tego zmierzałem. Czy nie jest tak, że można mówić o teraźniejszości posługując się przeszłością, posługując się historią myśli, filozofią? W gruncie rzeczy wszystko

jest polityką, każda idea, każde objawienie myśli ludzkiej. Czy nie można przyjąć, że studenci, którzy do pana przychodzili czekali właśnie na to, że historia filozofii da im klucz do interpretacji dnia dzisiejszego?

K.: Niekoniecznie. Nie było w żadnym wypadku moim zamiarem stałe myślenie o sprawach politycznych, kiedy na przykład mówiłem o historii, religii czy filozofii XVI lub XVII wieku. To nie był dla mnie żaden pretekst, by wypowiadać się o aktualnych sprawach politycznych. Nie, to nie o to chodziło.

L.: Tak, ale czy nie dzieje się to mimo woli? Mam na myśli to, że układ, konstelacja polityczna, wszystko, co zostaje wypowiedziane uzyskuje od razu pewną określoną wartość? I czy, jeśli pan na przykład wychwalałby w państwie despotycznym wielkiego inkwizytora Torquemadę, czy nie zawierałoby to natychmiast, mimowolnie, politycznego komentarza do rzeczywistości?

K.: W państwie totalitarnym wszystko staje się samo przez się polityczne. Kiedy partia, jak się to rzecz miała w Polsce i jak ma się jeszcze dzisiaj w ZSRR, ustala jedyne obowiązujące przepisy dla malarstwa, wtedy na przykład malarstwo abstrakcyjne staje się aktem politycznym. Malarze, tworząc takie obrazy, nie mają nic politycznego na myśli, a mimo to obrazy te są uznawane za polityczne i jako takie też są oceniane. Chciałbym podać jeden przykład. Znam pewnego armeńskiego malarza, który wyemigrował ze Związku Radzieckiego. Opowiedział mi historię swoich cierpień. Chociaż nie był nigdy związany z tzw. ruchem dysydenckim i nie udzielał się politycznie, tylko malował w sposób niekonformistyczny, chciano go po prostu zabić. Mimo, że był już dosyć stary i schorowany wtłoczono go siłą do oddziału komandosów. Powiedziano mu, że jego spadochron nie otworzy się przy pierwszym skoku. Uniemożliwił to podając się za chorego psychicznie i otrzymując skierowanie do zakładu dla umysłowo chorych. Później dano mu do zrozumienia że powinien wyemigrować, w przeciwnym wypadku może zupełnie przypadkowo zginąć w wypadku. Wyemigrował, oczywiście jako Żyd, chociaż Żydem nie jest. Ale pan wie, że Związku Radzieckiego wyemigrować można tylko pod pretekstem żydowskiego pochodzenia. Chciałbym jednak podkreślić, że nie dotyczy to Polski, tam tego rodzaju stosunki, o ile mi wiadomo, nie panują.

L.: Jeżeli pan jako filozof zdaje się być zakłopotany skoro tylko pyta się pana o filozofię, o pewien określony typ filozofowania, to się nie dzieje to oczywiście bez powodu. Ponieważ jednak mam przed sobą filozofa muszę skierować do niego pytanie o sens filozofii. Kiedyś bawiło to pana, że wielu filozofów znajduje się pod presją i poczuwa się do obowiązku usprawiedliwienia się i wierny w konieczność tłumaczenia tego, co robi. Co jest tego przyczyną? Od nauk ścisłych, od cybernetyki, fizyki, od mikrobiologii dowiadujemy się na przykład, że mniej więcej co siedem lat zasób wiedzy, który możemy uznać za mniej lub bardziej pewny, powiększa się w dwójnasób. Filozofia nie zna takiego ryt-

mu przyrostu. Czy nie zależy to przypadkiem od tego, że niektórzy filozofowie sądzą, że filozofowanie wymaga usprawiedliwienia?

K.: Tak, tak, to jest ta jaskrawa różnica między naukami ścisłymi a filozofią. Uważam, że coś takiego jak kumulacja, kapitalizacja takiego obszaru wiedzy jak filozofia zupełnie nie istnieje. Podobnie, jak nie dotyczy to malarstwa, literatury. Tam nie jest po prostu możliwy postęp, to nie miałoby sensu.

L.: Dante jest w literaturze wartością samą w sobie.

K.: Tak, podczas gdy w nauce teorie lepsze i bardziej rozbudowane zastępują wcześniejsze. A zatem dla celów czysto naukowych nie trzeba znać teorii wcześniejszych. Natomiast z ich rozwojem historycznym trzeba się oczywiście zapoznać.

L.: Czy trzeba znać Arystotelesa, czy trzeba znać Konfucjusza będąc współczesnym filozofem?

K.: Myślę, że tak. W nauce trzeba znać rozwój historyczny. Tyle, że dzieła filozofii, sztuki i literatury mają inne znaczenie. Dante nie został zastąpiony przez Goethego. Każdy wielki pisarz to dzieło samo w sobie. Można mówić oczywiście o kumulacji w sensie powiększającego się bogactwa kultury, ale nie w sensie postępu. I wszyscy wielcy filozofowie, z których myśli dzisiaj czerpiemy, każdy z nich dał nam dzieło sztuki i jest czymś samym w sobie wartościowym i niezastąpionym...

L.: W jakim celu filozofuje się zatem? Pańskim nauczycielem i wzorem jest Spinoza. Jest on dla pana wzorem pod pewnym względem.

K.: Tak, ale nie w tym sensie, żebym podzielał jego poglądy filozoficzne, zgadzał się z nimi rzeczywiście. Jest on dla mnie przykładem wielkiego ducha, który do końca usiłował być wiernym swoim koniecznościom filozoficznym.

L.: Spinoza wierzył, że natura nie ma celu. Czy cel ten posiada filozofia?

K.: Tak.

L.: Ale jaki? Czy da się on przewidzieć?

K.: Według Spinozy?

L.: Tak.

K.: Filozofia, którą uprawiał i której nauczał miała za cel pogodzenie się z rzeczywistością. Miała nas nauczyć uznawać rzeczywistość taką, jaka ona jest. A nawet więcej: nauczyć nas kochać ten absolutnie konieczny porządek świata, który może i właściwie musi nas - mnie osobiście też zniszczyć. Taki jest pogląd Spinozy.

L.: A jaki cel postawiła sobie filozofia po Spinozie? Mam na myśli filozofię Kołakowskiego.

K.: Oh!

L.: Porządek Spinozy został przyjęty z gory. Camus ten porządek poddaje w wątpliwość. Porządku nie można znaleźć, a ponieważ nie można, nie można odnaleźć też sensu w świecie. To jednak oznacza, że człowiek znajduje się w sytuacji absurdu. Podobnie jak i świat. Pan spotkał się z Camusem w pół drogi.

K.: Tak, w pół drogi, ale ta druga połowa jest również ważna.

L.: Naturalnie dojdziemy jeszcze i do tego - do mitu.

K.: Powiedziałbym tak: - tak myślę i czuję - wysiłek filozofii, pracy myśli najczęściej zmierza ku temu, by wykazać iluzoryczność prób wyobrażenia sobie świata jako racjonalnego porządku. Tego nie da się zrobić na podstawie empirycznej obserwacji i racjonalistycznego myślenia. Sądzę, że jest to niemożliwe. Odkąd trochę więcej znam się na historii, nie jestem w ścisłym tego słowa znaczeniu historykiem i moja znajomość historii jest oczywiście bardzo ograniczona, ale odkąd znam się na niej trochę, jestem przekonany, że jest ona łańcuchem przypadków, które absolutnie nie dadzą się podporządkować jakiemś określönemu porządkowi.

L.: Żadnemu prawu.

K.: Tak. Historia jest pasmem przypadków. Nie istnieje porządek, jakaś oczywista wcześniej przewidywalna kolejność, prawa historyczne. Historia nie jest drogą ku zbawieniu. To po prostu bzdura, istnieje tylko przypadek. Nie twierdzę, że nie ma przyczyny, związki przyczynowe naturalnie istnieją.

L.: I istnieją odpowiedzialni, także za historię.

K.: O tak, ale to zupełnie inna sprawa. Wie pan, jeżeli przyjrzymy się ciągowi wydarzeń historycznych, które miały rozstrzygać o późniejszym rozwoju, zauważymy od jakich drobiazgów one rzeczywiście zależały. Nie było wcześniej przesądzone, żadne domniemane prawo historyczne nie zdecydowało o tym, że Grecy wygrają bitwę pod Maratonem. A nawet było odwrotnie. Prawdopodobieństwo przemawiało za tym, że wygrają właśnie Persowie. I otóż to wydarzenie miało decydujące znaczenie dla całej późniejszej historii Europy. Bez zwycięstwa Greków pod Maratonem nie mielibyśmy kultury greckiej takiej, jaką teraz mamy. Albo inny przykład. Jeżeli przyjrzeć się historii kościoła wschodniego w momencie dla niego przełomowym, tzn. w roku 1504, kiedy to kościoły wschodni i łaciński oddzieliły się od siebie, główną kwestią sporną nie był wtedy problem filioque, lecz to - nie jestem pewny, czy wyrażam się w sposób poprawny, proszę mnie poprawić - czy do komunii świętej należy używać chleba kwaśnego czy przesianego. To było przedmiotem sporu w tym momencie! Naturalnie kryły się za tym inne, bardzo ważne powody, ale to właśnie było bezpośrednią przyczyną schizmy. Nic nie było wcześniej przesądzone. Przypadek mający nadzwyczajne znaczenie dla całej późniejszej historii kultury i politycznej historii Europy. Albo jeszcze inny przykład, który dotyczy tym razem obu naszych narodów, pols-

kiego i niemieckiego, bitwa o Warszawę w 1920 roku. Nie było przesądzone wcześniej, że wygrają Polacy. Wręcz przeciwnie, istniały powody, dla których przewidywać należało raczej zwycięstwo Rosjan. W tym przypadku Niemcy zostałyby zdobyte przez bolszewików i cała historia Europy po roku 1920 wyglądałaby oczywiście zupełnie inaczej. Przypadki.

L.: Reasumując: historia nie ma celu. Historia nie ma happy-endu. Historia nie ma sensu. Jest ona wynikiem ludzi, ich działań, jest łańcuchem przypadków. Czy można tu mówić o przypadkach organizowanych?

K.: Niezupełnie pojmuję, co ma pan na myśli?

L.: Przypadki, którymi czasami się manipuluje. Ale to oddalanas chyba od naszego pytania. W jakiej sytuacji znajduje się człowiek, pojmujący siebie jako istotę historyczną, gdy widzi historię tak zdewaluowaną, jak ma to miejsce u pana?

K.: Nie powiedziałbym, że obniżyłem wartość lub zdewaluowałem historię ludzkości.

L.: Tak, ale człowiek, mając na względzie historię, taką historię, którą nie rządzi żadne fatum, nie kieruje żadne przesądzenie, w której nic nie jest zdeterminowane, musi określać się wciąż na nowo.

K.: Że nie istnieje przesądzenie, tego nie powiedziałem.

L.: Tak, wiem o tym. Próbuje zdefiniować tylko nową sytuację, w której znalazł się człowiek.

K.: Być może przesądzenie istnieje, ale nie możemy odkryć go w sposób empiryczny... Jest możliwe, że historia posiada cel, jest możliwe, że jednak rządzi jakieś przesądzenie, ale nie da się tego zauważyć. W każdym razie nie za pomocą obserwacji empirycznej i racjonalistycznego myślenia. To jest sprawa wiary, to jest sprawa mitu. Można w to wierzyć. Nie można natomiast wierzyć, że to się da udowodnić... Jest możliwe, że "człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi".

L.: Głównym motywem pańskiej filozofii jest mit. To z niego wyrasta filozofia odpowiedzialności. Człowiek, który staje wobec świata bez sensu, wobec historii bez sensu ma przecież określone pragnienia, określone potrzeby, ale nie może zadowolnić się empirią i racjonalistycznymi poglądami. Osiągnięcia nowych nauk ścisłych także nie pomagają mu przewyciężyć stanu osamotnienia. Wciąż gromadzona wiedza nie ułatwia mu zadowolenia się w świecie. W czym widzi pan możliwość człowieka, by mimo to angażował się, próbował wybrnąć z tej sytuacji?

K.: W godzeniu się ze światem.

L.: To za wiele, nie idźmy za daleko. Może wystarczy świat uczynić znośnym. W pańskiej filozofii odpowiedzialności istnieje takie założenie, by człowiek pojmował świat jako współdziałanie. A siebie jako dłużnika. Tak przynajmniej rozumiałem, że człowiek jest wobec świata dłużnikiem. W tym miejscu akceptuje pan

kierkegaardowskie pojęcie wiary, a mianowicie, że należy wziąć na siebie istniejącą winę i przekazać to dalej, by stało się postawą wobec świata. Żeby stało się nie tylko sposobem odbierania świata, ale również postawą wobec niego. I to bycie dłużnikiem otwiera przed człowiekiem określone możliwości. Co człowiek ten jednak wybierze w momencie, w którym przeżywa historię tak, jakby nie mógł już z niej korzystać? Wypadł z historii, utracił dawną wiarę i stwierdził, że poznanie rozumowe nie jest mu w stanie pomóc. I tu rozpoczyna się pańska oferta mitu. Co pan przez nią rozumie?

K.: Mit jest dla mnie konstrukcją myślową, która wprowadza w świat sens, porządek i celowość. Tego nie można jednak uzyskać w sposób sztuczny.

L.: Tylko przez wiarę?

K.: Tak. Wiara nie jest czymś, co można stworzyć w sposób sztuczny. Nie można założyć, że istnieje potrzeba wiary i że potrzeba ta może zostać zaspokojona w taki sposób, w jaki zaspokaja się głód. To znaczy: jestem głodny, więc jem; chcę wierzyć, więc wierzę. Tego naturalnie nie można zrobić w ten sposób.

L.: Do wiary nie dochodzi się przez postanowienie, to oczywiste.

K.: Ona musi istnieć. Nie można stworzyć jej na zamówienie. Ale istnieje ona zawsze, jej potrzeba jest bardzo silna i nigdy nie wygaśnie. Wiemy, że kiedyś musi nastąpić koniec świata, w którym żyjemy. Przyjdzie taka chwila, w której Ziemia zostanie zniszczona, ostatni egzemplarz Szekspira spalony, a ostatnia rzeźba Michała Anioła zgruchotana. Żadna z tych rzeczy nie może zostać uratowana na zawsze. Koniec musi przyjść, to jest nieodwracalne. Czy będzie to śmierć termiczna, czy stanie się to przez ewolucję, która doprowadzi nas do "czarnych dziur". Nie mogę oczywiście przedyskutować tego w sposób fachowy. Ale to jest to, co przewidują naukowcy.

L.: Jest to naturalnie również element wiary.

K.: Jesteśmy pewni, że koniec musi nadejść. Nic nie jest wieczne. Kiedy zastanawiam się nad sytuacją, odczuwam ją w sposób, który trudno mi zdefiniować.

L.: Ma pan na myśli napięcie między nieskończonością a skończonością?

K.: Tak, napięcie między potrzebą wiary, że to, co czynimy, dobro czy zło, gdzieś zamienia się w kapitał. Że, w sposób negatywny lub pozytywny, przyczyniamy się do budowania świata wartości. Tego nie da się oczywiście stwierdzić empirycznie. Doświadczenie też nam tu nie będzie przydatne.

L.: Ponieważ wartości są same w sobie pojęciem spornym, ponieważ zużywają się i mogą ulegać dewaluacji. Na to wskazuje sama historia.

K.: Wszystko jest relatywne. Koncepcję alternatywną może stanowić tylko mityczny porządek świata.

L.: W jaki sposób, będąc współczesnym filozofem, przekazuje pan mity? Filozofować i myśleć oznacza także przekazywać i głosić. Czym jest dla pana pojęcie mitu? Drodziny, miłość, śmierć - czy to nie nowa metafizyka?

K.: Co kiedyś rozumieliśmy normalnie pod słowem metafizyka, było próbą skonstruowania porządku albo celowego ustroju świata za pomocą środków racjonalnych. W tym sensie nie wierzę w możliwości nowej metafizyki. Natomiast metafizyka jako sposób interpretacji lub tłumaczenia mitu jest naturalnie czymś możliwym. Wie pan przecież co Jaspers pisał o wierze filozoficznej. Nie rościł pretensji do tego, by wiara filozoficzna mogła być nauką w takim sensie jak np. nauki przyrodnicze. Jest ona raczej aktem uczestnictwa.

L.: Panie Kożakowski, czy mit posiada szansę, by stać się rzeczywistością? Rzeczywistością silniejszą od teorii?

K.: On nie musi być silniejszy. I pod jakim względem?

L.: Próbuję się na przykład wartości określające człowieka wywodzić z rozważań społeczno-teoretycznych. Pan przeciwstawia temu inną wartość - mit. Czy sądzi pan, że mit jest w stanie temu sprostać? Czy może potwierdzić rzeczywistość, którą mu pan przypisuje?

K.: Tak zawsze działało się w historii ludzkiej. Sądzę, że systemy wartości, sposoby jakimi ludzie starają się poddawać moralnej ocenie rzeczywistość, nigdy nie wywodziły się po prostu z rzeczywistości, choć były z nią jednak związane.

L.: Czy nowy mit okazałby się zdolny do życia?

K.: Nowy mit - nie bardzo w to wierzę. To jest coś innego. Widzimy wszyscy, że spuścizna wielkiego kościoła od dawna jest kwestionowana i że wielu ludzi nie znajduje w niej tego, czego szuka. Lubi też nie znajduje odpowiedzi na pytania, które ich dręczą. Istnieje sporo nowych religii, nowych sekt, którym nie rokują jednak wielkiej przyszłości. Niektóre z nich są dziwaczne, ekstrawaganckie, absurdalne, wręcz niebezpieczne. Nie wszystkie, lecz wiele z nich znika po krótkim czasie. Ta profileracja, rozrastanie się tkanek, jest również dowodem na to, że ciągle daje o sobie znać potrzeba czegoś innego niż sama doczesność, i że być może kościoły i przekazywana przez nie nauka okazały się niewystarczające lub za słabe w konfrontacji z tą ludzką potrzebą. Skoro jednak nie można sztucznie tworzyć żadnych mitologii...

L.: ... można tylko próbować ożywiać albo wkrzeszać dawne.

K.: Tak. I jeżeli to się nie uda, dochodzi do strasznych zagrożeń.

L.: W pańskiej filozofii mit wiąże się z odpowiedzialnością. Inaczej mówiąc: oczekuje pan, że mit skłoni człowieka do tego,

by zechciał wziąć na siebie odpowiedzialność za świat - odpowiedzialność trwałą. Czy tak?

K.: Tak.

L.: W dzisiejszym świecie?

K.: W indywidualnych przypadkach jest to z pewnością możliwe. Nie wiem, czy jest możliwe przywrócenie starej mitologicznej tradycji, jej siły, w takim stopniu, aby rzeczywiście mogła oddziaływać uniwersalnie. Twierdzę tylko, że w obumieraniu tradycyjnej wiary tkwi niebezpieczeństwo. Myślę w tej chwili o świecie chrześcijańskim, nad którym to niebezpieczeństwo, według mnie, zawisło. Nie przeczę wcale, że i mitologie niosą ze sobą niebezpieczeństwo i ryzyko. Wiele mitologii kryje w sobie ogromny potencjał dla rozwoju totalitaryzmu. Potencjał, który jako kościół, jako zorganizowany mit pragnie sobie podporządkować wszystkie obszary życia; również i to może doprowadzić do totalitarnej niewoli. Widzimy to właśnie dzisiaj: próbę założenia w Iranie państwa islamskiego. Nie chciałbym nic przepowiadać, ale sądzę, że to się nie uda, jak było zaplanowane. Ryzyko w każdym razie zawsze istnieje, większe czy mniejsze w różnych tradycjach religijnych. Irańska próba ukazała chyba szczególnie wyraźnie to niebezpieczeństwo, a to dlatego, że islam i jego tradycja nie uwzględniają podziału na sfery świętą i świecką. Zawsze były one traktowane jako jedność. W Koranie i innych dokumentach islamu wszystkie dziedziny życia świeckiego podlegają ściślej regulacji. Nie tylko życie rodzinne.

L.: Prawo karne na przykład.

K.: Prawo karne, piące i wiele innych. Pewna tradycja totalitarna obecna była również i w chrześcijaństwie i ujawniała się od czasu do czasu. Chrześcijaństwo kryło w sobie jednak zawsze możliwość oddzielenia kościoła od państwa, rzeczy sakralnych od świeckich, coś co ja uważam za zdrowe i niezbędne. Ugodnie z maksymą: Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie. Ta ugruntowana w Nowym Testamencie możliwość była w późnym okresie rozwoju chrześcijaństwa umiejętnie wykorzystywana, szczególnie tam, gdzie państwo było partnerem silniejszym.

L.: Chciałbym jeszcze raz wrócić do mitu. W swej filozofii widzi pan dzisiejszego człowieka wyswobodzonego od odpowiedzialności. Stwierdza pan, że w dzisiejszym świecie wszystko zostaje człowiekowi odebrane. Każdy rodzaj odpowiedzialności - np. kiedy jest chory lub karygodnie zaniedbuje swoje ciało i nie traktuje go tak, jak trzeba. Wszystko zostało mu w naszej cywilizacji odebrane, tzn. wszelki rodzaj odpowiedzialności za siebie i tym samym również za wspólnotę. Czy jest pan również orędownikiem tego, by przez mit narodziło się poczucie wspólnoty?

K.: Jest to możliwe. Sądzę, że jest to prawdopodobne. Nie twierdzę, że to rzeczywiście nastąpi. Zbyt wyraźnie widzę bowiem tendencję w organizacji naszych społeczeństw do profesjonaliza-

cji wszystkiego, do przekształcania zadań etycznych w organizacyjne itp. Z drugiej strony wielu ludzi widzi niebezpieczeństwo takiego rozwoju, w którym wszechmocne państwo - karykatura wszechmocnego Boga - będzie za wszystko odpowiedzialne: to byłby właśnie totalitaryzm. Nie znaczy to jednak, że ta zgubna tendencja koniecznie musi zwyciężyć! Można temu przeciwdziałać.

L.: Bezcelowość historii, przypadek historii. A mimo wszystko pojawia się u pana nagle element utopii. Czy może się myłą?

K.: Nie myli się pan. Oczywiście zależy to od definicji słowa. Ale tak ja określam utopię, i w czym się zgadzam z wieloma innymi, którzy na ten temat myśleli lub pisali, utopia jest czymś, co odpowiada etymologii tego słowa: miejscem, którego nigdzie nie ma.

L.: Nieokreślonym geograficznie.

K.: Nieokreślonym geograficznie, tak. A jeżeli chodzi o treść tego pojęcia, to jest to idea bezkonfliktowego społeczeństwa.

L.: Izajasz: Wilk z barankiem paść się będą społeczeństwem i zapanuje prawdziwy pokój.

K.: Tak, jest to być może możliwe w niebie, jeżeli się w nie uwierzy. Na ziemi nigdy do tego nie dojdzie. Jeżeli jakieś racjonalne, godne zaufania proroctwo jest w ogóle możliwe, to brzmi ono: To nigdy nie nastąpi.

L.: A zatem żadna harmonia na koniec, żadne bezkonfliktowe społeczeństwo, żaden złoty pokój, żaden wygodny pokój, jak pan to kiedyś stwierdził. Raczej pokój rozumiany jako stan napięcia, które musi być ciągle rozładowywane. Cóż to jednak oznacza dla człowieka, który musi umieć znaleźć się w tej permanentnie konfliktowej sytuacji?

K.: Tego nie można uniknąć. To jest coś, czego się nie pozbedziemy. To jest życie, jeżeli mi wolno to tak banalnie wyrazić. Naturalnie mogą pojedynczy ludzie stać się eremitami, pójść do buddyjskiego klasztoru, odciąć się od świata. To jest oczywiście możliwe, ale tylko dla jednostek, nie dla społeczeństwa. Nie jest to żadne rozwiązanie dla społeczeństwa.

L.: Innymi słowy: napięcie jest zawsze z nami, musimy je wytrzymać, musimy z nim żyć. Bez nadziei, że będziemy mogli tak zharmonizować i ułożyć nasze życie, że nie będzie już żadnych problemów.

K.: Prawdopodobnie istnieją ludzie, którzy mogą osiągnąć wewnętrzną harmonię. Czy to się całkowicie może udać, tego nie jestem pewny. Z pewnością istnieją ludzie, którym wydaje się, że żyją w harmonii. Co nie musi oznaczać, że żyją również w świecie wolnym od napięć. Czy chcą, czy nie chcą, są wtłoczeni pomiędzy różne napięcia, które nas otaczają. Oczywiście utopia jest tym czymś, co mniej lub bardziej zawsze jest z nami. Czasami potrafi

również spełniać potrzebną, krytyczną rolę. Ale poważnie w to wierzyć jest tyleż niebezpieczne, co nieuczciwe.

L.: Pokoju nie definiuje się wszak w żadnym wypadku jako tylko nieprowadzenie działań wojennych, lecz również jako trwały stan kryzysu, kryzysu brzemiennego w konflikty, niszczącego harmonię. Czy kryzysowość taka nie dotyczy każdego z wolnych społeczeństw? Czy kryzys nie daje o sobie znać, gdy tylko ludzie wolni zaczynają się organizować i jednoczyć, czy nie jest po prostu jednym z objawów życia politycznego? Czy nie musi tam siłą rzeczy dochodzić do kompromisu interesów, czy nie musi panować pewna nierówność?

K.: Tak, i ja tak sądzę. W każdym razie, kiedy ma się na myśli pokój w tak szerokim sensie, tzn. pokój nie tylko jako czas wolny od wojen, lecz pojmowany także jako stan nie zakłóconej harmonii we współżyciu międzyludzkim. W taki pokój, jako trwały stan, nie mogę uwierzyć. Co prawda w historii, w momencie wielkich kryzysów, powstaje coś takiego jak poczucie wspólnoty jakiegoś narodu. Są to jednak krótkie chwile, które bardzo szybko ustępują miejsca nowym konfliktom. Pozbycie się konfliktów jest po prostu niemożliwe. Aby do tego doprowadzić, musielibyśmy...

L.: ... np. zmienić człowieka, od podstaw.

K.: Nie można czegoś takiego, jak ambicja, chęć wyróżnienia się w gronie innych, potrzeba posiadania więcej, zlikwidować, pozbyć się w życiu społecznym. Pojedynczy człowiek może tak żyć. Są święci, anielskie charaktery, które potrafią całkowicie się odciąć od przyjemności świata. Mogą się izolować. Wydaje mi się jednak całkowicie niemożliwe, aby wszystkich ludzi udało się tak wychować. Bardzo niebezpieczną rzeczą jest wiara w możliwość osiągnięcia formy bezkonfliktowego społeczeństwa lub społecznej jedności sposobami wychowawczymi lub przymusem. Braterstwo nie daje się zinstytucjonalizować. Nie można zmusić ludzi, by się nawzajem kochali.

L.: A wychowanie w sensie stałej pracy oświeceniowej? Czy nie da się ludzi skłonić do tego, by uznali wspólne ideały i wspólnych idoli, którym byliby tak zobowiązani, że w końcu ograniczyliby najpierw swe konflikty w drodze samoregulacji, by je w rezultacie uznać za zbędne?

K.: Dobrowolnie? To jest przecież to, do czego chrześcijaństwo usiłuje doprowadzić od dwóch tysięcy lat. I wciąż jeszcze to powtarza. To jest istotna część chrześcijańskiego wychowania. Powiedziałbym, że rezultaty nie są oszałamiające.

L.: Nie, na pewno nie.

K.: Można to oczywiście robić dalej. Lecz po dwóch tysiącach lat wciąż jeszcze wierzyć w to, że ta działalność wychowawcza doprowadzi w końcu do dobrowolnego wyrzeczenia się nierówności, niepodobna. Tym bardziej bezsensowne i w dodatku niebezpieczne

są wyobrażenia, że da się to osiągnąć siłą. Na mocy dekretu państwowego, rządzącej partii czy jakiegokolwiek innej instytucji. To nigdy nie nastąpi.

L.: Chciałbym powiedzieć tak: Trzeba mieć wolny wybór nawet własnego nieszczęścia. Tak szczęścia, jak i nieszczęścia. Wszystko inne nie jest już wolnym wyborem, lecz koniecznością. W momencie, kiedy szczęście jest mi narzucone i pozostaje mi tylko możliwość wyboru między narzuconym szczęściem i nieszczęściem, nie mam żadnego wyboru. Czy to nie zniewolenie, a nawiąże szantaż, kiedy stawia się mnie wobec tej alternatywy?

K.: Tak można to chyba sformułować. W historii nigdy nie brakowało takich ludzi, którzy swoje życie wykorzystywali do tego, by pożądać i zdobywać coraz więcej dóbr. Społeczeństwo kapitalistyczne zostało zbudowane na założeniu, że w nieokreślonej przyszłości będziemy posiadać więcej wszystkiego. Również socjalizm został zbudowany na tym założeniu. Idea: coraz więcej wszystkiego dla wszystkich, nie da się, jak wiemy, zrealizować. Istnieje granica.

L.: W takim razie musi istnieć trzecia droga, droga kompromisowa.

K.: Okoliczności zmuszą do ograniczeń. Już zmuszają, to pewnego stopnia. Będziemy musieli przyjąć i zaakceptować ograniczenia czy będzie nam się to podobało, czy nie, i czy będziemy z tego powodu popadali w rozpacz i cierpieli - co oczywiście jest możliwe. Co gorsze, żaden polityk nie waży się tego powiedzieć, ani w krajach demokratycznych ani w despotycznych. Żaden nie powie swoim wyborcom: Macie dosyć! Musicie się zadowolić tym, co posiadacie, a jeśli będzie trzeba, to nawet i mniejszą ilością. I nie umrzecie od tego! Żaden z polityków nie może tego powiedzieć. Każdy musi dalej obiecywać, lub wręcz kłamać - dam wam jeszcze więcej, będziecie jeszcze więcej zarabiać.

L.: Może można obiecywać zachowanie status quo. W dzisiejszych czasach to i tak dużo, jak sądzę. Ale oczywiście polityk wierzy, że musi ulegać presji obiecywania "coraz więcej", gdyż bezpieczeństwo społeczne jest ściśle związane z politycznym.

K.: Oczywiście, i ja zdaję sobie z tych zagrożeń sprawę. Lecz mówię tu o stosunkowo bogatych społeczeństwach, nie o tych, gdzie ludzie rzeczywiście umierają z głodu.

L.: Mimo to wierzę, panie Kołakowski, że w obliczu rozwoju i zmian, które nas czekają, wytworzy się zupełnie nowy rodzaj presji na politykę. Będzie to przymus dzielenia w sposób dużo bardziej zdecydowany naszych dóbr z tymi, którzy nie posiadają nic. Futurologzy przewidzieli już, że fronty polityczne mogą się zmienić i inaczej uformować - tak że po jednej stronie staną posiadający, a po drugiej nie posiadający. że zatem ideologie nie będą odgrywały roli w obliczu skończoności świata, jego wyczerpania i kolektywnego samozniszczenia, którego nie wyklucza i pańska filozofia.

K.: Tego niestety nikt nie może wykluczyć. Dzielenie świata na bogatych i biednych jest starym chińskim pomysłem. To miał być ten najważniejszy podział. Nie odpowiada on jednak dzisiejszej rzeczywistości politycznej. Czy taka będzie rzeczywistość, tzn. czy będziemy mieli do czynienia z dwoma zorganizowanymi na tej podstawie obozami, trudno przewidzieć.

L.: Przeciw temu przemawia na przykład polityka militarna.

K.: Tego nie chciałbym oceniać. Wydaje się pewne, że naciski będą coraz silniejsze. Nasza technologia musi być użyta do likwidowania szkodliwych skutków tej technologii i nas przed nią bronić. Jest to oczywiście sytuacja absurdalna, lecz najwyraźniej nie do uniknięcia. Jeżeli chodzi o biednych tego świata, o spauperyzowanie państwa i społeczeństwa, to nie mają dotąd możliwości wzbogacenia się w ten sam sposób jak bogaci, by przynajmniej zlikwidować katastrofalną sytuację nędzy i głodu na swoim obszarze. Potrzebują do tego tej samej technologii co Zachód. Nie mają innego wyjścia. Oczywiście należy dopasować technologię do szczególnej sytuacji krajów i regionów. Ale tam pragną tego samego standardu, który posiada Zachód.

L.: To znaczy, że musimy oddawać dużo więcej niż tylko dobra materialne.

K.: Bogactwo dzisiaj, to nie zakamuflowane dobra konsumpcyjne.

L.: Właśnie to mam na myśli. W większym stopniu musi być eksportowana wiedza.

K.: Wie pan, złodzieje nie staną się przez to bogatsi, że okradną innych. To znaczy, pojedynczy na pewno, ale społeczeństwa nie staną się przez to bogatsze, że zrabują dobra konsumpcyjne innym. I to jest coś, co muszą dobrze zrozumieć rabujące państwa, które liczą na to, że będą innych po prostu obrabowywać i przez to staną się bogatsze. Nie jest to w ich mocy. Bogactwo, to znajomość technologii. Tęgo nie można w prosty sposób zagarnąć. To można zdobyć tylko dużym wysiłkiem. I takiej mocy potrzebują biedni. Nie widzę innej drogi. Należy przy tym oczywiście wziąć pod uwagę, że jest z tym związane inne niebezpieczeństwo: groźba niwelacji kultur. Widzimy jak małe kultury, małe języki znikają pod przymusem, pod wpływem postępu technicznego, który przynosi ze sobą również zębne przemiany społeczne. Łatwo powiedzieć, że można mieć obie rzeczy naraz: zupełnie nowoczesną technikę i jednocześnie tradycyjną, zachowaną w całości kulturę. W pojedynczych wypadkach jest to prawdopodobnie możliwe. Może w Japonii, ale Japonia ma bardzo starą, głęboko w historii zakorzenioną kulturę. Czy tak samo może być w Afryce, nie wiem. Nie mówię tego z przyjemnością, raczej na odwrót: różnorodność, odmienność świata to także bogactwo. Straszliwie niszczone przez postęp. Trudno mi osądzać, czy jest to cena warta zapłacenia.

x
x x

Rozmowę zachodnioniemieckiego pisarza Siegfrieda Lenza z Leszkiem Kołakowskim transmitowała telewizja zachodnioniemiecka /ARD/ 7.IX.1979 r., następnie tekst tej rozmowy ogłoszono w książce pt. "Siegfried Lenz; Gespräche mit Manes Sperber und Leszek Kołakowski" /Rozmowy Siegfrieda Lenza z Manesem Sperberem i Leszkiem Kołakowskim/ wydanej w 1980 roku. Udostępniamy ten tekst z nieznaczными skrótami. Podstawą przekładu jest wydanie kieszonkowe tej publikacji z roku 1982.

Poniżej zamieszczamy tekst wygłoszony w połowie października 1983 r. w Darmstadtzie z okazji przyznania nagrody z fundacji Roberta Boscha Teresie Rządkowskiej-Jętkiewicz, tłumacze dzieł literatury niemieckiej, w której dorobku translatorskim znalazło się m.in. 11 ksiątek Heinricha Bölla. Uroczystości miały odbyć się w Polsce. Ponieważ jednak władze PRL odmówiły fundatorom nagrody prawa złożenia własnej listy polskich gości, zorganizowano je w RFN. Żołona siętka choroba laureatka z nich nie uczestniczyła. Zmarła 31 października 1983 roku.

HEINRICH BÖLL

MOWA UROCZYSTA Z OKAZJI PRYZNANIA
TERESIE RZĄDKOWSKIEJ-JĘTKIEWICZ
NAGRODY ROBERTA BOSCHA

Spontanicznie, a przecież nie bez obawy, zgodziłem się na prośbę Karla Dedeciusa powiedzieć tutaj kilka słów od tłumacza do tłumaczy. Kiedy zastanawiałem się, co by tu powiedzieć, obawa potęgowała się we mnie. Nie poważyłbym się mówić Polakom o Polsce. Nie byłbym w stanie. Nie znając polskiego, nie potrafię ocenić przekładów pani Rządkowskiej-Jętkiewicz. Mogę jedynie złożyć ogólne podziękowanie jej osobiście za to, że po wojnie - nie zapominajmy po jakiej to wojnie - zechciała tłumaczyć literaturę niemiecką na polski, wprowadzając ją w sferę języka polskiego. Czasem nadchodzi mnie myśli, że autorzy, którzy powierzchownemu politycznemu myśleniu cenzorów urazu wydają się nie do przyjęcia, nieprzewidzianie przemieniają się w konie trojańskie, bo wprowadzają myśli, które są skrywane, choć przecież istnieją, i skłaniają do niepożądanych refleksji. Ten skutek niekoniecznie bywa rezultatem przebiegłości autorów albo też głupoty cenzorów. Wynika on także z tego, że literatura przecież niemal zawsze jest oporna, co manifestuje swym językiem. Opór jej przejawia się nie tylko w tym,

jak rozporządza materia, lecz - co ważniejsze - także w tym, jak rozporządza językiem dobieranym do tej materii. To jedna z przyczyn, dla których ja sam wraz z panią, która jest moją żoną, chętnie podejmowałem się zadań tłumacza.

Proszę sobie wyobrazić sytuację, gdy nie ma tłumaczy. Nie tylko nie wielielibyśmy nic o Biblii, o nowinie przeznaczonej dla nas, niemal nic nie docierałoby do nas z otaczającego świata. Jaka byłaby nasza wiedza o Ameryce Północnej, o Ameryce Południowej, o Afryce, o Azji? Trochę danych historycznych, trochę informacji ekonomicznych. Uznaję autorów, a tym samym i ich tłumaczy, za najprawdziwszych przekazicieli wiedzy o świecie. Przez tłumaczenie porzyskuje się język, zwłaszcza własny. Zostaje on wzbogacony. Wstupując w obszary obcego języka stwierdzamy, że nieomal wszystko jest nieprzekładalne. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego tak mało autorów para się tłumaczeniami. Oznacza to przecież zdobywanie świata, ogarnianie go, wchodzenie w ten świat i przybliżanie go. Wymiana listów, jaką prowadzę z moimi tłumaczami, i jako sami z tłumaczonymi przez nas autorami prowadzimy, jest w naszej korespondencji czymś najpiękniejszym; bo jeśli nawet komuś się wydaje, że zna zarówno język z którego, jak też i ten, na który tłumaczy, to przecież wciąż trafia na obszary nieprzystępne. Można by o tym długo rozprawiać. W każdym razie jestem zdania, że tłumaczeń wciąż się nie docenia. Chciałbym z tego miejsca dołączyć się do podziękowań dla pani Rządzkowskiej-Jętkiewicz, która niestety nie jest tu obecna, jak również dla tych wszystkich zaproszonych gości, którzy z absurdalnych powodów, co wskazuje na stan Europy, nie mogli tu przybyć - czcimy tutaj nieobecnych - chciałbym więc do podziękowań dla pani Rządzkowskiej-Jętkiewicz oraz jej kolegów z Polski dołączyć słowa podziękowań dla zmarłej pani Maryli Reifenberg, która przybliżyła nam Czesława Miłosza, wielkiego, prawdziwie wielkiego polskiego autora, przyswajając go Niemczyźnie.

Obawy moje poczęły pierzchać, gdy znów zdjąłem z półki książki Miłosza. Cichy to autor. Czy można go nazwać spokojnym, nie wiem. Zbyt cichy, by w hałasie literackiego rynku mógł zwracać na siebie uwagę. A przecież w jego dziele zawiera się wszystko, wszystko co poruszyło świat od 1917 roku.

Moje obawy, czy nie dysponując czarodziejskim fletem zdołam uderzyć w zgodny ton dla Szopena i Rakowskiego, Miłosza i Jaruzelskiego, Michnika, Głępa, Bartoszewskiego, Gomułki, Wałęsy i jeszcze raz Rakowskiego, czy i jak zdołam połączyć polskich Żydów, szlachtę, polskich chłopów w kompozycji harmonijnej z właściwym dysonansem; te obawy poczęły zniknąć przy intensywnej lekturze Miłosza. Pojawiła się przy tym Jadwiga, zwana przez nas Hedwig, która nieochrzczonych ludzi z mityczno-nęlawicowych, legendarnych terenów nadbałtyckich, skąd ów zadziwiający klejnot, bursztyn wyszedł w świat, która zatem nieochrzczonych ludzi przez związki małżeńskie i chrzest powszechny, późno jak na stosunki europejskie, bo w roku 1386, doprowadziła do prawdziwej wiary, czego nie umieli sprawić rycerze Zakonu Krzyżackiego. Miłosz o krzyżakach

mówił: "epopeja chrześcijańskiego posłannictwa była w istocie epopeją mordu, gwałtu i bandytyzmu. A czarny krzyż na długie lata stał się symbolem plagi gorzej od pomoru".

Dzisiaj, 600 lat po tych wypadkach, Litwa jest jednym z najpobożniejszych krajów wschodniej Europy. Nie cierpi pod krzyżem, ale na swym krzyżu. Później czarny krzyż przekształcony w znak swastyki, albo też słoneczny krąg przekształcony w znak swastyki, ponownie zawiąsaną nad Polską i krajami nadbałtyckimi wraz z innym symbolem laickim, sierpem i młotem, przychodzącym z innej strony świata. Śmiałem przypuszczać, że Polska i kraje nadbałtyckie dosyć mają misjonarzy i wybawców. Miłosz mówi o "wstręcie do gwałtu występującego pod maską ideologii, swego rodzaju sceptycyzmie wobec legitymacji cywilizacji wszelkiego rodzaju". Podkreślam: w moim przekonaniu Polska nie potrzebuje pouczeń ani od międzynarodowej prawicy ani od międzynarodowej lewicy. Spytałem państwo i goście przybyli z Polski, skąd u kogoś, czyi przodkowie niemal bez wyjątku urodzili się po zachodniej stronie Renu - dwoje z nich urodziło się po wschodniej stronie Renu: moja babka i mój ojciec, w Essen, położonym 12 kilometrów na wschód od rzeki - skąd więc u tego kogoś, oprócz zwykłego zainteresowania kontynentem, na którym on żyje i światem, na którym on żyje, ta gorąca sympatia dla Polski? Spróbuję to wytłumaczyć: drobne sprawy, nieco odległe, ale nie za bardzo, są dla Polaki i Nadrenii wspólne. Kiedy Nadrenia w roku 1814 została włączona do Prus - obszar dolnego Renu już był pruski. Można by tu znaleźć powód do refleksji, jak na konferencjach i kongresach jednym pociągnięciem pióra rozporządza się losem krajów, narodów i religii. Wówczas znaleźli się na jej terenie prusko-protestanccy urzędnicy - pani hrabina Dönhoff zechce mi wybaczyć, jeśli niechcący, bo zależy mi jedynie na wytłumaczeniu faktów historycznych, zranię jej pruskie serce. Przybyli oni do kraju, który od czwartego wieku pozostawał chrześcijański, wcześniej zaś był żydowski. Osiedla żydowskie w Nadrenii są starsze od chrześcijańskich. Gdy zatem owi prusko-protestanccy urzędnicy pojawili się, zaczęli słać poprzez Trewir - miasto, w którym kilka lat wcześniej urodził się niejaki Karol Marks - a także z Kolonii, raporty do Berlina. To zaś co mieli do przekazania o pozostałościach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego po dwudziestu latach panowania francuskiego, nie było zbyt pozytywne. W trzech słowach można oddać kwintesencję tych sprawozdań: niegospodarność, lenistwo, katolicyzm. Myślę, że naszym polskim gościom coś to przypomina. W tym wypadku to akurat "rheinische", a nie "polnische Wirtschaft". Pruska arogancja była niestety tak szalona, daje ona o sobie znać jeszcze dziś, że traktowano nas raczej jak niewydarzonych Francuzów niż udatnych Niemców. Odczuwaliśmy tę arogancję przychodzącą z Kolonii jako rozszczenie bycia prawdziwym narodem w macierzystym kraju.

Dla nas jednak język ojczysty, który przecież istnieje dłużej niż wszelkie narodowe i państwowe organizmy - język jest bowiem starszy niż państwa - był czymś pewniejszym i bliższym niż jakikolwiek rodzaj ojczyzny, z którym mieliśmy do czynienia. Je-

zykiem ojczywym owej przedziwnej mieszaniny żydowsko-celtycko-germańsko-rzymskich dezertarów o utrudzonych nogach był niemiecki. W końcu też dostaliśmy się przez Kolonię pod fałszywy znak swastyki. Namawiałbym państwa, abyście kiedyś przejrżeli wyniki wyborów z lat 1932 i 1933 przeprowadzonych w Nadrenii. Wędzni, zwyczajni ładarni, nie kochani przez władzę pruską, wykonawcy brudnej roboty, z których szydzono i naigravano się, nosili polskie nazwiska i zwano ich też "die Polaken". Nie chcę posuwać analogii za daleko, chcę raczej zaznaczyć możliwości podobieństw. Czasem odnoszę wrażenie, że Irlandczycy są Polakami Wielkiej Brytanii. O nich także mówi się: niedbali, leniwi, katolicy. To jeden z powodów - podkreślam jeden - dlaczego nie lubię rezygnować z przyimiotnika "katolicki".

W Kolonii miały też miejsce pierwsze procesy komunistów, nawet nie Marksa, tylko mieszkańców miasta. W jednym z najświętszych miejsc w Kolonii, na chórze Martinskirche, przyszedł na świat niejaki Robert Blum, który zginął od kuli nie jak Robert Blum, tylko jako Robert Blum.

Jeszcze w dobroczynnej instytucji, zwącej się niemieckim Wehrmachtem, odczułem jak nieufnie odnoszono się do osób z Nadrenii: katolik pochodzący z Nadrenii to znaczy osobnik podejrzany, w najlepszym razie coś egzotycznego. Rzecz znamienna, Francuzi chcąc powiedzieć "Niemcy" mówią "d'outre Rhin". To znaczy że granicę Niemiec wyznaczają na prawym brzegu Renu. Niestety, dzięki Bogu, nieskutecznie.

Może byłoby dobrze przypomnieć sobie wypowiedź Miłozsa o krzyżakach. Gdy się zważy, że krzyż dla wielu narodów po dziś dzień jest znakiem strasznym i że szukają w czym innym wybawienia od niedoli, nie od krzyża pochodzącej, warto się nad tym zastanowić. Sformułowanie Miłozsa o krzyżakach wydało mi się tak przekonujące i trafne, że nie mogłem nie pomyśleć o narodach, którym przez wieki krzyżacy innych narodowości prawili o krzyżu i którym dzisiaj chcieliby podpowiadać, jakiego mają dokonać wyboru, jaki system byłby dla nich najodpowiedniejszy. Może pozostawimy decyzje im samym.

Nie mogę oczywiście, nawet w największym skrócie, omówić tu polskiej historii. Więc jeszcze raz zdam się na Miłozsa. Opisał on w "Rodzinnej Europie" pewną grupę młodzieżową, studencką, do której należał. Wychował się na Litwie jako Polak. Zacytuję tu po prostu siedem życiorysów podanych w tej książce:

"... dalsze przygody męskiej części naszego grona świadczyły o silniej zarysowanych indywidualnościach. Jacha /Jan Rutski/, miał różową twarz dziecka, dwa metry wzrostu i był mistrzem koszykówki. Studiował logikę matematyczną w Wilnie, a następnie jako stypendysta w Cambridge i zapowiadał się na sławę w tej dziedzinie. Zginął nieznaną bliżej śmiercią jako oficer piechoty w 1939 r. na obszarze oddanym Związkowi Sowieckiemu paktem Molotow-Ribbentrop; prawdopodobnie nie chciał dać się rozbroić. Mały, chu-

dy Stanisław /Stanisław Stomma/, prawnik i teolog, został publicystą i politykiem katolickim, wiernym Watykanowi, ale nie prawnicy. Prawnikiem i dziennikarzem został też Józef /Józef Świącicki/ nazywany, chyba ze względu na ociążałą budowę, Plumbumś Jego anonimowy grób więźnia obozu koncentracyjnego zarastają mchy sowieckiej północy. Inny los przygotowany był kulce śmiechu, żywości i dowcipu, pocie Teodorowi /Teodor Bujnicky/. Oddał swoje pióro na usługi władz sowieckich, kiedy objęły w posiadanie nasze miasto, i zastrzelili go za to członkowie organizacji podziemnej. Cienno- włoty Tonio /Antoni Gołubiew/, z brwiami Mefista, przeżył wojnę, wymigrował do polskiej demokracji ludowej i wlaścił się grubymi powieściami, którym cenzura niewiele mogła zarzucić, bo za przed- miot obrał przezornie epokę średniowiecza. /.../. O innym, Ste- fanie Jędrzychowskim, Miłosz mówi, że sążone mu było "zostać członkiem Komitetu Centralnego partii komunistycznej i jednym z dyktatorów gospodarki w Polsce Ludowej". Jeszcze inny, "wieczny student, zajmujący się raczej niż egzaminami propagandą Akcji Ka- tolickiej, wierny służy Kościoła. Po drugiej wojnie światowej u- kazał się na horyzoncie Warszawy, jako dygnitarz Policji Bezpie- czeństwa. Podobno nadal przed rozpoczęciem urzędowania chodził na wczesną mszę". /.../ "Główną podporą Bloku byli marksizujący ka- tolicy, dzięki ich przywódcy, człowiekowi o wielkim uroku osobis- tym i znakomitemu mówcy /Henrykowi Dembińskiemu/. Wkrótce zresz- tą został komunistą. Zważywszy na jego wyjątkowe zdolności i dy- namikę prawdopodobnie odegrałby później ważną rolę w Polsce, albo osiadł w więzieniu. Rozstrzelali go jednak Niemcy w 1941 r."

Siedem życiorysów w skrócie na kilkudziesięciu linijkach. Gdy- by je rozwinąć, gdyby rozciągnąć te kilkadziesiąt linijek do wy- maganych czterech bądź pięciu tysięcy, gdyby uzupełnić je o ży- ciorysy wielu nieznanych Polaków, to jedno, jak sądzę, stałoby się jeszcze wyraźniejsze: rycerze krzyżowi, misjonarze, nauki, i- deologie, także z laickimi symbolami, to wszystko jest niepożą- dane. Nie są pożądane także wysokie delegacje. Pocałunki na dwor- cach i lotniskach - można je sobie darować. I tak nic z tego nie wynika.

Miałbym ochotę zatrzymać się dłużej, i uczynię to przy innej sposobności, przy książce Miłosza, która poruszyła mnie bardzo - dawniej i teraz na nowo - "Zniewolony umysł". To był mój koń tro- jański. Tutaj stała się ta książka jednym z głównych narzędzi w walce podczas zimnej wojny. Próbowaliśmy nas przekonywać - o czym przekonywani być nie musieliśmy - o uwodzicielskiej sile komuniz- mu. A w zastosowaniu do sytuacji, z jaką my u siebie mamy do czy- nienia, książka pokazuje także uwodzicielstwo naszego świata, ponieważ i w naszym świecie istnieją narzucone sposoby myślenia, narzucony język dla określonych procesów, które miałbym ochotę inaczej nazywać niż przewidziano. My także dajemy się niewolnić czarno-białemu mechanizmowi, swego rodzaju antykomunizmowi, który nie kieruje się refleksją, lecz refleksami i zdaje się wytwarzać nowe krzyżactwo.

To byłaby garść problemów dotyczących Polski i polskiej literatury, które miałem zamiar poruszyć. Chcę zakończyć nagłym zwrotem, niedyplomatycznie, i - wbrew memu zwyczajowi - może niegrzecznie. Pamiętajmy jednak, że różne są wymiary uprzejmości. Istnieje coś takiego jak uprzejmość codzienna, bardzo przyjemna w moim odczuciu. Ale istnieje również rodzaj uprzejmości wobec wydarzeń i ducha czasu wychodzący ponad, że tak powiem, uprzejmość dyplomatyczną. Zdobywając się na nieuprzejmość tego rodzaju nie chciałbym zaprzepaścić okazji i przypomnieć o wielu więźniach politycznych w Polsce, przede wszystkim chciałbym przypomnieć o grupie Kuronia, Michnika i innych. Chciałbym oficjalnie z tego miejsca opowiedzieć się za tym, by ich proces odbył się z udziałem opinii światowej, nie po kryjomu.

EUROPA

pismo Instytutu
Europy
Wschodniej

1. 1987

Wydawnictwo Organizacji Solidarność Walcząca

PM

PRAWY MARGINES